

# GRIMWALKER GRIMWALKER

STADO



ŚMIERĆ W DECEMBER

**GRIMWALKER**  
**GRIMWALKER**  
ŚMIERĆ W DECEMBER

STADO

Przekład Karolina Skiba





Tytuł oryginału: *Döden i December 1: Flocken*

Przekład z języka szwedzkiego: Karolina Skiba

Copyright © Caroline Grimwalker, Leffe Grimwalker, 2023

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Nils Olsson

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Magdalena Mierzejska

ISBN 978-91-8054-016-2

Konwersja i produkcja e-booka: [www.monikaimarcin.com](http://www.monikaimarcin.com)

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

[www.gyldendal.dk](http://www.gyldendal.dk)

[www.wordaudio.se](http://www.wordaudio.se)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

*Gdyby miasteczko December było twoją dziewczyną, jedną ręką przyrządza-  
łoby króliki, a drugą drapało cię po plecach.*

– John Wagner

Kiedy John Wagner parkuje przed domem, serce mu zamiera. Mężczyzna nie wysiada, tylko wygląda przez okno samochodu, a złe przecucia kłębią się w nim niczym jadowite węże.

„Coś tu nie gra... Coś tu, do cholery, nie gra...”

Drzwi wejściowe są otwarte. A Sara zawsze je zamyka. Naprawdę zawsze. I to na klucz. Nawet w kółko żartowali, że to ona – pochodząca z niewielkiego December na dalekiej północy – zachowuje się jak przeczulona na tym punkcie mieszkanka dużego miasta, podczas gdy sztokholmscy John często zapomina przekręcić klucz w zamku, nawet gdy wychodzi na dłużej.

Mężczyzna wyłącza silnik. Ma wrażenie, że w żołądku ciąży mu kolczasta kula. Czarna szczelina niedomkniętych drzwi wejściowych. Tylko tyle. A jemu wydaje się, że to otchłań. Wewnątrz jest ciemno, choć przeważnie świeci się jakaś lampa. Sara i Mattias boją się ciemności.

John wysiada z samochodu. Powoli, jakby świat w każdej chwili mógł wybuchnąć. Powietrze niemal dudni, ciemność wpełza do domu. A może to się dzieje tylko w jego głowie?

Tętno mu przyspiesza, jak po sprincie na sto metrów. Jest cicho, wydaje się, że dom zapadł w śpiączkę.

„Jest za cicho...”

Z przyzwyczajenia sięga do biodra po pistolet, lecz nie ma go przy sobie. Broń służbowa została jak zawsze w biurze.

John ostrożnie i ze wzmożoną czujnością podchodzi do drzwi wejściowych. Bierze do ręki komórkę i dzwoni do Sary, ale od razu odzywa się poczta głosowa – nawet nie wiedział, że ona taką ma. Zawsze odbiera telefon.

Poza tym rzadko go wyłącza i pilnuje, żeby był naładowany.



John stawia pierwszy krok na skrzypiących schodach. Biały trampek Mattiasa leży niedbale rzucony przy wejściu. John oddycha tak płytko, że zaczyna go boleć głowa. Ciało reaguje na to, czego mózg nie chce zrozumieć.

Mężczyzna wchodzi do środka z zaciśniętymi w pięści dłońmi.

Nasłuchuje...

Ze środka dobiega jedynie wyjąca cisza...

Stara się bezgłośnie wziąć metalową łyżkę do butów, trzyma ją przed sobą i jest gotowy na wszystko. Przechodzi kilka kroków korytarzem i...

„Czy tu jakoś inaczej pachnie? Tacosy. Mieliśmy jeść dziś wieczorem tacosy. Pewnie je przygotowali”.

John podnosi w milczeniu dwa przewrócone krzesła w kuchni po lewej stronie. Na wyspie kuchennej dostrzega dwa kubki z kawą. Zdejmuje nóż do mięsa z listwy magnetycznej nad zlewem i odkłada łyżkę do butów. Ma oczy dookoła głowy.

Na stole stoją miseczki z ogórkami, pomidorami i salsą. John dotyka patelni na kuchence. Jest letnia, ale palnik pod nią – wyłączony. Nozdrza drażni ostry zapach doprawionego przyprawami do taco mielonego mięsa.

Kiedy próbuje zapalić lampę, serce wali mu jak młotem. W ponurym domu rozlega się ciche kliknięcie. Nic się jednak nie dzieje.

„Awaria albo ktoś wyłączył prąd”.

– Sara? – woła. – Mattias?

Jego słowa odpływają w głąb domu, ale nikną bez odpowiedzi. Wtedy mózg wreszcie zaczyna pracować i John zrywa się do biegu. Mija pokoje na dole, pędzi po schodach na piętro. Do pokoju Mattiasa. Na jego łóżku leży pluszowy miś. Następnie John wbiega do sypialni. Łóżko jest niepościelone. Sara nienawidzi bałaganu. Ma kompletnego fioła na punkcie porządku wokół siebie, ponieważ w jej duszy panuje lekki chaos.

„W życiu nie zostawiłaby łóżka w takim stanie”.

– Sara? – krzyczy John i zbiega po schodach aż do piwnicy, w której nadal śmierdzi grzybem, bo wciąż nie zamówił osuszacza powietrza. Jakoś

się nie złożyło. Jak zwykle wszystko przez jego pracę.

„Czy zniknęli z jego powodu?”

John odsuwa od siebie tę myśl, włącza latarkę w telefonie, świeci nią nerwowo dookoła i wstrzymuje oddech. Nie widzi jednak nic podejrzanego, tu też nie ma ani Sary, ani Mattiasa.

Wraca na górę, stawiając powolne i ciężkie kroki po schodach, i próbuje uporządkować myśli.

„Gdzie oni są, do cholery?”

Może o czymś zapomniał? Zebranie rodziców, spotkanie po szkole czy coś w tym stylu? Lekarz od czubków, pracujący w sztokholmskim oddziale policji, przestrzegał go, że pamięć może szwankować, kiedy człowiek narażony jest, jak w jego przypadku, na tak duży stres związany z pracą, ale...

„Psychiatrzy to szarlatani. Cholera, co on o mnie wie?”

John jest przekonany, że nie zapomniał o niczym ważnym. Sara i Mattias powinni być teraz w domu. Czekać na niego.

„A może się wściekła, bo znowu się spóźniłem?”

Nie, to do Sary niepodobne. Nie lubi mieć sekretów, co jest też jednym z wielu powodów, dla których ją kocha. Sara to otwarta i szcera osoba. Bez filtra, jak sama z siebie żartuje. Na pewno coś by powiedziała. Nie uciekłyby tak po prostu. Poza tym, wychodząc z domu, zamknęłyby za sobą drzwi na klucz.

Chyba że bardzo by się jej spieszyło...

Niepokój ryczy w nim jak jakiś pieprzony tygrys. Rozdziera go, wgrzyza się i rozdrapuje stare rany w jego sercu.

John dzwoni na komórkę Mattiasa. To samo. Wylączona. Słyszc auto-matyczny komunikat operatora, że wybrany numer jest niedostępny.

Pocą mu się dłonie, pytania mnożą w głowie. Zarówno dotyczące życia prywatnego, jak i osobistego. Wspinają się jedno przez drugie jak zombie w horrorze. Rzucają się na niego, wszystkie jednocześnie.

Co mogło się stać? Czy zostali porwani? Czy go zostawiła? Czy po prostu pojechała do przyjaciółki? Czy coś się stało Mattiasowi i musieli pędzić

do szpitala? Ta myśl, niczym rozżarzony gwóźdź, wbija się w żołądek Johna.

Przewrócone krzesła i dwa kubki z kawą przemawiają jednak przeciwko tej wersji. A także fakt, że się z nim nie skontaktowała. Nieuporządkowane łóżko i... John wraca na górę do sypialni. Otwiera szafę... wszystkie ubrania nadal tam są... ale czy na pewno? Nie wie. Sara ma tak dużo ciuchów, że John nie ma pojęcia, czy jakichś brakuje.

Wchodzi do pokoju syna. Mattias nie wyjechałby bez swojego misia ani Żółwia Ninja bez jednej nogi. John szuka tej zielonej plastikowej zabawki. Jej miejsce to małe łóżeczko dla lalek, które teraz jest puste.

Wraca na dół do kuchni. Siada na krześle, a jego umysł zasnuwa się mgłą, która ostatnio pojawia się coraz częściej. Migrena wgryza się w potylicę gorzej niż kiedykolwiek. John bierze tabletkę, ale zdaje sobie sprawę, że musi minąć pół godziny, nim ona zacznie działać.

W ciągu kolejnych pięciu minut obdzwania przyjaciół Sary i kolegów Mattiasa. Nikt nie wie, gdzie się podziewają. Nikt nie miał z nimi kontaktu. W szpitalach też nic nie wiedzą.

„Nie mogli tak po prostu... zniknąć”.

Wstaje i idzie do drzwi wejściowych. Samochodu Sary nie ma. Nic z tego nie rozumie.

– Gdzie jesteś, kochanie? – mówi cicho, po czym siada na schodach przed domem. Pociera dłońmi klatkę piersiową, ciężko mu się oddycha. – Cholera, gdzie jesteście...?

## 2

### *Dwa miesiące później*

Ali leży w bagażniku i jest śmiertelnie przerażony, gdy samochód się zatrzymuje. Nie ma tego, czego od niego chcą. Torturowali go przez trzy godziny. Kikuty palców tętnią bólem. Piecze go szyja z jednej strony, ma zmiążdżone co najmniej dwa żebra. Uparcie dotyka językiem pulsujących dziur po zębach w górnej szczęce, jakby chciał się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Jego siostra, Faduma, miała rację. Ona zawsze ma rację, cholera. Chciał tylko trochę dorobić, żeby mogli się przeprowadzić w lepsze miejsce, uciec od życia wśród gnid, wykolejeńców i biedoty. Chciał wnieść swój wkład, a leży tu jak debil.

Są tego warci. Teraz jednak sytuacja nie wygląda najlepiej. Zabiją go, tylko dlatego, że zgubił komórkę. Nawet nie wie, gdzie może być. Powiedziałby im, gdyby było inaczej. Oni mu jednak nie wierzą, a on nie umie ich przekonać. Bezsilność zżera go niczym kwas żołądkowy.

Może go wypuszcza, liczy na to. Ma przecież dopiero szesnaście lat. Dla nich jest zwykłym kurierem, a nie prawdziwym gangsterem. W gangu są trzynastolatki wieksi od niego. Ali nie stanowi żadnego zagrożenia. Może do tego dojść. W tej chwili żyje jedynie nadzieją.

Musi przeżyć.

*Inszallah...*

W bagażniku śmierdzi moczem i starymi ubraniami. Gryzący odór spalin przenika do środka i utrudnia oddychanie. Alemu kręci się w głowie. W ustach czuje gorycz kleju taśmy izolacyjnej i metaliczny posmak krwi, nie ma już siły płakać. Serce bije mocniej, gdy drzwi samochodu się zatrzasną i na zewnątrz słychać kroki. Jest ciemno. Ktoś chwytą za klapy

bagażnika. Ali napina ciało. Próbuje się cofnąć, ale nie ma gdzie. I gdy tylko się porusza, jego żebra jakby wyły z bólu.

– *Walla*, na Boga, on kłamie. Widzę to po jego minie. – Ostry głos, który go przeraża, przenika do bagażnika razem z przeszywającym jesiennym wiatrem.

– Stary, to przecież dziecko. Spójrz na niego. Znowu się, kurwa, posiłkał. Gdyby coś wiedział, już dawno by nam wszystko wyśpiewał. – Mahmouda przebiega dreszcz. Zrywa srebrną taśmę wraz z kawałkami skóry z suchych, popękanych warg Alego. W ustach Mahmouda połyskuje złoty ząb.

Ali się trzęsie, pojawiają się kolejne łzy, choć myślał, że nie jest już w stanie płakać.

– Proszę, nikomu nic nie powiem. Znajdę komórkę.

Yusuf śmieje się zgryźliwie, a Mahmoud kręci głową. To jak proces sądowy. Yusuf jest prokuratorem i katem, tymczasem Mahmoud – obrońcą Alego.

Yusuf pochyla się nad nim. Czuć od niego papierosy i curry.

– Gdzie jest komórka?

Ogolona głowa błyszczy w świetle księżyca. Drżący ze strachu Ali próbuje się zorientować, gdzie się znajdują, i jednocześnie odpowiada:

– *Walla*, przysięgam na Allaha. Nie wiem. Musisz mi uwierzyć. Był tam, a potem nagle zniknął. Nie mam pojęcia, gdzie on jest, ale obiecuję, że go znajdę.

Mahmoud kładzie rękę na ramieniu kumpla.

– Puśćmy go.

– Zwariowałeś? Rusz mózgiem, on kłamie. Jeśli go puścimy, poleci nakablować *aina*, jak pies z podkulonym ogonem. – Yusuf podkreśla swoją wypowiedź, spluwając Alemu prosto w twarz.

Ali szlocha, a strach przed śmiercią oplata go swymi zimnymi maczkami niczym ośmiornica. Przyczepiają się do jego kręgow oślizgłymi przyssawkami i wysysają z niego całą siłę. Ledwo może oddychać. Robi się mały. Mniejszy. Najmniejszy.

– Chcę do siostry, do domu.

Yusuf bez słowa wyciąga go z bagażnika i rzuca na ziemię. W jego oczach nie ma ani odrobiny współczucia. Wydaje się, że Mahmoud chciałby coś powiedzieć, ale rozsądek podpowiada mu, by się w to nie mieszać.

„Pomóż mi, do cholery!”

Ali zaczyna krzyczeć, ale na jego usta szybko wraca taśma. Ciężko mu się oddycha, bo nos ma zatkany smarkami. Wpada w panikę. Drzewa majestatycznie patrzą na niego z góry jak na frajera. Szydzą z niego swymi intensywnymi wrześnieowymi barwami. W oddali słychać szum wody, wszystko wokoło pokrywa mrok.

– To piękne miejsce na śmierć – mówi Yusuf, chwytając Alego za kołnierz. – Stary, pomóż mi.

Mahmoud łapie chłopaka za nogi i niosą go w kierunku wody. Ali próbuje krzyczeć, ale wydobywa się z niego jedynie cichy jęk. Mahmoud wgląda na niewzruszonego. Widać, że pogodził się z tym, że przegrał proces. Nikt nie wygrywa z psychopatą Yusufem. To właśnie przed tym przestrzegała go siostra. Że skończy na dnie jeziora. Myślał, że tak dzieje się tylko na filmach. Najwyraźniej horrory mogą się stać rzeczywistością.

„Oni chcą mnie zabić!”

Ta myśl rozpala w Alim ostatnią iskrę życia. Wyciska z jego ciała resztki oporu, jak ze szmaty.

Chłopak próbuje się wyswobodzić, ale nie ma siły. Stracił bardzo dużo krwi, nie ma zębów i jest odwodniony.

Zanim zmarła mama, myślał, że będzie nowym Zlatanem. Miał zarabiać masę pieniędzy i kupić domy wszystkim, których kocha. Miał...

Wrzucają go do łódki przy brzegu, a jego żebra znów krzyczą. Ze starej łodzi unoszą się zapachy wodorostów i igieł sosnowych oraz coś, czego nigdy wcześniej nie czuł. Ogarnia go coraz większa panika. Serce trzepocze jak skrzydło motyla, pcha się do góry i chce wyskoczyć przez gardło.

Ali nie potrafi pływać. Ręce ma związane na plecach i nie może oddychać. Woda wydaje się czarna i żarłoczna.

Odpychają łódź od brzegu i do niej wchodzi. Mahmoud zaczyna wiosłować, tymczasem Yusuf pogwizduje.

– Brachu, popatrz na księżyc.

Mahmoud na chwilę przestaje wiosłować, a łódka bezgłośnie sunie po wodzie.

– Księżyc w Somalii jest piękniejszy – stwierdza.

– Głupku, przecież to ten sam księżyc.

– No i co?

– Jak tylko znajdziemy komórkę, wrócimy do gry. Będziemy tarzać się w szmalu, brachu. Kurwa, będziemy królami życia i wtedy polecimy pierwszą klasą do ojczyzny. Nakupimy złota, załatwimy sobie żony i sprowadzimy je tu, do Szwecji. Królowie życia – mówi i kopie zalanego łzami Alego.

Ali się poddał.

Wie, że umrze. Jedyńm świadkiem będzie księżyc, który wygląda jak trupia czaszka. Zimna i biała. Obojętna. Yusuf podnosi rolkę folii z dna łódki i zaczyna ją rozwijać.

Mahmoud – albo Mackan, jak go nazywają – zerka na Alego, w jego oczach pojawia się cień smutku. Zawsze był dobry dla tego nieszczęśnika. Oczywiście dopóki nie nawalił.

Mahmoud przestaje wiosłować i odkłada wiosła.

– Która strona? – pyta, a Yusuf wzrusza ramionami i zaczyna ciasno owijać folią ciało Alego od stóp w górę.

– Teraz twoja kolej, ja wybierałem ostatnim razem.

– Lewa – wskazuje Mahmoud.

Kiedy głowa Alego zostaje owinięta folią, cichną wszystkie dźwięki, a Ali wpada w histerię. Yusuf bierze do ręki coś długiego i ostrego.

– Ostatnia szansa, Ali. Gdzie jest komórka?

Ali nie odpowiada. Co ma powiedzieć? Że nie wie? Bo przecież nie wie. To bez sensu. Umarł już w chwili, gdy zaczęli mu obcinać palce.

„Czy nadal leżą tam na podłodze?” Na tę myśl kwas żołądkowy podchodzi mu do gardła i powoduje mdłości.

– Dobra. Masz jaja, muszę przyznać. Coś czuję, że twoja siostra wie, gdzie jest ta komórka. To dlatego nic nie mówisz. Żeby ją chronić. Jak ona ma na imię?

Ali krzyczy. Czuje przyływ nowych sił. Z Fadumą zrobią to samo. Gdy Yusuf kilkakrotnie kłuje go w brzuch przez folię, chłopak drze się mimo zaklejonych ust. Wie, dlaczego tamten tak robi – żeby uszły z niego gazy, bo inaczej wypłynię z powrotem na powierzchnię.

„Nikt mnie nie znajdzie. Nikt się nie dowie...”

Podnoszą go, kołyszą i liczą do trzech, i zaraz potem wpada do wody jak gówno. Czuje, jak zimna woda wbija w niego swe szpony. Wstrzymuje oddech, choć wie, że to nic nie da. Widzi nad sobą falującą, szeroko uśmiechniętą twarz księżycy. Tam gdzie jest powietrze. Coś czerwonego rozprzestrzenia się wokół niego jak akwarela w szklance wody. Jego krew. Czuje pieczenie w żołądku. Coraz trudniej mu powstrzymać czarną, zimną wodę zalewającą płuca. Chciałby machać rękami, ale są owinięte folią, więc nie może nimi poruszyć.

Powoli opada w dół i zastanawia się, czy pójdzie do piekła, a jego łyzy mieszają się z jeziorną wodą.

Kiedy jego ciało ląduje na dnie, w głowie pojawia się wspomnienie. A raczej twarz.

Teraz już wie, kto zabrał komórkę. Wykrzykuje imię, podejmując ostatnią próbę walki o życie. Z kolejnym wdechem woda przedostaje się pod taśmę i przenika do płuc.



### 3

Kim Cordell wstrzymuje oddech, gdy dwie osoby dziarskim krokiem idą chodnikiem obok miejsca, w którym stoi jej kia EV6.

„Cholera. Mam nadzieję, że mnie nie zauważą” – myśli i chowa się pod grubym kocem na tylnym siedzeniu. Powinna była wybrać przyciemniane szyby, a nie te zwykłe. Zupełnie jakby leżała skulona na scenie. Każdy może ją zobaczyć.

„Choć kiedy kupowałam ten samochód, nie sądziłam, że będę w nim SPAĆ, więc może powinnam być dla siebie bardziej wyrozumiała”.

Wysuwa głowę spod koca. Harriet Selander wychodzi z piekarni, a za nią ktoś, kogo Kim nigdy wcześniej nie widziała. Tyle że w tak małym mieście jak December, gdzie wszyscy się znają i wszystko o sobie wiedzą, jest to dziwna sprawa. Energicznie mijają jej samochód, prowadząc przy tym ożywioną rozmowę. Na szczęście jej nie widzą.

„Gdyby ludzie wiedzieli, że śpię w samochodzie, w jednej chwili straciłabym wszystkich pacjentów” – myśli Kim i lekko wzdycha. To nie do przyjęcia, że miejscowa psycholożka zachowuje się jak wariatka.

„Tak jakby to była jedyna moja tajemnica...”

Wraz z tą myślą pojawia się ściskanie w boku. A zaraz potem złość.

Trochę czasu jej zajęło, by znaleźć parking, na który nie przyjeżdża zbyt wielu ludzi i skąd nie widać domu na wzgórzu. Domu Parszywca.

Od początku był to jego pomysł, żeby to, co się stało, zachować w tajemnicy. Jej zdaniem natomiast ukrywanie tego było chore. Teraz nawet jest mu za to wdzięczna, bo nie zniosłaby, gdyby ludzie się dowiedzieli, jak bardzo została oszukana. Byłoby to nawet gorsze niż spanie w samochodzie zaparkowanym przy studni w samym sercu miasta.

Nieopodal tego miejsca, kilkaset metrów dalej, również w centrum December, stoi inny dom. Ten, który dostała przy rozwodzie. Ten, w którym

od tej pory ma mieszkać. Jednak... to niemożliwe. W każdym razie nie dziś wieczorem. Może jutro.

Kim Cordell, dyplomowana psycholożka, jeszcze bardziej zwija się w kłębek na tylnym siedzeniu i zamyka oczy. Następnego dnia o dziesiątej rano ma umówionego pacjenta i musi być wypoczęta.

Jak zwykle, by zasnąć z uśmiechem na twarzy, wyobraża sobie różne sposoby zamordowania Parszywca.

## 4

John Wagner zatrzymuje się na szczycie wzgórza i spogląda w dół, na dolinę, w której leży miasto December. Miasto, w którym Sara się urodziła, a potem przed nim uciekła. Jej słowa – nie jego. Z tej odległości wygląda na przytulne miasteczko. Takie, jakie widuje się na pocztówkach.

Nigdy nie przebywał w małym mieście dłużej niż przez chwilę. Wychował się w dzielnicy Södermalm i puls Sztokholmu zgrał się z rytmem jego serca. To, że on i Sara zostali parą, jest właściwie dość dziwne. Ona – z dziury zabitej dechami, on – ze stolicy. Ona – z dialektem z północnej Szwecji, z zawsze powolnym i spokojnym sposobem mówienia, który uwielbiał, a on – ze swoją śpiewną intonacją. Jak dwie różne orkiestry grające inną muzykę.

Chciałby dowiedzieć się o Sarze wszystkiego. Wpatruje się w miasto rozciągające się w dole, którego ona niemalże nienawidziła, i choćby z tego powodu on też go nienawidzi.

Minęło osiem tygodni, odkąd Sara i Mattias zaginęli. Nie ma żadnych tropów poza jednym: maszt telekomunikacyjny oddalony stąd o kilkadziesiąt kilometrów odbiera sygnały z jej zegarka Apple Watch.

Żaden z jego kolegów tak naprawdę mu nie wierzy. John nawet był w tej sprawie przesłuchiwany i to jest chyba najgorsze. To, że mu nie wierzą. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, a John odszedł z pracy. Nie chciał tam przebywać, nie chciał widzieć tych wszystkich nieufnych spojrzeń.

Nie było żadnych dowodów przemocy, samochód Sary zniknął. Nie znaleziono telefonów ani jej, ani Mattiasa, i od tamtej pory nie były włączane. Nawet John zaczął wątpić, czy rzeczywiście zostali porwani, czy też zwyczajnie zostawiła go bez słowa.

Choć to do niej niepodobne. Zresztą nie odebrałaby mu Mattiasa w ten sposób.

Spogląda na siedzenie pasażera i na najcenniejsze rzeczy należące do Sary i Mattiasa. Jej komputer i leżący na nim pluszak syna. Te dwa przedmioty świadczą o tym, że nie uciekli. Oczywiście mogli w pośpiechu ich nie zabrać, ale on w to nie wierzy.

Kieruje wzrok na dolinę. Czuje kwaśny smak w ustach, mimo że widok jest piękny. Wiocha, o której Bóg zapomniał, mawiała Sara i w zasadzie nic poza tym nie opowiadała. Rzadko wspominała dzieciństwo, a John nigdy jej nie naciskał. Miał nadzieję, że z czasem to się zmieni, ale tak się nie stało.

Wie, że z tym miastem coś jest nie tak, a im więcej się o nim dowiadyuje, tym bardziej wydaje mu się to nieprawdopodobne, że Sara wróciła tu z własnej woli.

Dostrzega dym z wysokiego komina. To huta, która choć znajduje się na obrzeżach, wciąż jest sercem December. Należy do rodziny Ackermannów, podobnie jak większość tutejszych przedsiębiorstw. Miasto ze wszystkich stron otaczają góry i można się do niego dostać jedynie dwiema drogami. Jeśli ktoś nie wie o jego istnieniu, nawet nie zauważy, że obok niego przejeżdża. Dwie małe drogi, zjazd z autostrady z jednym drogowskazem.

Słońce dociera w dół tylko na kilka godzin dziennie, a chmury rzucają cienie na las, który pięknie, choć złowieszczo faluje na zboczach.

„Czy jesteście tutaj, wśród cieni?”

John jedzie dalej, drogą prowadzącą w dół, do miasta. Mija pick-upa z kilkoma mężczyznami na pace, którzy piorunują go wzrokiem. Trzymają broń myśliwską, ale w tych swoich ubraniach moro przypominają bardziej żołnierzy niż myśliwych.

– Mój Boże. – John kręci głową.

Czuje coraz większy ścisk w piersi, im bliżej miasta się znajduje. Czuje, że Sara i Mattias są tutaj. Musi tak być. Niemal liczy na to, że zostali porwani. Inny scenariusz by go zabił.

Znajdzie ich, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi.

## 5

John powoli, niczym opadający jesienny liść, wraca do swojego czterdziestoletniego ciała. Spogląda na torebkę z odżywką proteinową w jednej ręce, na szarą plastikową miarkę w drugiej. Obgryzione paznokcie. Wyblakłe blizny na kłykciach. Gęsta mgła mózgowa stopniowo ustępuje i John odzyskuje jasność umysłu.

„Jak długo byłem nieobecny tym razem?”

Coś za oknem nad zlewem kuchennym przykuwa jego uwagę. Ma wrażenie, że machają do niego żółto-czerwone liście jarzębiny. Podobnie jak robił to Mattias, kiedy widział go po raz ostatni. I wtedy... John odpływa. Znowu. Pograża się we wspomnieniach, w smutku i pustce, i odlatuje, jak spadające z drzew liście. Coś jednak ściąga go z powrotem do tego, co tu i teraz.

Odkłada odżywkę i nasłuchuje. Stęka, gdy uświadamia sobie, że na zewnątrz toczy się życie.

Przeniósł się tu, do chatki, bo leży na uboczu, częściowo odizolowana od December, by w spokoju móc wspominać Sarę i Mattiasa, ale wydaje się to niemożliwe.

Zeszłej nocy znów mu się śnili, przed oczami wciąż ma ich twarze. Nie ma nocy, żeby nie pojawiali się w jego snach, i choć nie widział ich już od ponad dwóch miesięcy, ma nadzieję, że wciąż żyją. Wmawia sobie, że na pewno tak jest. Bo gdyby jego bliscy nagle przestali istnieć, to chyba by to... poczuł?

Ogarnia go samotność i wraca myślami do swojego dzieciństwa. John był samotnikiem i nie miał wielu przyjaciół, często czuł się wyobcowany i przez to wpadał w złe towarzystwo. To cud, że został policjantem.

Gdy miał osiemnaście lat, został kibolem drużyny Bajen. Chodził na mecze, ale tak naprawdę piłkę nożną miał gdzieś. Był tam, żeby się bić,

gdzieś przynależeć i zdobywać przyjaciół. Przyjaciół, którzy wcale nimi nie byli, więc po dwóch latach czuł się znów zagubiony.

Pewnego dnia, po pijackiej awanturze, do jego stolika dosiadł się jakiś mężczyzna. Pelle. Obaj byli pijani i w tym człowieku zobaczył siebie.

Mówi się, że podobieństwa się przyciągają. Spotkali się kilka razy. Po kilku tygodniach Pelle powiedział mu, że jest policjantem i że jego zdaniem John byłby cholernie dobrym gliną, gdyby tylko się ogarnął. I tak właśnie się stało. John został policjantem.

Pelle zmarł kilka lat później, ale do tego czasu utrzymywali kontakt. Pelle został oficerem dyżurnym, a John pracował w jednostce specjalnej. Właściwie nie różniło się to od życia, które prowadził wcześniej. Znowu się bił, tyle że legalnie. Poza tym poznał gości takich jak on i po raz pierwszy miał w życiu cel i ludzi, których mógł nazwać przyjaciółmi.

Boże, kiedy to było... A teraz? Mieszka w domku na odludziu, znowu jest samotnikiem i mało kto wie o jego istnieniu.

John podchodzi do okna obok drzwi wejściowych, potyka się o brzeg dywanu, po czym odsuwa zasłonę. Oślepia go poranne światło połyskujące na powierzchni jeziora Trollsjön.

– Cholera jasna – mówi, gdy widzi, co się dzieje.

Dwie łodzie ciągnące sieć powoli płyną obok siebie. W pobliżu jego chatki kręci się kilku policjantów. Jeden z nich rozwija taśmę między dwoma drzewami. Na widok znajomego niebiesko-białego wzoru serce Johna zaczyna bić szybciej.

Pierwsze, o czym myśli, to Sara i Mattias.

„A jeśli to oni są na dnie jeziora?”

Czuje ucisk w gardle i biegnie do kuchni. Popija tabletki wodą prosto z kranu. Mają mu pomagać na mgłę mózgową, choć nie ma pewności, czy działają. Czasami czuje się po nich dobrze, a czasem jest nieprzytomny, jak przed chwilą. Traci poczucie czasu i przestrzeni oraz zdolność myślenia. sny przychodzące co noc sprawiają, że rano czuje w duszy niepokój, którego nie umie się pozbyć, jak czegoś, co przymocowano superklejem.

„Nie udało mi się ich odnaleźć, nawet nie wiem, jak i dlaczego zniknęli”.

Mruga kilkakrotnie, żeby się rozbudzić. Trzy razy klepie się po zarosniętym policzku. Szybko wkłada ubrania i wychodzi z domu. Od rosy, która pod koniec września utrzymuje się aż do południa, tenisówki robią się mokre. Słońce ciska na tafle jeziora obelgi swoich promieni.

„To nie może być żadne z nich”.

John idzie powoli w stronę plaży, gdzie stoją policjanci. Dostrzega ciało, przyczynę całego zamieszania, ale nie potrafi stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Ciężko oddycha. Zatrzymuje się. Nogi odmawiają posłuszeństwa. Jego wzrok wędruje na rosnące na skraju lasu krzaki pełne zgniłych owoców moroszki. Chciał je zebrać, ale zapomniał. Z powrotem spogląda na scenę przy jeziorze.

Technik w białym kombinezonie z materiału przypominającego cienki papier stoi obok znalezionej ciała i robi notatki. Kiedy kuca obok zwłok i kombinezon pęka mu w kroku, klnie... chyba po rosyjsku. Całe miejsce oświetlają silne reflektory. Jakby słońce nie dawało wystarczająco dużo światła. John nie chce na to patrzeć.

„A jeśli to Sara?”

– Nie może być! John Wagner? – słyszy głos z akcentem jak u Sary i właśnie z tego powodu się wzdryga, po czym spogląda w lewo.

Nigdy wcześniej nie widział tej kobiety, ale najwyraźniej ona wie, kim on jest. Wygląda sympatycznie. Koło pięćdziesiątki, brązowe włosy z niemodnym balejażem. Idealne zęby zupełnie nie pasują do jej udręczonej twarzy i niebieskoszarych cieni pod oczami.

– Tak? – odpowiada John, zastanawiając się, jak wiele o nim słyszała. Czy wie, że nadal jest podejrzanym w sprawie zaginięcia? Czy plotki dotarły aż tutaj?

„Że ja, supergliniarz, nie mogę znaleźć własnej żony i syna...”

– Co ty tu robisz? Przysłali cię z miasta?

– Mieszkam tutaj.

– Nie gadaj. Mona Ott Öster. Szefowa policji w December. Cóż... Witaj w naszej zapadłej dziurze. – Wyciąga do niego rękę. Ma mocny uścisk, jest śmiała i wie, czego chce. Wygląda na dobrego człowieka. Niektórzy ludzie mają taką energię, jakby mieli złote serce i przyjazną duszę. – Słyszałam o twojej rodzinie. Tak jak zresztą wszyscy tu w December, zwłaszcza że Sara była związana z tym miejscem. To wielka tragedia. Bardzo mi przykro. Pojawiły się jakieś nowe tropy? – Zupełnie jak u Sary dialekt Mony miękko wznosi się i opada. Niczym zorza polarna nad powoli sypiącym śniegiem.

– Niestety nie. – John nie chce kończyć rozmowy na smutno, więc szybko dodaje: – I dziękuję. – Wskazuje ręką w stronę jeziora. – Mężczyzna czy kobieta?

Serce wali mocno i bezlitośnie. Gdy John próbuje się uspokoić i bierze głęboki wdech w oczekiwaniu na odpowiedź, emocje ściskają go za gardło.

– Młody mężczyzna.

– To dobrze – mówi John, ale natychmiast tego żałuje. – To znaczy... to niedobrze, oczywiście... Ech. – Naprawdę z dnia na dzień staje się coraz głupszy.

Serce przestaje łomotać, całe ciało się uspokaja. To nie Sara tam leży.

„Ale przecież to może być Mattias”.

Klatka piersiowa Johna kurczy się niczym zgmiotana puszka po piwie i mężczyzna zbiera wszystkie siły, by nie pobiec do jeziora jak rozhisteryzowany wariat i nie zażądać okazania zwłok.

– Młody mężczyzna, mówisz. Nie... nie chłopiec?

Mona Ott Öster albo nie zauważa szalejących w nim emocji, albo jest na tyle delikatna, że je ignoruje.

Wkłada kciuki za pas i kiwa głową w stronę dramatycznej sceny na brzegu jeziora zaledwie trzydzieści metrów od wynajętej przez Johna chatki.

– Jest bardzo ciasno owinięty. – Milknie. Potem kontynuuje ze współczuciem: – Wiem, co myślisz, ale to nie twój syn. Najpewniej to młody



człowiek obcego pochodzenia. Nastolatek, ale z pewnością nie jedenastolatek. – Mona przygląda mu się ukradkiem.

– Okej – wydobywa z siebie John. Najwyraźniej mówi to zbyt lekkim tonem. Przychodzi mu do głowy myśl, że to może być furтка, sposób na zbliżenie się do tajemnicy zniknięcia jego rodziny, ale szybko ją odrzuca.

„Nigdy by mnie nie zatrudniła. Kiedyś byłem nawet niezłym gliniarzem, a teraz cierpię na zespół stresu pourazowego i mgłę mózgową, a do tego jestem podejrzanym w sprawie zniknięcia własnej rodziny”.

– Okej? – dziwi się Mona, marszcząc czoło.

– Morderstwo? – pyta John, gładząc się po ramionach. Zrobiło się za zimno na wychodzenie na dwór w samej bluzie. Za kilka dni poranna rosa pewnie zamieni się w szron.

– Bez wątpienia. – Kobieta patrzy to na zwłoki, to na niego. – Od kiedy tu mieszkasz?

– Raptem od kilku dni.

– Muszę zadać ci kilka pytań. Czy słyszałeś lub widziałeś coś podejrzanego?

– Raczej nie. Było tu spokojnie aż do dzisiaj.

– Rozumiem. Spędzasz tu... wakacje? – Jej wcześniejsze ciepło znika i John czuje się teraz jak na przesłuchaniu.

Stara się uśmiechnąć, jak najuprzejmiej.

– Nie. Albo tak... może.

Z uniesionych brwi policjantki widać, że uznała go za bełkoczącego idiotę.

– Zrezygnowałem z pracy w policji. Potrzebowałem spokoju. – John ogląda się na domek i żałuje, że w ogóle z niego wyszedł. Nie chce rozmawiać o tym, co się stało. Nie chce się tłumaczyć. – Więc tak, chyba możemy to nazwać wakacjami. I to długimi.

– Jak to? Rzuciłeś robotę? Cholera. Ten słynny John Wagner? Policjant, który... Przepraszam, jestem chyba trochę zafascynowana twoją osobą. – W jej oczach pojawia się figlarny błysk. – Słuchaj... przydałby się nam jeszcze jeden dobry policjant w tym mieście.

John robi krok do tyłu, jakby miała go zarazić swoim mundurem. Jakby wystarczyło się o niego otrzeć, a nagle znów miałby przy sobie odznakę i pistolet.

– Nie, sorry, skończyłem z tym. I nie jestem taki dobry, nie wierz we wszystko, co mówią.

– Ej, ani przez chwilę nie pomyślałam, że mógłbyś stać za zniknięciem swojej rodziny. Nie wyglądasz na takiego, co by mógł być w to zamieszany.

Żołądek Johna skręca się w ciasny supeł.

– No nie, nie mógłbym – stwierdza, ale wątpliwości go nie opuszczają. Nienawiść do samego siebie. W pewnym sensie wciąż wydaje mu się, że to jego wina, że ich nie ma.

Mona oddycha z ulgą, przekonana, że mężczyzna przed nią nie jest podejrzany. John musi jednak na nią uważać. Ta kobieta raczej nie należy do osób, które odpuszczają.

John czuje ścisk w żołądku na widok młodej dziewczyny podchodzącej właśnie do miejsca, gdzie leży zawinięte ciało. Stoi tam wraz z innymi ciekawskimi z okolicy zgromadzonymi wokół zwłok. Widać, jak przykłada rękę do ust i się odsuwa.

– Spójrz. Ona zna ofiarę – mówi John i rusza w stronę młodej kobiety. „Ona wie. Mimo że ciała prawie nie widać”.

Budzą się w nim wszystkie stare instynkty, niczym skrzypiąca i zaniebana, ale w zasadzie porządnie zbudowana maszyna.

– Jaka ona? – pyta Mona, ale John już podchodzi do dziewczyny w tłumie.

Ma jakieś dwadzieścia lat, gra twardzielkę, chociaż płacze. Jest czarna, włosy ma zaplecione w rastamańskie warkoczyki, a na twarzy wypisane, że mieszka na przedmieściach.

Kiedy widzi zbliżającego się Johna z utkwionym w nią wzrokiem, odwraca się i zaczyna uciekać.

John nie ma czasu na zastanowienie. Nogi podjęły decyzję za niego. Biegnie za dziewczyną przez las.

Zaskoczona Mona krzyczy coś za nim, ale jego dawne ja przejęło nad nim kontrolę. Ten superglina wciąż w nim siedzi. Skąd ta dziewczyna wie, kto jest owinięty folią? I dlaczego ucieka? Tak czy owak, ma coś z tym wspólnego.

Jest szybsza od Johna. Z łatwością zwiększa dystans. Gdy były policjant zdyszany wypada na szutrową drogę, słyszy ryk silnika, po czym widzi, jak dziewczyna znika za zakrętem na skuterze. Zapewne stuningowanym.

Cholera. Po co w ogóle za nią pobiegł? Przecież to zadanie policji, a on rzucił tę robotę. W December jest tylko po to, żeby odnaleźć żonę i syna. Nic więcej.

## 6

Kim Cordell ciężko oddycha, kiedy wchodzi do swojego gabinetu. W uszach dudni doskonała muzyka death metalowego zespołu Slaughter of the Soul z albumu At the Gates. Nerwowo spogląda na zegar na ścianie.

„Niech to szlag”.

Ma dokładnie siedem minut, zanim pojawi się pierwszy pacjent. Wyjmuje z uszu słuchawki bezprzewodowe i rzuca je z całej siły na biurko, przez co prawie z niego spadają, ale zatrzymują się przy tabliczce z grawerem „lek. psych. Kim Cordell”.

W December nigdy nie będzie bezrobotna. Nikt tu nie przyjeżdża, by realizować swoje marzenia. W tym mieście wszystkie marzenia dostają raka i umierają. Świadczy o tym tutejszy cmentarz. A nawet trzy. Zanim ludzie tam trafiają, przychodzą do Kim, traktując ją jak mentalny worek na śmieci.

Co za szczęście, że morderstwa to jej hobby.

Na krześle przy biurku kładzie plastikową torbę z pudełkiem na lunch i najnowszym numerem magazynu „Brott & Mysterier” o autentycznych tajemniczych zbrodniach. Wyciąga opakowanie gum SB12 na nieprzyjemny zapach z ust oraz nową szczoteczkę do zębów, którą kupiła po drodze.

Gdyby dziś rano nie była zmuszona przez dwadzieścia minut grzebać w pudłach w poszukiwaniu swojej przeklętej teczki, może miałyby czas na umycie zębów w domu jak normalny człowiek. Szczoteczka jednak też gdzieś zaginęła, więc musiał jej wystarczyć palec z pastą do zębów i płukanie wodą. Na zębach czuje lepka, mdłą powłokę. Poprawia kołnierz jasnozielonej jedwabnej bluzki.

„Zdąże”.

W chwili gdy się zrywa, by pobiec do łazienki znajdującej się w gabinecie, rozlega się głośne pukanie do drzwi. Cholera, teraz nie zdąży też zro-

bić sobie kawy.

– Chwileczkę! – woła Kim i marszczy brwi, gdy dociera do niej, że Bill przyszedł pięć minut wcześniej.

Wyciska gumę do żucia SB12 ze srebrnego blistra i zaczyna ją żuć. Wyjmuje szczotkę do włosów z szuflady biurka i przeczesuje niesforne rude jak jesienne liście włosy. Zmienia tenisówki, w których przyszła, na buty na obcasie czekające pod biurkiem. Wygładza spódnicę i żakiet, ściąga ramię do tyłu, zamyka oczy i bierze dwa głębokie oddechy.

„To ja jestem lekarzem, a on psycholem. Nie na odwrót” – myśli, po czym przybiera profesjonalną minę i idzie otworzyć drzwi Billowi Gunnessonowi.

– Bill – odzywa się ciepłym i przyjacielskim tonem. – Wejdz.

Kiedy odwraca się twarzą do okna, dostrzega dom na wzgórzu, przez co pochmurnieje równie szybko jak przelotny błysk słońca pod koniec listopada. Podchodzi do okna, tymczasem Bill wchodzi do gabinetu. Ona przez chwilę stoi ze wzrokiem utkwionym w dom w oddali. Nieświadomie dotyka się z prawej strony.

– Kim? – słyszy stojącego za sobą pacjenta.

Kobieta zaciąga zasłonę, żeby nie widzieć i nie myśleć.

„Oddychaj”.

To nie ona i jej problemy są tu najważniejsze. Może właśnie dlatego tak bardzo lubi tę pracę? Bo dzięki niej utwierdza się w przekonaniu, że wszyscy wokół też mają mnóstwo problemów i ciągle w nich grzebią? Co więcej, w porównaniu z kłopotami pacjentów, jej problemy bledną.

Czy jakoś tak.

Z profesjonalnym uśmiechem odwraca się do Billa Gunnessona i wskazuje ręką na dwa fotele po drugiej stronie pokoju:

– Witaj. Siadaj. Napijesz się kawy?

„Powiedz tak. Powiedz tak”.

– Nie, dziękuję. Przed chwilą piłem – odpowiada Bill i człapie w stronę swojego stałego miejsca, gdzie jak zwykle będzie opowiadał o matce.

Cóż to będzie za fascynująca historia.

– Dobrze – mówi Kim, nie zmieniając tonu. – W takim razie zaraz możemy zaczynać, niech no tylko... – Rozgląda się. Zastanawia się, co zrobić, i kontynuuje: – Trochę się dziś spóźniłam, a ty przyszedłeś chwilę wcześniej. – Szpera w szafce w poszukiwaniu teczki Billa. – O, tu jest – dodaje, znalazłszy ją, i zajmuje swoje miejsce.

Kiedy przegląda notatki z ostatniego spotkania, zauważa, że Bill patrzy na jej udo, tam gdzie podwinęła jej się spódnica. Obciąża ją i stara się nie pokazać po sobie zmieszania. Bill ma prawie siedemdziesiąt lat i ogólnie rzecz biorąc, jest nieszkodliwy. Spędził mniej więcej tyle samo czasu w więzieniu co na wolności, głównie za drobne, idiotyczne przestępstwa, takie jak włamania, kradzieże i tym podobne, a kiedy skończył sześćdziesiąt pięć lat, doznał mistycznego objawienia i wyszedł na prostą. Od tamtej pory raz w tygodniu przychodzi do Kim, by uporać się ze swoimi problemami. Źródłem ich wszystkich była – oczywiście – jego matka.

– Słyszałaś, co znaleźli w jeziorze?

Kim przerywa przeglądanie notatek i napotyka matowe spojrzenie wyblakłych oczu starszego mężczyzny. Sesje z Billem zwykle zaczynają się od tego, że musi coś z niego wyciągnąć. Jakiś wątek, którego będzie mógł się chwycić. Potem, nim zacznie mówić, przez chwilę popłakuje.

– Nie. Nic nie wiem. Co znaleźli? – pyta Kim.

Billa twarz się rozpromienia.

– Lubisz takie rzeczy, a nic nie słyszałaś?

Kim uśmiecha się cierpliwie.

– Byłam zajęta przeprowadzką – wyjaśnia. Prawda jest taka, że właściwie miała się wprowadzić do nowego domu tydzień temu, ale jeszcze wczorajszej nocy spała w samochodzie, bo nie mogła sobie poradzić z... całą sprawą. Tę informację jednak zachowuje dla siebie. Wystarczy, że większość miejscowych uważa ją, ogólnie rzecz ujmując, za... niezorganizowaną.

„Czy tak właśnie jest? Życie wymyka mi się spod kontroli?”

– Przeprowadziłaś się? Ależ to wspaniała wiadomość! – ekscytuje się Bill. – Więc już nie śpisz w samochodzie?

„A niech to”.

– Cholera. Posiadanie tajemnicy tutaj w December jest równie niemożliwe jak gra w papier, kamień, nożyce z wężem boa – mruczy Kim pod nosem.

Bill Gunnesson śmieje się głośno.

– Co prawda, to prawda! Przynajmniej dopóki mamy tu Storchów i Flinchów.

Kim powinna zacząć sesję, ale nie wytrzymuje i pyta:

– To co znaleźli w tym jeziorze?

Bill przeciąga się w fotelu. Szorstkie, stare, spracowane ręce mocniej chwytają podłokietników i mężczyzna się pochyła, świdrując ją wzrokiem.

– Ciało. To znaczy zwłoki.

– Serio?

– Tak, serio, serio. Coś, o czym lubisz czytać. – Wskazuje kosz z wszystkimi starymi numerami „Brott & Mysterier”.

– Ale czyje to zwłoki?

Bill siada z powrotem głęboko w fotelu, wzrusza ramionami i przez chwilę dłubie w nosie.

– Tego nie wiem – stwierdza już mniej pewnym głosem. Jakby uważał na to, co mówi. Wyciera palec wskazujący o dzinsy, a Kim zbiera się na wymioty. Nienawidzi, jak ktoś wygrzebuje gile.

Zupełnie zapomina o teczce na kolanach. Prostuje się i mruży oczy.

– Czy aby na pewno?

Bill spuszcza wzrok i bawi się z naderwaną skórką przy paznokciu.

– Tu, w dolinie dzieją się straszne rzeczy. Nie mówiąc już o górach. I wiesz o tym równie dobrze jak ja, panienko. – Wciąga ze świstem powietrze przez nos. Obgryza paznokieć palca, którym wcześniej wydłubywał smarki. Kim odwraca wzrok.

„Panienko...? Kurwa, mam trzydzieści dziewięć lat”.

Cisza, jaka między nimi zapada, jest większa niż pokój, w którym siedzą. Cięższa. Pełna spraw, których żadne z nich nie chce poruszyć. Kim

odchrząkuje i przypomina sobie o teczce. Znajduje właściwą kartkę, a na karku dostaje gęsiej skórki.

„On ma rację..”

– Ostatnim razem rozmawialiśmy o twoich siódmym urodzinach, pamiętasz?

Na zmianę tematu Bill odczuwa widoczną ulgę. Po chwili jednak pochmurnieje, kiedy wraca pamięcią do lat dzieciństwa.

– Potrzebowałem jedynie jej uwagi – zaczyna, a oczy szklą mu się od łez. – Ale czy ją dostałem? Gdzie tam. Wolą grać w bingo i zaglądać do butelki, jakby był w niej ukryty skarb.

Znowu dłubanie w nosie.

Znowu obgryzanie paznokcia.

Kim musi się wysilić, by aktywnie słuchać i wyprzeć inne myśli. Jedne przesycone ciekawością i podekscytowaniem, inne czarne jak bezgwiazdna zimowa noc.

„Morderstwo w December?”

Przechodzi ją dreszcz, ale chciałaby wiedzieć więcej, a jednocześnie wcale nie jest zaskoczona.

„Tu, w dolinie dzieją się straszne rzeczy. Nie mówią już o górach”.



## 7

Annika nie jest pewna, czy żyje, czy nie. Czuje się tak, jakby piła i ćpała przez całą noc, choć z tego, co wie, wczoraj była prawie trzeźwa. Albo i nie? Może znowu straciła przytomność? A może rzucił się na nią od tyłu i ją ogłuszył?

Próbuje się ruszyć, jednak ciało odmawia posłuszeństwa. W pokoju jest ciemno jak w grobie. Chce otworzyć oczy, ale powieki ciężą. Chętnie przespałaby tydzień lub dwa. Pozbyła się wszystkich problemów, alkoholu i tabletek.

Te używki to dla niej coś w rodzaju autoterapii.

Czuje metaliczny posmak w ustach, język wydaje jej się ciałem obcym. „Czy znowu mnie bił? Czy to dlatego?”

Jocke zachowuje się coraz gorzej, odkąd zwolniono go z huty, ale jeszcze nigdy nie była w tak złym stanie. Wie, że powinna go zostawić. Tylko dokąd pójdzie? Wszystko należy do niego, ona nie posiada nic wartościowego. Nie pozwalał jej pracować, nie ma nawet przyjaciół. Teraz wie, że nie powinna była się na to godzić, ale wszystko działo się stopniowo i za każdym razem mu wybaczła, aż w końcu już nie mogła.

Czasami się zastanawia, czy Jocke nie cierpi na chorobę dwubiegunową. Raz jest najlepszym mężem na świecie, a po chwili okazuje się najgorszym. Przytłacza ją swoją miłością, zwłaszcza po tym, jak ją uderzy.

Dopóki nie wpadnie w szal, bo powiedziała lub zrobiła coś głupiego. Annika wie, że musi się wziąć w garść. Stać się lepszym człowiekiem. Być bardziej wyrozumiała, jak mawia Jocke.

Szkoda go jej, naprawdę. Ciężko poradzić sobie z utratą pracy, którą wykonywało się przez dwadzieścia lat. A śmierć jego siostry nie poprawiła sytuacji.

Annika próbuje przełknąć ślinę, ale to jak całowanie się z piaskownicą.

Kaszele i odchrząkuje. Swędzi ją klatka piersiowa. Próbuje podnieść rękę, ale... Co do cholery?

Szarpie nią, ale w czymś utknęła. To samo z drugą ręką. Czuje pulsowanie między nogami.

Pieprzony Jocke. Zgwałcił ją? Znowu? Obiecał, że nie będzie już jej związywał. Nienawidzi tego. Czuje się tak jak wtedy, gdy kilku chłopaków ze szkoły ją trzymało i wykorzystало. Ponieważ związane ręce to fantazja seksualna Jockego, raz się na to zgodziła. Oczywiście trochę go poniosło. Potem przez dwa tygodnie nie mogła się ludziom pokazać.

– Jocke? – próbuje krzyknąć, ale jej głos brzmi jak stary zardzewiały łańcuch rowerowy.

Drzwi się otwierają i do pomieszczenia wpada słabe światło. Czy jest noc? Jak długo już tu leży? Nie chce zobaczyć siebie w lustrze. Tym razem jest chyba gorzej.

– Jocke, proszę. Czy możesz mnie rozwiązać? Muszę się wysikać – kłamie.

Słyszy jego oddech nad sobą. To ją przeraża, musi być ostrożna. Żeby znowu nie stracił panowania nad sobą.

– Kochanie, proszę.

Czuje dłoń na opuchniętej twarzy. Teraz naprawdę się boi. Jocke czasami się zamyka. Wtedy po prostu się w nią wpatruje i czeka, aż powie coś głupiego i da mu powód.

– Kocham cię – mówi słabym głosem. Słysząc strach w jej głosie i łoskot w sercu.

– Kocham cię – szepcze, stojąc za nią. – Kocham cię – powtarza, ale tym razem brzmi to inaczej. – Czy ty mnie kochasz? – pyta, a Annika przytakuje.

– Najbardziej w całym wszechświecie.

– Oto moja miłość – szepcze mężczyzna, po czym odwraca jej ciało. Annika widzi młot uderzający z siłą w jej twarz. Raz za razem, aż do

chwili, gdy Annika przestaje cokolwiek czuć.

## 8

„Prawie wszyscy mordercy znają swoje ofiary” – myśli John i natychmiast ogarnia go smutek. „Mattias i Sara żyją. Uspokój się” – próbuje zagłuszyć ten lęk.

Objechał całe December i w zasadzie nic nie znalazł. Odwiedził wspomniane przez Sarę miejsca. Miejsca, które kochała i których nienawdziła. Niewiele opowiadała o tym mieście, a to, co od niej usłyszał, nie do końca się zgadzało albo po prostu nie pamiętała wszystkich szczegółów i uzupełniała luki zmyśleniami, tak jak zwykle to się robi.

John czuje się jak turysta i czasem spaceruje z mapą. Próbuje odnaleźć Sarę poprzez jej historie, ale to jak brak połowy puzzli układanki, ponieważ prawie nigdy nie mówiła o swojej przeszłości.

Jeśli chce się dowiedzieć więcej, musi zacząć rozmawiać z ludźmi. To dla niego oczywiste. Zadawać pytania. Znaleźć tych, którzy ją znali, gdy była mała. Którzy znali jej rodzinę, zanim jej rodzice zmarli, a Sara się stąd wyprowadziła.

To nie takie łatwe. December to ospała, choć przyjemna górską miejscina, a mentalność tutejszej ludności idealnie do niej pasuje. Na kogoś takiego jak John – z charakterystycznym sztokholmskim akcentem – patrzy się z podejrliwością. Przyjezdny, i to w dodatku ze stolicy.

Sara się tu wychowała, ale studiowała z dala od zapomnianego przez Boga miasteczka. Choć John wcale nie uważa, że jest tu tak strasznie. Wiadomo, wolałby być w swoim ukochanym Sztokholmie, razem z Sarą i Mattiasem. To na pewno. Ale nie jest tu najgorzej.

Wszyscy się pozdrawiają i kłaniają, przepuszczają w drzwiach, zatrzymują się, rozmawiają i pomagają sobie nawzajem, w przeciwieństwie do Sztokholmu, gdzie większość ludzi to egoiści, którzy nie mają czasu na nic poza sobą.

December jest w zasadzie jak każdy mały ośrodek przemysłowy. Bardzo mały. Zdaniem Johna ma całkiem przytulne centrum z tą owianą legendą studnią w parku, posągami trolla i małomiasteczkowym urokiem, tak wyraźnym w tutejszych sklepikach, mimo że połowa z nich została zamknięta.

Otoczenie to jedno, a ludzie to zupełnie co innego. December to zadupie i miejscowi mają zaściankową mentalność. Czasami John przyłapuje się na tym, że patrzy na nich z góry, mimo że nie ma takiego zamiaru. Tak to już jest, gdy się pochodzi z dużego miasta. Tutaj ludzie żyją powoli, a ci inteligentniejsi opuścili to miejsce. Tak jak zrobiła Sara.

Wie, że istnieją tu nieciekawe okolice, ale widywał już gorsze. A gdy tylko wyjedzie się poza centrum – centrum miasta, jak się upiera przewodnicząca rady miejskiej Claire Olofsson – przyroda jest zachwycająca. Podobno ma uzdrawiającą moc. John ma nadzieję, że to prawda.

Tutaj czuje, że żyje. Wszystkie nowe zapachy oraz panujący tu spokój wyparły z niego stres, którego doświadczał w Sztokholmie. Uczy się cierpliwości, co z jednej strony mu się podoba, a z drugiej nie może się z tym pogodzić. Jeśli... a raczej kiedy odnajdzie Mattiasa, zwolni i zacznie z nim spędzać więcej czasu. Tak sobie obiecuje. Będzie po prostu idealnym ojcem. Lepszym niż jego własny. John nie nazwałby go złym człowiekiem, jego ojciec po prostu mało się angażował, aczkolwiek to były inne czasy.

Był, ale jakby go nie było. Może dlatego John szukał innych wzorców. Mama zaś była ideałem matki i pamięta, że z nią prowadził bardziej osobiste rozmowy niż z tatą, z którym głównie rozmawiał o piłce nożnej. John nigdy nie rozumiał tego sportu, podobnie jak mama. Dziś wydaje mu się, że jest bardziej podobny do matki niż do ojca.

Zatrzymuje się koło rodzinnego domu Sary i spogląda na zapadnięty dach, zupełnie jakby całe to miejsce było w żałobie. Wygląda tak, jak opisywała – nic, do czego chciałoby się wracać. Nikt tu nie mieszka, mimo to John otwiera wyszczerbioną, zszarzałą furtkę i podchodzi do drzwi wejściowych. Dwa uderzenia serca z każdym krokiem. Czuje się, jakby bezcześcił pamięć Sary, jakby robił coś zakazanego. Zwłaszcza skoro niektó-

rzy uważają, że to on jest odpowiedzialny za jej zniknięcie. W pubie widział ich spojrzenia. Zwrócił uwagę na ich szepty.

Wchodzi do środka. Wszędzie graffiti i puste butelki po alkoholu, wewnątrz śmierdzi papierosami. Zapuszczony, jak wiele innych domów w tym miasteczku. Gdyby nie huta Ackermanna, raczej żaden śmiertelnik by tu nie został.

Zdezelowana sofa, którą już dawno należałoby poddać kremacji, stoi samotnie pośrodku salonu. John zastanawia się, czy Sara tu była. Szuka jakiegoś tekstu na ścianie lub czegokolwiek, co podpowiedziałoby mu, dokąd ma się udać, ale nic nie znajduje. Siada na kanapie. Skrzypią sprężyny. Bezsilność i utrata nadziei rozdzierają mu ciało. Mózg wysłała sygnały, że wszystkiego robi się za dużo. Albo może to dusza. Jak przy ustawianiu ostrości w lornetce, kiedy wszystko staje się lekko rozmazane. Niewyraźne. John przesuwając dłoń po twarzy i stwierdza, że chyba powinien się ogolić, zanim ludzie zaczną go brać za kloszarda.

Sara i Mattias zaginęli pewnego piątkowego wieczoru. Jak zwykle pracował do późna, a oni czekali na niego z tacosami. Przynajmniej taki był plan. Po drodze wskoczył do sklepu monopolowego Systembolaget, kupił butelkę jej ulubionego rieslinga... i wrócił do domu, który jakby wstrzymał oddech.

Przepadli bez śladu. Paszporty, telefony i portfel Sary zniknęły i oni również. Jego piękna żona. Jego syn, któremu pomachał tego ranka, jak odjeżdżał szkolnym autobusem. Ostatni obraz jego dziecka to twarz widziana przez okno i jego entuzjastyczne machanie ręką.

„Gdybym wiedział, że to ostatni raz, przytuliłbym go i nigdy nie puścił”.

John ciężko oddycha i musi powstrzymać łzy na samą myśl o tamtym wieczorze. Czekał przez godzinę, na wypadek gdyby w magiczny sposób się zjawili, po czym w końcu zadzwonił na policję.

Obdzwonił też szpitale, a nawet w panice biegał po sąsiadach. Lecz jego bliskich nigdzie nie było. Żadnych dowodów na to, że go zostawili lub zostali porwani.

Po prostu zniknęli.

Po tym zdarzeniu koledzy dziwnie się na niego patrzyli. John został przesłuchany. Zadawali mu coraz ostrzejsze pytania, aż w końcu go wypuścili.

Sprawa pozostała niewyjaśniona.

Tropy prowadziły donikąd.

Aż się okazało, że maszt telekomunikacyjny odbiera sygnał jej zegarka.

Sara i Mattias nie zostawili po sobie ani jednego cennego śladu. Żadnych ciał. Żadnych śladów przemocy. Żadnego listu z żądaniem od potencjalnego porywacza. Wraz z kolegami z pracy przyjrzeni się każdemu, kogo John wsadził do więzienia lub komu groził, będąc na służbie, ale żadna z tych osób nawet się nie zbliżyła do jego domu.

Po dwóch tygodniach gazety się zmęczyły tym tematem i wydawało się, że jego wspaniała rodzina nigdy nie istniała. Stres i żal zrobiły swoje. Wyczerpanie pożerało komórki mięśniowe i nerwowe. Mgła mózgowa Johna stawała się coraz gorsza, w końcu nie był już w stanie pracować nad kolejnymi sprawami. Przestał być jednym z najlepszych oficerów śledczych. Nie mógł myśleć o niczym innym jak tylko o Sarze i Mattiasie oraz o swej rozpaczliwej samotności. Niepewności. To było i jest najgorsze.

„Teraz jestem... nikim”.

John siedzi na kanapie z ich zdjęciem, które zawsze nosi w wewnętrznej kieszeni, najbliżej serca. Zostało zrobione w cudowny dzień w wesołym miasteczku w Gröna Lund. Sara i Mattias radośnie się uśmiechają do aparatu. Mattias ma wokół ust zieloną obwódkę od kolorowej waty cukrowej, większej niż jego głowa. Sara zbeształa wtedy Johna, że kupił ją synowi.

„Była dobrą mamą”.

John wymierza sobie mentalny policzek, a oczy znów zachodzą łzami.

„Cholera. Ona JEST dobrą mamą”.

Myśli natychmiast zbaczają na mroczniejsze tory:

„Czy mnie zostawili?”

Z innej kieszeni wyciąga talię kart. Tarot należący do Sary. Głęboko wierzyła, że przepowiada przyszłość, daje dobre rady, mówi, czego należy

unikac i tak dalej. John zawsze sie z niej smial, gdy stawiala tarota przed kazda wazna decyzja. Teraz te karty sa jedynym ogniwem lacujacym go z zona i ma nadzieje, ze miala co do nich racje. Co innego mu pozostaloo? Dzieki tym kartom jest blizej ukochanej.

Pociaga nosem, przeciera oczy, trzyma karty tarota w dloni rewersem do gory i w myslach zadaje pytanie:

„Czy mnie zostawili?”

Patrzy na tył karty na wierzchu stosu, jakby chcial prześwietlic ja wzrokiem. Jest czarna ze zlotym okiem posrodku otoczonym promieniami rozchodzajacymi sie ku krawedziom. To jednak nie rewers jest wazny. John wstrzymuje oddech i odwraca karte.

Znajduje sie na niej idiotyczny rysunek tanczacego mezczyzny w hipisowskiej fryzurze, sukience i zlotych butach. Swieci na niego slonce. Koło niego na tylnych lapach stoi maly biały pies. Pod spodem widać nazwe karty: Głupiec.

John chce rzucic całym stosem o smierdzaca pleśnia ścianę, ale sie powstrzymuje. Nauczyl sie znaczenia kart. Gdyby przestal sie nad tym zastanawiac, choc i tak nadal nie bardzo wierzy w te bzdury, bylyby to profanacja w oczach Sary.

Głupiec. Wieczny optymista. Symbolizuje impulsywnosc, glupote i trudnosci w dostrzeganiu prawdy. John prycha. Rada, jakiej wróżbitki zwykle udzielaja ludziom, ktorým wyciagaja Głupca, brzmi: Najpierw pomysl, a pozniej dzialaj.

„Kurwa, co za kpina”.

John przełyka kolczastą gulę w gardle i chowa karty. Mysli o butelce rieslinga, nieruszonej tamtej nocy. Otworzy wino, gdy znajdzie zone, i wypija je razem. Sara zyje. Nie ma co do tego watpliwosci.

Gdyby ona i Mattias nie zyli, znaleziono by juz ich ciała. Nikt nie znika na zawsze, moze z wyjatkiem Jimmy'ego Hoffy.

John ma tylko jeden cel zwiazany z pobytem w December: odnalezc rodzine lub przynajmniej zdobyc jakas wskazowke, która powie mu, co moglo sie z nimi stac.



„Nikt tak po prostu nie znika. Zawsze zostają jakieś ślady”.

Jeśli nie znajdzie nic w tym miasteczku, nie będzie wiedział, co dalej robić. To jego ostatnia nadzieja.

## 9

Kim jak zwykle spędziła dzień z mnóstwem płaczących mężczyzn i kobiet, którzy z różnych względów muszą się pozbierać. Pamięta, jak Denis Leary na jednym ze swoich stand-upów powiedział, że gdyby był psychologiem, mówiłby pacjentom tylko jedno: „Zamknij się, kurwa. Następny!”.

W niektóre dni trudno się z nim nie zgodzić. A czasem przeraża ją, że w ogóle może tak myśleć. W końcu kocha swoją pracę. Gdzieś w środku naprawdę tak czuje. Kiedy jest przydatna. Kiedy pomaga. Kiedy potrafi uspokoić, pocieszyć i wskazać narzędzia, dzięki którym ludzie po rozmowie z nią są w lepszym miejscu niż przedtem.

„Chociaż jeśli istnieje ktoś, kto musi porozmawiać z lekarzem od czubków i wziąć jakieś psychotropy, to właśnie ja” – myśli i ścisną kierownicę kii EV6.

Zaparkowała przed małym sklepem spożywczym w centrum. Nie przed tym nowym monstrum, supermarketem zbudowanym na obrzeżach. Jakoś nie może się przemóc, żeby wejść do środka. A jeśli Parszywiec tu jest? To w końcu jego sklep. Nienawiść rozchodzi się w krwi jak atrament w wodzie. Kim liczy jednak na to, że siedzi w nowym, szpanerskim budynku. W swoim supermarkecie. Ale nie ma wyjścia – jeśli chce kawę, chleb, mleko i SB12, musi wejść do środka.

Przygryza dolną wargę i zbiera się na odwagę. Kiedy wróci do domu, musi rozpakować te cholerne pudła. Nie może żyć w pudłach/między pudłami jak jakiś kloszard. Już kładzie rękę na klamce, gdy widzi, że zaraz będzie afera, więc postanawia chwilę odczekać.

Po chodniku przed sklepem idzie dwóch ludzi w czerwonych szatach. A raczej kroczą pomału, jakby zmierzali w pochodzie Świętej Łucji, cali we krwi. Należą do wyznawców Słońca i Baltazara. Członkowie Zakonu Świętyni Słońca. Słońce i Baltazar pewnie nazwaliby swoich wyznawców

zgromadzeniem. Wszyscy inni nazywają rzeczy po imieniu i mówią, że to sekta.

Rzadko schodzą ze swojej farmy w górach. Są w zasadzie w dużym stopniu samowystarczalni. Czasami jednak robią zakupy w wiosce. O ile Kim dobrze rozumie, łakomstwo to fundamentalna część religii sekty. Noszą naszyjniki z kości i zębów rosomaków, które uważają za... uosobienie mocy czy coś takiego. Kim tak naprawdę nie wie. Ale jednego jest pewna: to właśnie tym krasnalom przydałaby się karta zniżkowa na jej usługi.

Dwaj członkowie sekty zmierzający do sklepu nie widzą tego, co Kim może doskonale obserwować z samochodu – dwie osoby wychodzące właśnie ze spożywczaka: dowódca milicji Tom O'Connor i jeden z jego miesięśniaków. Góry otaczające December są schronieniem dla najróżniejszych typów. Dla takich, którzy lubią żyć z dala od innych ludzi: wielbicieli przyrody, sekciarzy, bogaczy chcących być poza zasięgiem wzroku, biedaków, których nie stać na mieszkania... a także O'Connora i jego oddziału prepersów.

W December więcej kłopotów niż Flinchowie i Storchowie sprawiają tylko sekciarze ze Słońca i Baltazara z obsesją na punkcie religii oraz O'Connor i jego bydłaki, którzy pędzą bimber i kopią bunkry na dzień zagłady. Obie grupy są przekonane, że koniec ludzkości jest blisko. Cały czas jednak skaczą sobie do gardeł. I z tego co Kim widziała, żadna z nich nie chce unikać konfliktu.

Nerwowo zerka na telefon leżący na siedzeniu i myśli o wezwaniu policji, gdy O'Connor i jego kumpel wychodzą i prawie wpadają na tych dwóch w czerwieni. Wszyscy czterej zamierają. O'Connor z nienawiścią spluwa na ziemię, mimo że ma jakieś sześćdziesiąt lat i powinien zachowywać się dojrzałe. Jeden z mężczyzn ubranych na czerwono szturcha go w klatkę piersiową. Drugi sięga po flagę z logo szwedzkiego totalizatora Svenska Spel i wyjmuje ją z uchwytu przy drzwiach. W powietrzu czuć atmosferę nadciągającej walki, która udziela się całej czwórce.

„Komisariat znajduje się niedaleko. Juliette albo Mona, a nawet Jimmy zdążyliby tu dotrzeć, zanim sprawy wymkną się spod kontroli”.

Kim jednak nawet nie zdołała podnieść ręki, a przed sklepem już dochodzi do starcia. Z upuszczonej torby z zakupami wypada melon i toczy się po chodniku. Przez okna samochodu słychać przytłumione, agresywne krzyki. Kim trąbi kilka razy, co wszyscy ignorują.

Zaraz potem O'Connor wymierza potężny cios w twarz jednego z sekcjarzy, tak że zsuwa mu się kaptur z głowy. Mężczyźnie natychmiast leci krew z nosa. Drugi rzuca się do przodu i... chyba chciał uderzyć O'Connora, ale dla niego jest to niczym żartobliwe muśnięcie. Co tylko go jeszcze bardziej rozsierdza.

W momencie gdy Kim ma otworzyć drzwi i krzyknąć, żeby, do jasnej cholery, przestali, przed sklepem z piskiem opon zatrzymuje się radiowóz i wyskakuje z niego szefowa policji, Mona. Zostawia otwarte drzwi samochodu i z głośnym krzykiem rusza tam, gdzie rozgrywa się ta dość wymuszona walka. Kiedy ją ignorują, wpycha się między nich niczym mały buldożer i krzyczy głośniejsze.

Kim otwiera drzwi samochodu i wysiada. Podbiega do nich. Mona to twardzielka, ale jest jedna przeciwko dwóm. Albo czterem, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli. Jedyne, co łączy gang O'Connora i sekte Słońce i Baltazar – poza wygadywaniem głupot na temat końca świata – to nienawiść do władzy.

– Spokój, do cholery! – krzyczy Mona, stając z wyciągniętymi w bok rękami między czterema walczącymi. – Wszyscy chyba chcą wrócić do domu? Nikt nie chce spędzić nocy w areszcie w towarzystwie Bultena, prawda?

Kim podchodzi do nich.

– Widziałam całą akcję.

– Kto zaczął? – pyta nieco spokojniej Mona, kontrolując oddech.

– Wszyscy zachowywali się, jakby im odbiło.

– No dobrze. – Mona przewraca oczami. – W takim razie możemy zgodnie stwierdzić, że całe szczęście nic gorszego się nie wydarzyło, a potem wrócimy do domów i zastanowimy się, czy naprawdę chcemy zachowywać się jak banda pięciolatków. Co wy na to? Czy...?

Przerywa jej hamujący z piskiem opon samochód. Drzwi kierowcy gwałtownie się otwierają i wyskakuje Juliette Cortas, superpolicjantka z December. W obcisłych czarnych dżinsach, czarnej koszulce polo, ramosesce, czarnych włosach związanych wysoko w kucyk i ciemnoczerwonej szmince wygląda jak z filmu akcji. Pewnie ma dziś wolne. Mimo to wyciąga broń, stając z szeroko rozstawionymi nogami za drzwiami samochodu, i krzyczy:

– Policja! Rzuć broń!

Kim i Mona patrzą na siebie zdezorientowane. Potem spoglądają na czwórkę awanturników. Jeden z tych w czerwonej szacie zaskoczony upuszcza coś na ziemię. O'Connor cofa się o krok z podniesionymi rękami. Jego kolega robi to samo.

– Na litość boską. Odłóż spluwę, Juliette – strofuje Mona koleżankę zmęczonym tonem, patrząc na flagę rzuconą na ziemię przez członka sekty. – Co on niby tym zrobi? Zaciuka ich?

Juliette chowa broń, zatrząskuje drzwi samochodu i podchodzi do grupki przed sklepem, która teraz przyciągnęła tłum ciekawskich przy wejściu i kilka osób po drugiej stronie ulicy.

– Kim. – Juliette krótko kiwa głową w jej kierunku. Potem odwraca się do O'Connora i marszczy nos. – Czy mam ich wszystkich przymknąć, szefowo?

Mona Ott Öster wzdycha, a u Kim w kąciку ust pojawia się cień uśmiechu.

Juliette „Procedura” Cortas. Gdyby Kim nie znała jej lepiej, obstawiałaby zaburzenia ze spektrum autyzmu. Jeśli chodzi o zasady i przepisy, jest sztywniejsza niż osiemdziesięciolatka po całonocnym ravier. Przynajmniej jeśli chodzi o innych. Sama najwyraźniej może wyciągnąć broń i celować w człowieka z flagą Svenska Spel w rękę.

– Nie, Juliette – mówi Mona. – To było tylko nieporozumienie, prawda? – Wskazuje na toczące się po chodniku jedzenie i zwraca się do O'Connora: – Prawda? Nie wstyd ci tak się zachowywać w twoim wieku? Pozbieraj to gównno i wynoś się stąd. A wy – przenosi wzrok na członków sekty – powinniście być ponad to, a nie dawać się prowokować temu dziadowi.

Czy naśladowcy Jezusa nie powinni nadstawiać drugiego policzka i tak dalej?

Mężczyzna, któremu spadł kaptur, zadziera zakrwawiony nos.

– Jezus był fałszywym prorokiem, a ty – podnosi głos i wskazuje na O’Connora – będziesz się smażył w piekle ze wszystkimi innymi grzesznikami, kiedy siódma pieczęć zostanie złamana i Bóg wezwie do siebie swoich wiernych!

– Dobra, dobra – rzuca Mona i odsuwa stopą pomarańczę, po czym przepędza mężczyzn w czerwieni w stronę sklepu. – Juliette, dopilnuj, proszę, żeby ci tutaj zrobili zakupy i stąd wyszli.

– Tak jest, szefowo! – odpowiada policjantka i salutuje, a potem rozkazuje O’Connorowi i jego towarzyszowi posprzątać, i to natychmiast.

Kim oddycha z ulgą i rusza za Moną do sklepu. Gdyby tu był, stałby w drzwiach razem ze wszystkimi, jest w końcu wścibskim głupkiem. Dotyka ręką boku, gdzie czuje rwanie, i wchodzi do oświetlonego jarzeniówkami spożywczaka. Ludzie szybko się rozchodzą, gdy staje się jasne, że nic więcej się tu nie wydarzy.

– Wszystko okej? – pyta Mona i bierze do ręki jaskrawoczerwony koszyk. Rozgląda się za dwoma członkami sekty, a ci szybko znikają w głębi sklepu, jak zwykle w stronę działu mięsnego. – Całe szczęście, że właśnie miałam iść na zakupy. Ech, ci idioci. Pewnego pięknego dnia posuną się za daleko i ktoś zada cios, którego nie da się cofnąć.

Kim również bierze koszyk i przytakuje. Wtedy przypomina sobie rozmowę ze swoim dzisiejszym pierwszym pacjentem. Billem.

– Mona... słyszałam, że znaleźliście jakieś ciało w jeziorze – mówi, siłując się na swobodny, lekki ton.

Policjantka wzdycha ciężko jak autobus miejski. Wciąga powietrze przez zęby. Typowy sposób mówienia „tak” na północy. Kręci głową.

– Się kurwa porobiło.

– Morderstwo? – pyta Kim, natychmiast przeklinając się w myślach za swój ożywiony ton. Od dłuższego czasu rozwija swoje niebanalne zainteresowanie historiami spod znaku true crime i dobrze zdaje sobie sprawę,

że policjanci w December mogą być nią nieco zmęczeni. Przez lata zadawała, delikatnie mówiąc, mnóstwo pytań. O wiele spraw. Możliwe... że zbyt wiele śledztw ją ciekawiło. A kiedyś, dwa lata wcześniej, była przekonana, że udało jej się wyjaśnić sprawę jednego morderstwa popełnionego w sąsiedniej wiosce, i przy okazji oskarżyła całą policję w December o niekompetencję.

Jak się okazało, podejrzzenia Kim były całkowicie błędne i od tamtego czasu stara się pozostawać w dobrych stosunkach z policjantami z miasteczka i nie angażować w sprawy policji, ale... średnio jej to wychodzi. Jedynie Mona nadal jest dla niej miła. Inni zapewne woleliby, żeby Kim wyniosła się na drugi koniec kraju. Albo kuli ziemskiej.

Mona sięga po opakowanie okrągłych, miękkich chlebków *polarbröd* z krótką datą ważności, unosi brew i się uśmiecha.

– Nie sądzisz, że twoja ścieżka kariery powinna być jednak inna?

– Ale że co? Uważasz, że istnieje coś lepszego niż słuchanie całymi dniami ludzi, którzy opowiadają o fantazjach seksualnych z własną matką? – pyta wesołym tonem Kim.

Policjantka wybucha śmiechem.

– Ha, ha, biedactwo. Nie chciałabym w takim razie zamienić się z tobą miejscami. I może wcale cię jednak nie potrzebujemy. Słuchaj, oprócz ciała znalazłam tam coś jeszcze.

W drodze do działu z warzywami opowiada o spotkaniu ze sztokholmskim policjantem Johnem Wagnerem.

– Zdecydowanie powinien umówić się do ciebie na wizytę, takie przy najmniej mam wrażenie – podsumowuje.

Kim jest jednak rozkojarzona i nie bardzo jej słucha. Naprawdę znaleźli ciało. Tutaj, w ich małym December. Zupełnie jak w czasopiśmie, książkach i podcastach, które uwielbia. Rzeczywista zbrodnia. Może napisać o niej na forum, gdzie jest adminem. Tajemnicze morderstwo! Prawdziwe historie są bardziej przerażające, ale wywołują też dreszczyk emocji.

„Przeklęty los...”

John siedzi w bujanym fotelu i wpatruje się w jezioro falujące na jeziennym wietrze. Taśmy policyjne nadal wiszą. Jego wzrok nieustannie ucieka w stronę miejsca, gdzie wyciągnięto ciało. Ciągłe panuje tam ruch.

Ma przy sobie pudełko na tabletki z suplementami, które codziennie bierze na mgłę mózgową. Wypróbował już prawie wszystkie istniejące na rynku środki. Popija je piwem, w końcu jest sobotnie popołudnie.

Pragnie pozbyć się tego gówna. Mgła mózgową niszczy mu życie. Rano zwykle czuje się dobrze, ale po jedenastej objawy się nasilają. Odczuwa pustkę, ma zaburzenia koncentracji, jest wrażliwy na światło i dźwięk, a czasem dostaje piekielnej migreny. Głowa wtedy mu tak pulsuje, że aż chce walić nią w ścianę.

Ale co najgorsze, zaczął mieć problemy z pamięcią. Jakby zapominał jedną rzecz za każdym razem, gdy uczy się czegoś nowego. Jakby mózg był przepełniony.

Zastanawia się, czy może nie ma też alzheimera. Wcale by go to nie zdziwiło. A może to demencja? Zapomniał, jaka jest różnica. Ech, żeby tylko tego nie pamiętał...

Na jeziorze widać łódź ze strażakami i pływającymi nurków. Na brzegu stoją wóz strażacki i karetka. Nie zazdrości im. Wielokrotnie w ciągu swojej kariery brał udział w poszukiwaniach ciał, głównie były to utonięcia. Pewnego lata znaleźli kobietę w łyżwach. Powiadomianie bliskich nie było dla niego najgorsze w tej pracy, choć wielu innych policjantów właśnie to uważało za największy problem. Dla Johna najtrudniejszą częścią było patrzenie na ofiary. Ich samotność i tę całą krew. Prawda w niczym nie przypomina scen z filmów. Kiedy stoi się w pomieszczeniu przesiąkniętym tymi wszystkimi zapachami, pośród nierealnej rzeczywistości, której nie jest w stanie odwzorować żaden filmowy efekt specjalny, człowiek ma



uczucie, że ten horror wpełza pod skórę i zagnieżdża się tam na zawsze, jak pasożyt.

Jeden ze strażaków coś krzyczy i do Johna zaczynają docierać różne dźwięki. Silnik łodzi, rozmowy mężczyzn i woda uderzająca o brzeg.

Przyjechał tu, by odnaleźć rodzinę, ale także marzył o ciszy i spokoju. Chciał uciec od zgiełku i pędu wielkiego miasta. Dlatego wynajął tu chatkę, a okazuje się, że dzieje się tu znacznie więcej niż przy jego domu w Sztokholmie.

Czasem trochę tęskni za pracą, ale byłby teraz marnym gliną. Nie powinno mu się powierzać nawet rozplątywania węzła. Mimo to ciekawość, niczym natrętny pies, go nie opuszcza.

Poza Sarą i Mattiasem John kocha w życiu tylko jedną rzecz: obserwowanie ludzi. Nie ma żadnego hobby. Podnosi ciężary na siłowni, ale poza tym nie uprawia żadnego sportu. Lubił przywalić czasem komuś w twarz, ale to stare czasy. Tak więc jedyne, co sprawia mu przyjemność, to obserwowanie ludzi, mimo że większości z nich nienawidzi. Był świadkiem zbyt wielu okropności i stracił wiarę w ludzkość, ale przyglądanie się innym jest lepsze niż jakikolwiek program telewizyjny.

Ciekawi go, po co ciągną sieci i nurkują. Może szukają dowodów, by dowiedzieć się, kto zabił znalezionego dzień wcześniej chłopaka, a może myśla, że w jeziorze znajduje się więcej ciał.

Powinien był przeprowadzić się gdzie indziej, a nie tu, gdzie czuje się jak na skrzyżowaniu na Manhattanie.

Myśli o dziewczynie z warkoczykami. Nie może zapomnieć smutku na jej twarzy, w którym rozpoznał siebie. To zawsze była jego słaba strona, za bardzo się angażował. Nie umiał odpuszczać i pamięta wszystkie nierozwiązane sprawy.

Ma je nawet w teczce w chatce. Często je wyjmuje i czyta, zwłaszcza gdy się napije.

Rudobrzowa wiewiórka zatrzymuje się na jego widok. Zastyga w bezruchu i stoi tak przez kilka sekund, po czym odbiega w podskokach. Słodka, ale głupiutka. I zupełnie jak on – zapomniała, gdzie ukryła orze-

chy. Wszystkie wiewiórki prawdopodobnie mają mgłą mózgową, alzheimera i demencję jednocześnie.

John patrzy na pudełko z tabletkami. Czy już wziął suplementy, czy dopiero ma je wziąć?

Niepewnie bierze łyk piwa. Odstawia na bok butelkę i z niezadowoleniem kręci głową nad swoim gapiostwem. Tymczasem nurek wypływa na powierzchnię tuż obok łodzi. Coś mówi, ale John nie słyszy co, bo wiatr wieje mu w plecy. Za to przy brzegu zaczyna się poruszenie. Najwidoczniej coś znaleźli. John wstaje.

Robi kilka kroków po skrzypiącej drewnianej werandzie i wyteęza wzrok. Wiatr się wzmacza i podrywa liście, które John miał zagrabić w weekend.

Na plaży dwóch mężczyzn ciągnie za linę, Johnowi rośnie tętno. Byłaby to niezwykła ironia losu, gdyby jego żona i syn leżeli na dnie tego jeziora. Oznaczałoby to, że cały czas był blisko nich, ale szukał w niewłaściwych miejscach. Dreszcz przebiega mu po plecach.

Widać, jak coś wypływa na powierzchnię w niewielkiej odległości od brzegu, i do Johna dociera, że to zwłoki. Ledwo może oddychać, schodzi z werandy. Idzie coraz szybciej w stronę plaży.

Dwóch ludzi w ubraniach ochronnych wchodzi do jeziora z noszami i kładzie na nich ciało. W tej samej chwili nurek dostaje nową linę i ponownie się zanurza.

„Jest więcej ciał”.

– Nie, nie, nie – szepcze John. Serce bije mocno, zbyt mocno, zaczyna mu się kręcić w głowie. Migrena zakrada się do niego od tyłu jak ninja i zanurza swój sztylet w górnej części karku, tuż nad kręgiem szczytowym.

– Nie wolno panu tu przebywać. Proszę się cofnąć – upomina go jeden ze strażaków.

– Ja... jestem policjantem – mówi John.

– Dobrze, ale proszę się odsunąć.

John patrzy na zwłoki owinięte folią. Wydają się opuchnięte. Po chwili widzi, jak druga lina drga trzy razy.

„O mój Boże”.

Nie widzi twarzy kobiety, ale czuje zapach glonów i odór rozkładającego się ciała, który przeszywa duszę. Jej brzuch albo jest wzdęty jak balon, albo była w ciąży. Ma nadzieję, że to drugie, i od razu czuje wyrzuty sumienia.

Opiera się ręką o sosnę, żeby nie upaść od zawrotów głowy. Migrena daje mózgowi w kość, John mocno mruga kilka razy. Szuka w kieszeni tabletek przeciwbólowych, które przyniosłyby mu ulgę, ale minie dużo czasu, nim zaczną działać.

Ciągną za drugą linę. Powoli i ostrożnie. Nie chcą uszkodzić zwłok, prawdopodobnie znajdują się w jeziorze od dawna. John setki razy widział stopy w butach wyrzucane na brzeg.

Ciało się wynurza i wokół niego tworzą się kręgi. Czerwona kurtka. John przestaje oddychać. Mattias miał czerwoną kurtkę. John chce wbiec do wody, zobaczyć, czy to jego syn, ale wie, że się przewróci.

Zwłoki unoszą się na wodzie plecami do góry. Im bliżej brzegu się znajdują, tym Johnowi robi się słabiej.

„Kurwa, proszę. Żeby tylko to nie był on”.

Jeden z ratowników rozwija folię. John odwraca wzrok na widok twarzy. Sama miazga.

Świat wiruje i uginają się pod nim nogi.

John siedzi w Lyckoslanten, piwnicznym pubie w centrum December, i popija piwo, by uciszyć lęki. Nadal nie wie, czy to Sarę i Mattiasa znaleźli w jeziorze. Zasłabł i ratownicy medyczni udzielili mu pomocy.

Lyckoslanten to stary pub, który zdaniem jednych wymaga gruntownego remontu, a według innych należy go otoczyć ochroną niczym zabytek, zaś w przekonaniu Johna potrzeba mu jedynie zapalek i odrobiny benzyny. Stara drewniana podłoga nosi ślady tysięcy pijanych kroków. Ciemne, ciężkie meble, dwa telewizory wyświetlające piłkę nożną lub wiadomości, okna grubsze przy dolnej krawędzi i tak wiekowe, że przeciekają. Z jakiegoś powodu wszędzie wiszą gaśnice.

Tak naprawdę nie wiadomo, ile lat ma ten pub, poza tym że jest tu od zawsze. Nazwany Lyckoslanten, monetą szczęścia, na cześć każdego, kto wrzucił monetę do studni z nadzieją, że przyniesie mu to ogrom szczęścia lub choćby odrobinę. December to miejsce, które wiele osób pragnie opuścić, ale każdy prędzej czy później tu wraca. To tak jakby dolina rzuciła urok na swoich mieszkańców. John ciągle ma wrażenie, że coś się wydarzy, coś wisi w powietrzu niczym złowieszczą zasłona.

December przypomina serial *Zagubieni*. Sara go uwielbiała, choć przez ostatni odcinek cały tydzień chodziła wkurzona.

Odkąd znaleźli ciała w jeziorze, John czuje ucisk w klatce piersiowej. Nie może znaleźć sobie miejsca. Próbował dostać się do lekarza medycyny sądowej w szpitalu, ale nie chcieli go wpuścić.

Teraz koi skołatane nerwy alkoholem, jakby to miało pomóc. Świat wokół dudni ciężko i powoli, więc bierze kolejną tabletkę na migrenę. Mgła mózgowa lekko ustąpiła i w głowie pojawia się coś czarnego i natrętnego. Myśl o Sarze i Mattiasie...

John przetyka gulę w gardle, zanim ta zdąży się powiększyć. Bierze kilka solidnych łyków piwa, by zmyć smutek.

Odstawia piwo i patrzy na bliźnę na ramieniu po tym, jak je sobie rozciął, kiedy ratował psa zaplątanego w drut kolczasty. Zawsze chciał mieć psa, ale nigdy nie znalazł czasu, żeby go sobie sprawić. Poza tym Sara była alergiczką. Podejrzewa, że tak tylko mówiła, żeby nie kupował czworonoga.

– Strasznie wyglądasz – słyszy kobietę siadającą obok niego. To Mona, szefowa policji. John wzdycha, może zbyt głośno. – Oj, przepraszam. Może chciałeś pobyc sam?

– Sorry, nie, nie ma sprawy.

– Słyszałam, że byłeś w kostnicy, żeby zobaczyć zwłoki wyłowione z jeziora.

John kiwa głową i przesuwając palcem po wyżłobieniu w blacie.

– Myślę, że to może być moja żona i syn.

– To mężczyzna i kobieta. Z tego, co widziałam, mężczyzna jest czarny, a kobieta za stara na Sarę.

Ramiona Johna opadają, a umysł zaczyna się rozjaśniać.

– Mimo wszystko chcę je zobaczyć, tak dla pewności. Czuję, że świat rozsypie mi się na kawałki, jeśli się nie dowiem.

Mona bierze łyk piwa i kładzie mu rękę na ramieniu.

– Rozumiem cię. Poniekąd wiem, jakie to uczucie.

– Poniekąd? – John zerka na Monę i dostrzega smutek pokrywający jej twarz cienką popielatą warstwą. Zmarszczki trochę zbyt głębokie jak na kogoś w jej wieku. Ból, który rozpoznaje w jej spojrzeniu, zna aż za dobrze.

– Mój mąż – mówi, zdrapując róg etykiety na butelce piwa. – Anders. Może umrzeć w każdej chwili. Cierpi na zespół chronicznego zmęczenia i leży w łóżku dwadzieścia trzy godziny na dobę. Wierz mi, kocham go nad życie, ale czasami chcę wrócić do domu i zastać go martwego. Dla jego własnego dobra, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Chyba rozumiem – stwierdza John, choć właściwie nie ma pojęcia. A może jednak ma? Chce znaleźć Sarę i Mattiasa, nawet martwych, tylko

po to, żeby wiedzieć, żeby mieć się czego chwycić i odkryć prawdę. Wiedzieć, czy zostali mu odebrani, czy zniknęli dobrowolnie.

– Los zawsze chce zrobić nas w chuja – zauważa Mona i jednocześnie się uśmiecha.

– Zawsze widzisz szklankę do połowy pełną?

– Zawsze. Jak inaczej można przetrwać w tej pracy, kiedy w życiu prywatnym wszystko wywróciło się do góry nogami?

John dopija piwo. Ożywione towarzystwo w głębi lokalu krzyczy w momencie, kiedy pada bramka. Wygląda na to, że klub piłkarski Bergatrollen z December może w tym roku awansować do pierwszej ligi. Wielka sprawa, najwidoczniej.

– Kiedy będę mógł zobaczyć ciała?

– Hoffmann musi najpierw zrobić sekcję zwłok, ale to słaby pomysł, żebyś tam siedł. Poza tym już nie jesteś gliną. Chociaż... to akurat można zmienić.

John wbija w nią wzrok, czekając na ciąg dalszy.

– Chcę cię zatrudnić jako policjanta. – Mona wznosi toast z jego pustą szklanką.

– Nie, nie chcesz.

– Tak, oczywiście, że chcę.

– Nie, straciłem iskrę. To znaczy, wiesz... smykałkę. Poza tym jestem tu tylko po to, by odnaleźć rodzinę albo wpaść na jakiś trop, który mnie do nich doprowadzi.

– Gówno prawda, jesteś świetnym policjantem. A żadne iskry tu, w December, nie są potrzebne. Chyba wiesz, jaki ludzie w tym mieście mają stosunek do ognia? – Kiwa wymownie głową na jedną z czterech gaśnic wiszących za barem.

– Chcę je zobaczyć – powtarza John i unosi palec, przyciągając uwagę barmana Maksa, który kiwa głową, zabiera jego szklankę i powłóczy nogami w stronę nalewaków do piwa.

– Zróbmy tak: przyjdź na posterunek w poniedziałek i wtedy o tym porozmawiamy. A to dla ciebie. – Wyciąga wizytówkę.

John odczytuje imię i nazwisko: „lek. psych. Kim Cordell”. Unosi brwi.

– Kim jest super, mówię z doświadczenia. Nie bardzo wiem, jak to działa, ale dzięki terapii człowiek lepiej się czuje. Myślę, że powinieneś z kimś porozmawiać. Wszyscy gliniarze muszą mieć kogoś, komu mogą się zwierzyć. To statystycznie udowodnione. Poza tym Kim zna miasto lepiej niż ktokolwiek inny. Wie, jakie sekrety skrywają tutejsi mieszkańcy. Więc może, w trakcie wizyty, uda ci się wydobyć jakąś wskazówkę, gdzie może być twoja rodzina.

– Sprytnie. – John się śmieje, tymczasem Mona wstaje.

– Wiem. Szczwany lis ze mnie – mówi, stukając palcem w skroń. – No dobra, to teraz wracam do domu, żeby zająć się moim mężem. Do zobaczenia w poniedziałek o dziesiątej.

Wychodzi, zanim John zdąży zaprotestować. Odchyła się na krześle, wzdycha głęboko i zamyka oczy. Cholera, nie ma mowy, żeby wrócił do pracy w policji.

Ale czy na pewno?

Jeśli zostanie gliną w December, będzie mógł to wykorzystać, żeby odnaleźć Sarę i Mattiasa. Dopóki Mona nie będzie tego świadoma, John może wykorzystać tę sytuację, a jak tylko ich znajdzie, odejść z pracy.

„Dobra. Pieprzyć to”.

Lekarz medycyny sądowej René Hoffmann podnosi wzrok znad metalowej tacy ze starannie ułożonymi narzędziami, kiedy drzwi do prosektorium się otwierają i w jasnym świetle jarzeniówek staje jego asystent Harry.

– O mój Boże, co tutaj się dziś dzieje? – dziwi się chłopak, przyskakiwając oczy na widok zwłok, jakby bał się na nie patrzeć. – Trzy ciała w ciągu jednego dnia? To miasto zawsze przecież było takie spokojne.

René się uśmiecha pod масечką. Harry to dobry chłopak. Pozostaje jednak tajemnicą, dlaczego wybrał karierę lekarską, skoro prawie mdleje na widok krwi. Hemofobia. Dość powszechne schorzenie, które zwykle leczy się poprzez ekspozycję na bodziec powodujący lęk.

Pacjentom z hemofobią można zalecić wizyty w centrach krwiodawstwa lub oglądanie zabiegów medycznych na YouTube. Mimo że Harry codziennie ma kontakt z krwią i wszelkiego rodzaju płynami ustrojowymi, wciąż na ich widok robi się bledy.

– Cieszę się, że udało ci się tak szybko przyjść. Przygotowałem już pierwsze. – René wykonuje zamaszysty gest nad nabrzmiałą kobietą leżącą przed nim na stole.

Kobieta ma mnóstwo tatuaży, wiele z nich to motyle.

Kiedy Harry zerka na jej twarz lub raczej na to, co powinno być twarzą, a w przeważającej części jest opuchniętą papką z mięsa, kości i skóry, nieruchomieje i marszczy nos.

– Jasna cholera – szepcze. Zamyka oczy i przyciska palce do powiek. – Kto mógł zrobić coś takiego?

René delikatnie odsuwa kosmyk blond włosów.

– Udało mi się ją zidentyfikować. To Annika Larsson.

– Kto?



– Annika Larsson. Czterdzieści pięć lat. Uzależniona, starała się z tego wyjść wraz z mężem Jockem Larssonem, pięćdziesięciodwuletnim, starym bywalcem celi dla pijaków w komisariacie.

– Ach, ta Annika. Co zwykle odczytuje numery podczas wieczorów bingo w kościele?

René powoli kiwa głową.

– Odczytywała numery. Była też stałą pacjentką naszego szpitala. Oprócz problemów z wątrobą i nerkami, miała też koszmarne pecha i ciągle spadała ze schodów, wchodziła w drzwi i tak dalej...

Harry pochmurnieje.

– Czy te drzwi i schody mogły się nazywać Jocke Larsson?

– Przypuszczam, że tak. Ale wiesz, jak to jest. Kobiecie w jej sytuacji trudno nabrać tyle pewności siebie, żeby opuścić przemocowego męża. Rozmawiałem z nią kiedyś na osobności na ten temat, ale efekt był taki, że zamknęła się w sobie. Powiedziała, że nigdy nie poradzi sobie w pojedynkę. Że jej mąż jest w porządku, dopóki nie pije.

– O ile pamiętam, ona też nie wylewała za kołnierz. – Harry zakłada maseczkę, uważając, by nie patrzeć na zmasakrowaną twarz. Nagle zatrzymuje wzrok na tułowi pokrytym kłutymi ranami. Zatacza się i przykłada rękę do klatki piersiowej. – Jezu. To na pewno się nie stało od wchodzenia w drzwi.

– Trudno się nie zgodzić – mówi René i opuszcza przezroczystą przyłbicę. – Myślę, że teraz musimy wykonać naprawdę dokładną robotę z drogą Anniką, żeby Jocke Larsson poszedł siedzieć i nigdy w życiu nie skrzywdził już żadnej kobiety. Z tego co wiem, policja zabrała go już na przesłuchanie.

W oczach Harry’ego widać determinację i kiwa głową z zaciętą miną.

– Chociaż tyle możemy dla niej zrobić. Dlaczego jest taka wzdęta?

– Bakterie jelitowe przedostały się do krwi i wytworzyły gazy, a wraz z rozkładem ciała wszystko pęcznieje. Normalnie wychodzi to przez odbyty i inne otwory w ciele, gdy rośnie ciśnienie. To dlatego mordercy powinni nakłuwać brzuch, jeśli nie chcą, żeby zwłoki wypłynęły na powierzchnię.

– Jak miło – mruczy Harry pod nosem.

– Nie, nie bardzo.

– To był sarkazm.

– Aha. W każdym razie wytwarzane gazy to wodór, siarkowodór i metan. Kiedyś mój mentor robił sobie dziurę w brzuchu i podpalał ją tak, że powstawał mały płomień. Raz nawet zapalił papierosa ulatującymi z niej gazami. Bardzo wyjątkowy człowiek.

– Chyba mam jakieś ważne spotkanie i muszę już lecieć – mówi Harry.

– Uspokój się. Oczywiście nie będziemy tego robić, choć pomysł nie jest taki najgorszy. Zapalany gaz się zużywa i dzięki temu nie czujesz smrodu, kiedy otwierasz ciało.

– Mój Boże. – Harry głośno wciąga powietrze i wstrzymuje oddech.

René ruchem głowy wskazuje na pozostałe, czekające na nich zwłoki.

– To będzie długi dzień. Weź skalpel, nauczę cię czegoś.

Chłopak chwytając narzędzie chirurgiczne kciukiem i palcem wskazującym, jak coś jadowitego. Szybko kiwa głową.

René wskazuje palcem miejsce, w którym młody ma wykonać cięcie.

Harry się waha i wypuszcza powietrze.

– Czy ona wybuchnie? – Robi wdech i wstrzymuje oddech.

– Zdarza się to niesłychanie rzadko. Nigdy tego nie widziałem. No dalej, otwórz ją. – René ponownie pokazuje asystentowi, gdzie ma ciąć. – To się nazywa kołnierzone nacięcie i robimy je, żeby sprawdzić, czy nie ma krwawienia w gardle. W Stanach nazywają to cięciem „Y” – dodaje i wskazuje palcem.

Odsuwa się, bo wie, co się teraz może wydarzyć.

Harry po chwili wahania w końcu wbija skalpel w ciało i przesuwa go w kierunku kości łonowej. Kiedy dociera do brzucha, ze środka wytryskują na niego płyny ustrojowe i nie mija sekunda, a chłopak zaczyna się drzeć i wymiotuje z maseczką na ustach. Zrywa ją i ociera twarz dłonią.

– Lekcja numer trzynaste. Nigdy nie zapominaj o przyłbicy.

– Ołmajgad! Mam chyba trochę w ustach. – Harry znowu wymiotuje, tym razem na podłogę. – Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?! – Dyszy i się

krzywi, czując smród własnego oddechu.

– Przepraszam. Naprawdę nie sądziłem, że to się stanie – mówi René, choć po tonie słychać, że nie do końca jest to zgodne z prawdą. Bierze nowy skalpel i kontynuuje. – Umyj się i przebierz. Dopiero zaczęliśmy.

Harry wybiega zgięty wpół i René ma lekkie wyrzuty sumienia. Chłopak nie jest taki zły, ale musi się nauczyć, dlatego twarda szkoła to czasami jedyne wyjście. Nie mówiąc o tym, że Harry powinien zmienić zawód, a on chce mu pomóc w podjęciu tej decyzji. Naprawdę nie rozumie, dlaczego chłopak upiera się, by zostać lekarzem medycyny sądowej.

Kim przechodzi dreszcz, gdy nagły podmuch wiatru wpada przez okno i uderza ją w kark. Podnosi wzrok znad komputera. Biuro pogrążone jest w ciemności, nawet się nie zorientowała, że nadszedł wieczór.

Drapie się w swędzący tatuaż na kostce z napisem „SFL”. Kiedy ktoś w filmie zaczyna krzyczeć, myśli o Elin.

Ogląda na Netfliksie dokument o Jeffreyu Dahmerze. Pauzuje, wstaje i zamyka okno. Zastanawia się, czy spać tutaj na kanapie, czy może powinna wziąć byka za rogi i iść... do domu.

„Tamto miejsce nigdy nie będzie moim domem. Parszywiec przygląda mi się ze ścian”.

W chwili gdy znowu siada przy komputerze, dzwoni telefon na biurku. Kim bierze go do ręki i odczytuje SMS-a.

„Dostałem Twój numer od Mony. Chciałabym umówić się na wizytę. Z góry dziękuję. John Wagner”.

Kim zaciska usta. Policjant, o którym mówiła Mona. Ten, który zamieszkał przy jeziorze. Którego żona i syn zaginęli. Sprawdza kalendarz, po czym odpisuje:

„Cześć, John. Zwolnił mi się termin jutro o jedenastej, jeśli uda Ci się przyjść, to zapraszam”.

Trzy kropki falują na ekranie telefonu, gdy John wpisuje swoją odpowiedź, i już po kilku sekundach pojawia się tekst:

„Zaklepuję. Do zobaczenia”.

„Oszczędnym w słowach. Może być ciekawie” – myśli Kim, patrząc na wstrzymany obraz na komputerze. Wpatruje się w nią Jeffrey Dahmer.

Chorobliwe zamięłowanie do seryjnych morderstw to jej mała tajemnica. Doskonale wie, skąd się to wzięło. Zagłębianie się w najmroczniejsze zakamarki ludzkiej natury ułatwia jej pracę. Nigdy raczej nie będzie miała

seryjnego mordercy jako pacjenta. Badanie ich przypadków w filmach dokumentalnych to jedno, czym innym jest analizowanie ich w prawdziwym życiu.

Poza tym odrobina fantazjowania jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Włącza dokument, podczas gdy myśli wędrują gdzie indziej. Zwłoki w jeziorze. Nieustannie ją rozpraszają.

True crime to jej pasja. Kim należy do kilku forów internetowych, gdzie zwykli ludzie wynajdują różne zbrodnie i wszyscy wspólnie je rozwiązują. Mają to, czego policji brakuje: licznych ekspertów z różnych dziedzin, a także po prostu zwykłych fanatyków. Na jednym z forów, patrolobywatelski.net, Kim jest nawet adminką.

Uzależniła się od tego, doskonale zdaje sobie sprawę. Wyłącza film i otwiera forum. Rozpoczęła wątek o znalezionych zwłokach w December i ludzie już próbują rozwikłać sprawę tych morderstw.

Na początku zawsze jest tak samo. Szalone spekulacje i strzelanie w ciemno. Dopiero potem trafiają na dwa lub trzy tropy, dzięki którym można przeprowadzić porządne śledztwo. W ostatnich latach wspólnie rozwiązali osiem tajemniczych zbrodni i przekazali swoje analizy policji, a ta na ich podstawie była w stanie zamknąć sprawy i złapać sprawców. To chyba największa siła napędowa ich niesłabnącego zaangażowania. By wymierzyć sprawiedliwość, której sami nigdy nie zaznali.

Kim czuje uderzenie adrenaliny podczas czytania wpisów na forum. Ktoś zamieścił zdjęcie ofiar i próbują ustalić, kim one są, i znaleźć między nimi jakiś wspólny mianownik. Zdjęcie ciał na plaży zostało jednak zrobione z daleka średniej jakości aparatem w komórce, więc nie widać żadnych szczegółów.

Z tego co jej wiadomo, jako jedyna z grupy forumowiczów mieszka w December, dlatego została kimś w rodzaju kierownika projektu. Dostarcza informacje z miejsca zdarzenia. Ale nikt nie może poznać jej tożsamości, bo mogłaby stracić licencję.

Prowadzi niebezpieczną grę, ale właściwie niewiele ryzykuje. Zatraciła ciało i duszę. Przynajmniej tak się czuje. W dodatku chciałaby rozwiązać tę sprawę i pojawić się w komisariacie – tam gdzie tak wiele osób patrzy

na nią krzywo i uważa, że się wtrąca – z rozwiązaniem, na które sami nie wpadli. Żeby zamknąć im gęby. Kim wzdycha i przechodzi na zakładkę z Netflixem.

„Gdyby Jeffrey Dahmer mieszkał w December, wiem, komu bym go przedstawiła. Może by mi się poszczęściło”.

Po zaledwie kilku minutach znów wraca na forum. Spotkanie z Johnem Wagnerem to dobry pomysł na początek. Jako policjant może mieć jakieś poufne informacje, dzięki którym ludzie z forum wyjaśnią morderstwa, a nuż Kim je z niego wydobędzie.

Przełyka ślinę, wiedząc, że to, co ma zamiar zrobić, jest nieetyczne pod każdym względem, ale to jedyne, co wciąż nadaje sens jej życiu. To samo dotyczy innych członków na forum. True crime to nie tylko hobby, to coś, co daje im radość i chęć do życia. Co więcej, robią dobry uczynek. Pomagają policji rozwikłać zagadki kryminalne, a ofiarom odnaleźć spokój, który przychodzi dopiero po zamknięciu sprawy.

Kim dodaje post z najnowszymi informacjami. Jocke, mąż ofiary, Anniki, jest przesłuchiwany. Dodaje jego zdjęcie i dane. Za godzinę będą wiedzieć o nim wszystko.

Nie zabójstwo Anniki najbardziej ją fascynuje. Tylko pozostałe dwa przypadki – chce wiedzieć, kim są ofiary i dlaczego zostały zamordowane.

Po raz kolejny pomogą policji wymierzyć sprawiedliwość.

„A pewnego dnia i ja to zrobię” – myśli i dotyka blizny na brzuchu.

„Ali nie żyje” – myśli Faduma, trzymając w ręku naszyjnik, który od niego dostała. Jej kochany młodszy brat, który chciał tylko lepszej przyszłości.

Wygląda przez okno. Opuszczony budynek przemysłowy. Miał być ich domem. Przez jakiś czas mieszkali u Majora w Lyckan, ale ani jej, ani Alemu się tam nie podobało. Kręciło się tam zbyt wielu szemranych typów. Tutaj ma część ich starych mebli, wszystkie pamiątki po mamie. W okolicy jest mnóstwo opuszczonych, wymarłych budynków przemysłowych. Choć, co zaskakujące, wiele z nich zostało zajętych na różne sposoby. Za ten konkretny dała łapówkę, żeby zapewnić Alemu namiastkę stabilizacji. Kiedy o nim myśli, łzy napływają jej do oczu.

Nie mieli prądu, ale przynajmniej nie musieli płacić czynszu. Uciekła z bratem, zanim opieka społeczna zdążyła ich znaleźć i umieścić w różnych rodzinach zastępczych. Stała się kimś w rodzaju matki w wieku piętnastu lat, kiedy Ali miał zaledwie dziesięć. Faduma była jego nauczycielką, a także najlepszą przyjaciółką, aż w końcu podrośł i zaczął mieć własną wolę i marzenia, inne niż ona.

Chciał być bogaty i zabrać ich w inne miejsce, a wybierał tylko drogę na skróty. Próbował stać się mężczyzną, ale jak miało się to udać, skoro nie miał wzorców?

To jej wina. Była za niego odpowiedzialna, ale straciła go na rzecz gangu, i nawet nie wie, dlaczego został zabity i przez kogo.

Ostatni raz rozmawiali przed dwoma tygodniami. Potem zniknął bez śladu. Coś musiało się wtedy wydarzyć, bo wyłączył komórkę. W wiosce zaczęły krążyć pogłoski, że wyjechał na Bliski Wschód, by walczyć dla Państwa Islamskiego. Faduma nie ma pojęcia, skąd wzięła się ta idiotyczna plotka, ale przez nią wszyscy ludzie, którzy zwykle ją odwiedzali, zaczęli od niej stronić. Została zupełnie sama. I oczywiście była przekonana, że ta plotka to kłamstwo. Dobrze zna swojego brata. Znała.

Nierówny oddech.

Zawsze się odzywał i prawie codziennie pili razem kawę. Z pewnością chciał ją chronić, ale najwyraźniej go to przerosło i przepadł jak kamień w wodę... Natychmiast żałuje tego porównania.

Zastanawia się, czy utonął, czy już nie żył, kiedy znalazł się w wodzie. Tak czy inaczej, dowie się, kto go zabił, i dokona zemsty.

Jej zdaniem to ktoś z gangu, do którego należał, albo z tego, który z nimi walczył.

Faduma całuje naszyjnik i zamyka oczy.

„Zapomniane dzieciaki stają się królami przedmieść” – tak Ali zawsze powtarzał z nutą smutku w głosie.

Ojciec ich opuścił i wrócił do Somalii, kiedy byli mali. Zostawił ich z chorą matką, jak jakieś stare graty, nie oglądając się za siebie. Ali nie miał ojca, a tym samym wzorca.

Dziecko przedmieść. Klasyk.

Totalny banał...

Zyskał nowe wzorce. Degeneraci ze złotymi łańcuchami na szyi i szpnerskimi samochodami, kolesie wybierający łatwe i szybkie, choć niewłaściwe sposoby ociążenia celów. Próbowala skłonić Alego, by skupił się na szkole, ale on już zdążył wsiąknąć w struktury getta.

*You can check out any time you like, but you can never leave*, jak śpiewali Eagles. Faduma zna wszystkie ich teksty na pamięć, bo mama zawsze puszczała ich muzykę.

Cudowna, ukochana mama, która pracowała na dwa etaty, aż w końcu zmarła na raka. Wypalała dwie paczki dziennie, była głęboko religijna i walczyła o to, żeby mieli lepsze życie niż ona. Porzuciła wszystkie marzenia, by jej dzieci mogły rozwinąć skrzydła.

I po co?

I tak zmarła. Ali też nie żyje, a Faduma również mogłaby umrzeć. Marzyła o życiu z dala od December. Chciała stąd wyjechać i zacząć wszystko od nowa z Alim.



Mogła go tu zostawić, ale honor jej nie pozwalał. Mogłaby wyjechać teraz, po prostu zapomnieć o wszystkim i nie oglądać się za siebie, ale to niemożliwe.

W jej sercu rozgościła się zemsta. Doprawiła ją nienawiścią i żalem i się stąd nie wyprowadzi, dopóki nie pozna historii Alego. Prawdziwej historii jego śmierci.

*Inszallah...* Jeśli Bóg pozwoli...

Kilka razy uderza się w czoło. Płacze tak, jak tylko ona potrafi – zachowując kamienną twarz, kiedy łzy toczą się po policzkach.

Ociera je, zakręca kurek. Jeszcze przyjdzie czas na płacz. W dniu, w którym pomści brata. Poza nim nie miała nikogo. Zrezygnowała z pracy i ma plan. Aby poznać prawdę, będzie musiała się upodobnić do ludzi napawających ją wstrętem.

Jeśli trzeba będzie zabić, żeby udowodnić swoją lojalność, zrobi to. Zamierza postawić wszystko na jedną kartę. Nawet jeśli to miało oznaczać ostatnie rozdanie w jej życiu.

Potem ich zabije. Cały gang zniknie. Albo w grobie, albo w więzieniu.

*Inszallah...*

John Wagner zatrzymuje się w korytarzu przed gabinetem psychologicznym i wyostrza słuch. Co to za dźwięk... Jakby szlifierka kątowa? Ktoś robi remont w budynku? Nie, to nie to. To... Powoli zbliża się do drzwi i w końcu dociera do niego, co słyszy.

„To muzyka. O ile można to tak nazwać”.

Po drugiej stronie drzwi Kim Cordell słucha death metalu. Ta muzyka przypomina wrzaski trzech kotów... uwięzionych w stosie drewna... w czasie burzy. Nie wie, czy to dobrze, czy źle. Co to o tym facecie mówi? Mona Ott Öster twierdzi, że on jest tu najlepszy, a do tego zna tajemnice mieszkańców jak nikt inny.

„Cholera, co ja tu w ogóle robię?”

Jakby jego życie nie było już wystarczająco naszpikowane sesjami terapeutycznymi. Najpierw zalecili mu je przełożeni, potem seria prywatnych wizyt, by uporać się z mgłą mózgową, a także otchłania, w którą zapadł po zniknięciu Sary i Mattiasa.

„Co prawda w niczym to nie pomogło”.

Serce galopuje coraz szybciej, John zatrzymuje się tuż przed drzwiami. Szpera w kieszeni i wyciąga z niej talię tarota. Przekłada karty kilka razy, patrzy na złote oko na rewersie i myśli: „Powinienem z tym skończyć”. Zamyka oczy i odwraca wierzchnią kartę. Zerka na nią, tymczasem muzyka po drugiej stronie drzwi cichnie. Na tej karcie też jest jakiś facet. W długiej białej szacie i czerwonej pelerynie, z zapaloną świecą w jednej ręce i znakiem wieczności unoszącym się nad jego głową.

Mag.

„Subtelne – myśli John – doprawdy”. Często wyciąga tę kartę. Tak często, że zna jej interpretację na pamięć: Eksperymentuj i znajdź właściwą drogę. Czas wykazać się elastycznością.

„Taaa, oczywiście”. Podnosi rękę i puka. Co ma do stracenia? Kompletnie, kurwa, nic. W najgorszym razie ten typ okaże się bezużyteczny i równie mdły jak psychoterapeuta ze sztokholmskiej policji. W najlepszym – będzie miał do powiedzenia coś mądrego, czego John jeszcze nie słyszał. Coś, co może nawet pomóc. Istnieje taka szansa. Spróbuje być dla niego miły.

Drzwi się otwierają i John się wzdyga, gdy widzi rudowłosą kobietę. Wydaje się zestresowana, prawie tak samo wystraszona jak on. Z nerwów aż rumieńce zalewają jej policzki.

„Czy ona skakała do tej okropnej muzyki?”

John stara się powstrzymać uśmiech.

– Dzień dobry – wyciąga dłoń. – John Wagner. Jestem umówiony na wizytę u... doktora Cordella.

Kobieta pospiesznie ściska jego rękę. Zaraz potem robi krok do tyłu, poprawia włosy i spogląda na niego zadziornie.

– Ach, tak. Zobaczmy, spróbuję znaleźć doktora Cordella.

John wchodzi do gabinetu. Dociera do niego, że jest tu tylko ona. Kobieta przykładą dłonie do szarej jedwabnej bluzki i mówi:

– O, proszę. Oto jest! A może spodziewałeś się... kogoś innego?

Słyszy w jej głosie, że go przejrzała – że oczekiwał mężczyzny.

„Nieźle się zaczyna”.

Zmieszany chrząka w dłoń zaciśniętą w pięść.

– Przepraszam. Myślałem, że... No i jeszcze ta muzyka...

Kim krzyżuje ręce na piersi, ale ma rozbawioną minę.

– *In Flames* – wyjaśnia. – Jeden z najlepszych zespołów tego gatunku. Jeśli szukasz czegoś, co oczyszcza umysł i duszę równie dobrze jak gruntowne porządki, to polecam melodyjny death metal. Proszę, siadaj. Właśnie miałam nalać sobie kawy. Może też masz ochotę?

John patrzy na zegarek. Jeśli pije kawę po czwartej po południu, w nocy śpi jeszcze gorzej niż zwykle. Ale teraz jest jedenasta rano, przyjmuje więc propozycję. Patrzy, jak Kim znika w małej kuchni.

„Ładna dziewczyna” – myśli.

Potem wymierza sobie mentalny policzek.

„Sara żyje. Sara żyje i zaginęła, a ja się gapię na tyłek innej kobiety?”

Prostuje się, a ze smutku skręca go w żołądku. Siada w fotelu, który wskazała psycholożka. Rozgląda się po pomieszczeniu.

– Czy... dopiero co zmieniłaś gabinet?

Kim Cordell wraca z dwoma kubkami w rękach, a na jej twarzy maluje się poczucie winy.

– Nie do końca. Po prostu nie zdążyłam się jeszcze rozpakować. Wiesz, jak to jest. Mnóstwo roboty i innych spraw, które wyskakują pomiędzy. – Uśmiecha się, a z prawej strony nad ustami tworzy się jej dołeczek.

John bierze od niej kawę i dmucha w kubek.

– Dziękuję. Bardzo dobrze to rozumiem. A jak już się znajdzie czas, trzeba mieć na to siłę.

W chwili gdy Kim siada naprzeciwko Johna, dzieje się z nią coś niemal magicznego. Cały ten lekki pośpiech i chaos znikają, a ona, ze wzrokiem wbitym w niego niczym wiązka lasera, skupia się na nim i jego słowach. Jego uczuciach i myślach. Zaledwie w kilku zdaniach udaje jej się skłonić go do mówienia o najbardziej bolesnej rzeczy we wszechświecie. „Niektórzy ludzie mają taką supermoc” – myśli John. I Kim właśnie wykorzystuje ją w pracy.

Po piętnastu minutach rozmowy John uświadamia sobie, że lzy ciekną mu po policzkach. Stały się tak dobrze znaną częścią jego życia. Ociera je i kończy zdanie:

– Tak bardzo ich kochałem. Oboje. A teraz nie wiem, jak... mam żyć. Bez nich.

W ogóle nie robiła notatek. Po prostu słuchała i piła kawę, z tym swoim... hiperskupieniem. Nie czuje się jednak niekomfortowo. Wręcz przeciwnie. Czuje się widziany. Rozumiany.

– Czy myślisz, że Sara jest w December? Czy to dlatego tu jesteś?

– Tak, między innymi.

– Jaką masz teorię? Myślisz, że cię zostawiła? – Kim patrzy na niego łagodnie.

– Nie wiem.

– Nie da się poznać drugiego człowieka. Tak do końca.

– Co przez to rozumiesz?

Kim wpatruje się w niego.

– Nic takiego. W każdym razie. Łatwo się pogubić, gdy doświadczamy traumy. Nie należy mylić traumy i reakcji na nią z tym, kim jesteśmy i kim możemy się stać. Ale to nie takie oczywiste. Traumą można porównać do części garderoby, którą da się zdjąć i założyć ponownie.

– Jak dla mnie to raczej kaftan bezpieczeństwa – odpowiada John szepem, wyglądając przez okno.

– Tak może się wydawać. Nawet jednak kaftany bezpieczeństwa mają klamry i paski, które można rozpiąć. Tylko człowiek potrzebuje odrobiny pomocy. Nie da się tego zrobić samemu.

John się uśmiecha i uspokaja.

– Mam nadzieję, że masz rację. Może właśnie dlatego tu jestem. – Odstawia kubek z kawą i dostrzega wypełniony kosz z czasopismami. – Wi-dzę, że lubisz rozwiązywać zagadkowe morderstwa.

Kim zauważa, że John patrzy na stare numery „Brott & Mysterier”.

– Pewnie dlatego ja tu jestem – odpowiada, wzruszając ramionami jakby przepraszająco.

– Mam tak wiele tajemnic do rozwikłania, że czuję, jakbym tkwił w nich po szyję. A mimo to uparcie się mnożą. Naprawdę tego nie rozumiem. Zupełnie jakby ciągnęło mnie do nierozwiązanych zbrodni, jak sępa do świeżych zwłok.

– Słyszałam, że byłeś świadkiem wylądowania ciał z jeziora Trollsjön.

John słyszy zmianę w jej głosie. Widzi też, że Kim nieznacznie pochyła się ku niemu w fotelu. Uśmiecha się na myśl o tym, a smutek, który przed chwilą ciążył mu na sercu, teraz powoli się ulatnia.

– Rzeczywiście lubisz takie rzeczy.

Kim robi lekko skruszoną minę.

– W tym mieście niewiele się dzieje. A to, co się dzieje, to często rzeczy, o których lepiej nie myśleć. Więc wtedy te – wskazuje na gazety – do-

brze odwracają uwagę.

– Czy nie na tym właśnie polega twoja praca? Żeby zmuszać ludzi do mówienia o rzeczach, o których woleliby nie myśleć?

Teraz Kim głośno się śmieje.

– Szewc bez butów chodzi i takie tam. Tak już jest.

– Pobiegłem za jedną dziewczyną. Wtedy, gdy wyciągnęli pierwsze ciało. Więc chyba też nie bardzo umiem uciec od pracy policjanta. To jak dysfunkcyjny związek. Powinienem zostawić tę robotę za sobą i ona powinna zostawić mnie, ale okazuje się, że stale się przyciągamy.

Policzki Kim znów nabierają tego lekko czerwonego odcienia, a ona chrząka i zerka w notes.

– Śledziłeś jakąś dziewczynę? Co to za dziewczyna?

– Młoda, czarna z warkoczykami rastamańskimi. Stała niedaleko miejsca zdarzenia i płakała, mimo że nie było jeszcze widać, kto jest zawinięty w folię. Jakby wiedziała, kim jest ofiara.

– Warkoczyki – mówi Kim. – To chyba Faduma. Niewielu ludzi tu tak wygląda. Przed kilku laty przez pewien czas byłam zaangażowana w sprawę jej rodziny. Tragiczna historia. Przyjechali do Szwecji piętnaście lat temu. Ojciec ich opuścił, a matka zmarła. Dzieci zostały same i zanim zdążyliśmy im pomóc, zapadli się pod ziemię.

John wzdycha.

– Straszne, naprawdę. Tyle cierpienia i zła. A tak na marginesie... Mona chce mnie zatrudnić jako śledczego. Jakbym miał mało problemów w życiu. Czy wspominałem o mgle mózgowej?

Kim cmoka.

– Myślę, że musimy się umówić przynajmniej na jeszcze jedną wizytę. Ale uważam, że po dzisiejszej rozmowie powinieneś się przejść do komisarjatu i powiedzieć Monie o Fadumie. Wygląda na to, że ona coś wie. A skoro płakała, to ciało, które znaleźli, mogło należeć do jej młodszego brata, Alego. – W oczach Kim pojawia się smutek. – Mam nadzieję, że to nie był on. Był słodkim chłopcem. Po prostu zszedł na złą drogę, kiedy jego ojciec zwał. I mam nadzieję, że Fadumie nic nie grozi.

Następnego ranka John wchodzi na posterunek policji i natychmiast ogarnia go pałący niepokój. Cała ta atmosfera i dźwięki... Odgłosy klawiatury, dzwonięcie telefonów, rozmowy prowadzone przez krótkofalówki. Jakby nigdy nie odszedł z policji. Mózg reaguje od razu. Ścisza się w bezużyteczną oślizgłą kulkę wewnątrz czaszki i popada w odrętwienie, a ból w karku zapowiada atak migreny.

„Zawróć, do cholery. Po prostu w tył zwrot i wyjdź. Idź do domu i...”

No właśnie, idź do domu i co dalej? Wejście do komisariatu to prawdopodobnie najlepszy ruch, jaki może teraz zrobić, jeśli chce zbliżyć się do rozwiązania sprawy.

„Dla Sary i Mattiasa”.

Słowa Kim żrą jego mózg jak trąd.

„Nie da się poznać drugiego człowieka. Tak do końca...”

Komisariat mieści się na obrzeżach miasta w starym budynku kościoła, który został przerobiony na areszt i biura ze starymi meblami, wysokimi sufitami. Mimo zmian panuje tu duch chrześcijański. Nie licząc wysokiego sufitu i strzelistych witraży, przez które wpadają promienie słońca we wszystkich kolorach tęczy.

Biuro ma formę otwartej przestrzeni. Znajdują się tu także trzy zamknięte pomieszczenia, oddzielone szklanymi ściankami. Jest tu dość chłodno, choć wcale nie zimno.

John, z gęsią skórką na rękach, stoi jak zagubione dziecko w centrum handlowym, nie bardzo wiedząc, co tu robi. Znów się waha. Serce każe mu uciekać jak najdalej, za to mózg mówi mu, że musi zostać.

– John, przyszedłeś – woła Mona z daleka, a on aż się wzdryga.

– Ech, to był zły pomysł.

– Nie wygłupiaj się. Chodź, przedstawię cię pozostałym. – Łapie go za rękę i John podąża za nią. Policjantka pachnie mieszanką dwóch perfum.

John myśli o tym, co powiedziała Kim. „Nie da się tego zrobić samemu”. Jeśli się odizoluje, jeszcze bardziej się rozchoruje, a to przeraża go tak samo jak ponowne bycie policjantem.

Albo, najwidoczniej, nawet bardziej.

Podchodzą do każdego z funkcjonariuszy i John przedstawia się im krótko. Wszyscy się z nim witają, bo tak wypada, ale nie wydają się specjalnie zadowoleni, że tu jest. Jakies komentarze o burżuju ze stolicy i mieszczechu oraz typowe epitety o sztokholmczykach, wszystko wypowiedziane z trudnymi do zinterpretowania uśmiechami.

„Zapowiada się interesująco”.

To go jednak nie dziwi. Jest nowy i tu na północy nie powinien myśleć, że jest kimś.

Kiedy siadają przy stole, John wyczuwa nieprzyjemny zapach i się krzywi.

– Smród, no tak – zauważa Mona. – I to przez wielkie „S”. Regularnie go czujemy, i odwiedzający, i my, pracownicy. Przeważnie w upalne dni, ale zdarza się, że pojawia się w środku zimy. – Wzdycha głęboko i bierze do ręki małego gumowego trolla stojącego na stole. Gładzi go po sterzących włosach. – Nikt nie wie, skąd się bierze. Próbowaliśmy zlokalizować jego źródło wiele razy, ale zawsze kończymy w kuchni dla pracowników. Podejrzewamy, że to ekspres do kawy, ale ilekroć go wążamy... okazuje się, że to nie to.

– Fuj – komentuje John. Smród przypomina skrzyżowanie swądu przypalonych kabli z odorem futra okropnie brudnego dzikiego zwierzęcia. Potem nagle znika.

– No wiem – mówi Mona zrezygnowanym tonem. – Śmierdzi i wciąż jest to zagadka. Na początku myśleliśmy, że to Bulten, ale... – Wzrusza ramionami i odstawia małą figurkę na miejsce. – Na szczęście zapach pojawia się tylko na chwilę i zaraz potem znika. Można się do niego przyzwyczaić.

– Bulten?



– Owczarek niemiecki Jimmy’ego. Jedynie ten pies pachnie jeszcze gorzej. Ale on zwykle jest u Jimmy’ego w biurze.

John patrzy na zmęczonego psa z nakrapianą siwą mordą i długą sierścią, który siedzi obok policjanta po sześćdziesiątce w jednym z przeszklonych gabinetów. Mężczyzna ma ogromne, sumiaste, siwe wąsy.

– To Jimmy. – Mona wskazuje na kolegę po fachu. – Ciągłe przesiaduje w biurze i czeka na emeryturę, ale zna się tu na wszystkim, więc jeśli będziesz czegoś potrzebował, możesz go pytać. Tylko nie wchodź do jego biura. Tam masz Juliette – mówi Mona i pokazuje palcem kobietę po trzydziestce z czarnymi włosami związanymi w kucyk, dużymi, okrągłymi, srebrnymi kolczykami i wypisaną na twarzy pewnością siebie. – To karierowiczka, cholernie zdolna, ale może... czasami trochę nadgorliwa. A właśnie. Może napijesz się kawy?

– Nie, dziękuję.

– Tam przy ksero siedzi Waldemar, mówimy na niego Valle, i on zwykle obsługuje recepcję. Polak, prawdziwy macho-gej, o ile w ogóle takie słowo istnieje, studiował analizę sądową. Tak jak ty, jeśli się nie mylę?

– Sprawdzasz mnie? – John szczerzy zęby, a Mona w odpowiedzi wrzuca ramionami.

Valle to wysoki i szczupły mężczyzna z krótkimi, tlenionymi blond włosami, wygląda na rozgarniętego. Linia szczęki jak u modela. Zauważa, że John i Mona go obserwują, i lekko kiwa im głową.

„Przystojny, choć oczywiście nie w moim guście” – myśli John i uświadamia sobie, że wszyscy, nie tylko Valle, nieustannie na niego zerkają. Choć bardzo się starają, żeby tego nie zauważył. Jedynie Bulten wydaje się niezainteresowany. Siedzi przy biurku Jimmy’ego z wywieszonym językiem i powoli stuka ogonem o podłogę, gapiąc się przed siebie.

– Jesteś legendą, John.

Jej słowa łechcą jego ego.

– To nie tak, jak myślisz.

– Nie zgadzam się. Kogo jeszcze my tu mamy? No tak, Frank. Nasz nowicjusz. Niezwykle miły, ale... brak mu piątej kleпки. Dość małomówny

i szczerze powiedziawszy, niewiele o nim wiem, poza tym że mieszka za miastem i doskonale wykonuje swoje obowiązki.

John nie widzi w nim pewności siebie. Jest wysportowany, ale ma spojrzenie ofiary prześladowania. Unika kontaktu wzrokowego i potrafi nie rzucić się w oczy. John jeszcze przez chwilę rozmawia z Moną i w końcu mówi jej o Fadumie.

Obok nich przechodzi mocno zbudowany czarny mężczyzna, nie zwracając uwagi na Johna. Mruczy pod nosem coś o jakichś pieprzonych bachorach i patrzy w komórkę.

– To nasz kochany Axel Luo, z emocjami na wierzchu. Zawsze jest zły, pewnie dlatego, że co pięć minut musi biegać do domu, kiedy jego żona ma owulację. Poza tym próbuje się wzbogacić na bitcoinach. Cholernie dobry glina. Zawsze gotowy do akcji, dobrze mieć go przy sobie, kiedy coś się dzieje. To chyba wszyscy. Poza tobą, oczywiście. – Mona wyciąga kartkę i przesuwą ją po biurku. – Podpisz to i możemy zacząć działać.

– Jak to?

– Cóż, jeśli chcesz zobaczyć zwłoki wyłowione z jeziora i przesłuchać tę dziewczynę, Fadumę, za którą pobiegłeś, musisz ponownie zostać czynnym funkcjonariuszem. Ty robisz coś dla mnie, a ja dla ciebie. Każdy wygrywa i wszyscy są szczęśliwi. A ja lubię być szczęśliwa, Johnie.

– No więc...

– Oj, daj spokój. To nic wielkiego. Możesz zacząć pracować na pół etatu. Zorganizuj sobie grafik tak, jak ci pasuje, biorąc pod uwagę swoje samopoczucie. Nie dostaniesz teraz broni, może później, jeśli zaliczysz test strzelecki. Nie mogę dać ci takiej pensji, jaką miałeś w Sztokholmie, ale przynajmniej będziesz miał co robić. Zadania i towarzystwo. Czy nie tego właśnie potrzebujesz zdaniem Kim?

– Kim? Myślałem, że obowiązuje ją tajemnica zawodowa.

– Owszem, ale rozmawiamy teraz o twojej pracy. To oczywiste, że muszę popytać tu i tam. Jak inaczej miałyby to wyglądać? Daj spokój, będzie fajnie. – Mona uśmiecha się do niego szeroko.

John nie bardzo wie, jak to się dzieje, ale jego ręka zaczyna żyć własnym życiem. Bierze długopis i bazgrze na dokumencie parafkę.

Mona szybko chwyta umowę o pracę.

– No i proszę. Witamy w policji w December. Zobaczysz, że praca tutaj różni się nieco od tej w Sztokholmie. Nasz rejon to dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych, więc spodziewaj się dużych odległości między miejscami zdarzeń i niekiedy sporo czasu do zabicia. Jeśli zgłoszenie pochodzi z przedmieść, możesz się przygotować na to, że dotarcie na miejsce zdarzenia zajmie co najmniej dwie godziny. Możesz używać własnego samochodu, bo na razie nie mamy wolnego radiowozu. Wystarczy, że w każdy piątek wyślesz kilometrówkę do Vallego, a dostaniesz zwrot kosztów. Zacznij od porządnego przesłuchania tej dziewczyny, o której mówiłeś. Wszelkie pytania kieruj do Vallego lub Jimmy’ego. Juliette i Frank pracują nad sprawą zabójstwa pierwszej ofiary, Anniki Larsson. Sprawą dwóch niezidentyfikowanych ciał zajmiemy się my, to znaczy ty, ja i Axel. Valle będzie pomagał, gdziekolwiek będzie potrzebny. Jimmy trzyma wartość głównie tu, w komisariacie. – Mona wstaje i podaje mu rękę. – Zobaczysz, będzie super, Johnie Wagnrze. Jesteś tu bardzo mile widziany.

John zmieszany ściska jej dłoń i oblewa się zimnym potem. Rozgląda się dookoła. Widzi młodą, zadziorną policjantkę z kucykiem, która mierzy go surowym spojrzeniem i w najmniejszym stopniu nie wygląda na kogoś, kto uważa, że John jest tu mile widziany. Patrzy na niego raczej tak, jakby to właśnie on przyniósł ze sobą ten smród.

„Przeklęta Kim”.

Gdyby nie rozmowa z nią o tym, że potrzebuje pomocy z mentalnym kaftanem bezpieczeństwa, nigdy by się na to nie zgodził, do cholery.

Choć oczywiście...

Dzięki tej pracy, może mieć większy wgląd w śledztwo w sprawie Sary i Mattiasa, bo jest przekonany, że tu też je prowadzi. Jak tylko się dowie wszystkiego, co go interesuje, zawsze może ponownie zrezygnować i spróbować stać się zwykłym człowiekiem.

Faduma Tufaa podchodzi do trzech niedbale zaparkowanych samochodów. Pogoda jest zmienna, raz świeci słońce, raz niebo zasnuwa się chmurami i pada deszcz. Typowa pogoda w December. I w jej duszy.

Pod ścianą stoi kilku chłopaków w jej wieku obwieszonych złotem, z torbami nerkami i czapkami od Gucciego. Na twarzach mają wypisane „Jestem dilerem”. Z jednego z samochodów dobiega przesterowany głos rapera, który śpiewa o dziwce, co jest homo i czuje się tu jak u siebie w domu.

„Cholera, co za banał” – myśli dziewczyna, a jej serce zamienia się w bryłkę lodu.

Na jej widok kiwają głowami. Jest Somalijką jak oni i wie, że potraktują ją z pewnym szacunkiem. Z bramy wychodzi dwóch ludzi w średnim wieku. Na widok chłopaków szybko przebiegają na drugą stronę ulicy.

– *Salam alejkum*, siostró – odzywa się jeden z nich i robi krok do przodu. – Czy możemy ci jakoś pomóc?

– *Alejkum salam*, bracie. Tak, potrzebuję pracy. Muszę zdobyć cash. – Celowo mówi z akcentem bardziej niż zwykle, dodając ton z przedmieść, którego starała się pozbyć, gdy zaczęła szkołę. Miała być jak prawdziwa białaska, ale teraz wróciła do swojego dawnego ja. Choćby nie wiadomo jak się starała, nie wyrzeknie się swojego pochodzenia.

Chłopak się jej przygląda. Faduma ma nadzieję, że nie wiedzą, kim jest, że Ali to jej brat. Diler się do niej szczerzy, na zębie błyszczy mały diament.

– Nie chcesz się tym zajmować.

– Właśnie, że chcę. Potrzebuję szybkiego hajsu. Można mi zaufać, ciężko pracuję i mogę sprzedawać towar ludziom, do których wy nie jesteście w stanie dotrzeć. Spójrzcie na siebie, z daleka da się wyczuć, że nale-

życie do gangu. A kto by mnie podejrzewał? Jestem niewidzialna. Jestem tylko czarną laską, na którą nikt nie zwraca uwagi.

Chłopak kiwa głową i patrzy na pozostałych. Jeden z nich wzrusza ramionami.

– Nie wiem, kim jesteś.

– A ja nie wiem, kim ty jesteś – ripostuje.

Diler się śmieje i znowu błyska diament na zębie.

– Prawda. Daj mi swój dowód.

Faduma spełnia prośbę i ma nadzieję, że nie wie, kim jest Ali. Mają dość powszechne nazwisko, ale w Somalii nazwisko jest najważniejsze. To opowieść o tym, kim się jest, w nim zawiera się cała historia danego człowieka. Jako jednostka jesteś nikim, rodzina jest najważniejsza. Kobiety nawet nie przyjmują nazwiska męża, tylko dostają je po ojcu, dziadku i tak dalej. Dobry Somalijczyk powinien umieć wymienić swoich przodków do dziesięciu pokoleń wstecz.

– Tufaa – czyta chłopak na głos, unosząc brwi. – Znasz Alego Tufaa?

– Nie – kłamie Faduma. – Miliony ludzi mają na nazwisko Tufaa – dodaje.

– Może jesteśmy kuzynami – mówi Somalijczyk, a pozostali się śmieją.

– Wszyscy Somalijczycy są kuzynami – zauważa dziewczyna i też się śmieje, chociaż ma ochotę wbić mu nóż między oczy.

Mężczyzna robi telefonem zdjęcie jej dowodu. Pyta, gdzie mieszka, i dziewczyna znowu kłamie.

– Okej, podobasz mi się – mówi tamten. – Właśnie straciliśmy jednego chłopaka, więc jeśli się wykażesz, może uda ci się awansować i zaczniesz zarabiać więcej. Na razie przyjmę cię na okres próbny jako kurierkę. Musimy cię najpierw lepiej poznać i zobaczyć, co potrafisz. Będziesz pracować dla Lwów, ale przede wszystkim dla mnie. Spróbuj nas sobie wyobrazić jako różne komórki z szefami na czele oraz szefem wszystkich szefów, który nimi zarządza. Witaj w stadzie.

– Kto jest alfą?

Chłopak patrzy na nią nowym, bardziej niebezpiecznym spojrzeniem.

– Sorry, nie mój biznes – dodaje, a on znów się rozluźnia.

Pstryka palcami i podchodzi do nich jeden z dilerów.

– Mahmoud da ci paczkę i adres. Nie spieprz tego – ostrzega, a Faduma kiwa głową i przykłada rękę do serca.

– Dzięki, stary. Na pewno tego nie spieprzę. Zobaczysz. – Bierze od niego brązową paczuszkę i adres.

– Zobaczymy.

Faduma odchodzi i rusza w stronę swojego skutera. Będzie najlepszym kurierem na świecie, a potem zajeździe te wszystkie Lwy.

John siedzi w swoim czarnym audi A6 przed komisariatem, dawnym kościołem, i mocno zaciska ręce na kierownicy. Starsza pani drepcze powoli chodnikiem i ciągnie za sobą kraciasty czerwony wózek na zakupy. Wiatr szarpie jej brązowym jesiennym płaszczem i rozwiewa staruszcze włosy. W czasie gdy John się jej przygląda, z innego samochodu wyskakuje mężczyzna, podbiega do kobiety i pomaga jej ciągnąć wózek. Pyta ją o coś i wskazuje na swój samochód.

„W Sztokholmie takich rzeczy się nie widuje” – myśli John.

Kominy huty w oddali nieustannie wypełniają niebo nad December nowymi spalinami.

„Cholera, co się właśnie wydarzyło?”

Miał tylko wejść do komisariatu i opowiedzieć o tej młodej czarnej dziewczynie to, czego się dowiedział od Kim. W każdym razie tak sobie obiecywał. A teraz siedzi tu i co? Znowu został policjantem?

„Kurwa, jak to w ogóle możliwe?”

Lecz dobrze wie, jak to się stało. Już zaczęła mu mieszać w głowie.

„Kim Cordell i jej psychoterapeutyczne techniki voodoo. A skoro mowa o voodoo...” Wybiera jej numer, jednocześnie obserwując, jak starsza pani, coraz bardziej pochylona, z trudem stawia kroki na chodniku, idąc pod rękę z mężczyzną, który najwyraźniej zamierza ją podwieźć. Kim odbiera po jednym sygnale.

– Doktor Cordell, słucham?

– John Wagner z tej strony. Cześć, ja... – Przerywa, rozgląda się po parking, potem przenosi wzrok na kościóło-komisariat i zastanawia się, co powiedzieć. Nie musi się jednak o to martwić, bo Kim kontynuuje rozmowę w miejscu, gdzie skończył:

– Mam nadzieję, że zrobiłeś tak, jak się umawialiśmy, i porozmawiałeś z Moną?

– Czy naprawdę taka była umowa? Nie do końca tak to pamiętam.

– No cóż. Chyba tylko jedno z nas ma lekkie problemy z pamięcią, prawda? Więc... jak poszło? Co powiedziała? Jaki masz teraz plan?

John nie może powstrzymać się od śmiechu. Psycholog wysmiewający swojego pacjenta z powodu jego problemów z pamięcią? Gorzej być nie może.

– Chwila, chwila. – Dociera do niego, że ta krótka wymiana zdań mimo wszystko złagodziła niepokój, który przynajmniej na chwilę ukrył się za... czymś innym. – Tak, byłem na spotkaniu z Moną.

– I?

– I wygląda na to, że zostałem zatrudniony na pół etatu. – Wzdycha i uruchamia silnik.

Kim zaczyna piszczeć po drugiej stronie słuchawki.

– Och! Świetnie! Ogromny postęp. Słyszę, że naprawdę wzięłeś sobie do serca naszą rozmowę. Rany! Gdyby z wszystkimi pacjentami szło mi tak łatwo, kilka wizyt i byłabym bez pracy.

– Mhm. Ale teraz to ja mam dla ciebie małe zadanie. A jeśli chodzi o bycie twoim pacjentem... Jestem wdzięczny za rozmowę i za rady, ale... myślę, że mam dość terapii na całe życie. Bez urazy.

– Zadanie? Dla mnie? – pyta Kim tak, jakby w ogóle nie słyszała, co powiedział.

John się uśmiecha.

– Pamiętasz naszą rozmowę o tej czarnej dziewczynie? – Zerka na kartkę w dłoni, żeby sprawdzić jej imię. – Fadumie?

– Tak, no jasne.

– Mówiłaś, że trochę ją znasz. W takim razie potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o to, żebym mógł z nią chwilę porozmawiać, ale z tego, co mi wiadomo, nie mieszka pod aktualnym adresem. Na ulicy... – ponownie sprawdza notatki – ...Verksgatan czternaście.

Kim milknie na chwilę. John słyszy w tle przerzucanie kartek.



– Myślę, że wiem, gdzie ona jest – mówi kobieta. – Ale jako twój psycholog muszę ci doradzić, żebyś najpierw po mnie przyjechał.

– Jako mój... Ale że co?

– No więc... rozmawiałam już z nią kilka razy, a przede wszystkim znałam jej brata i mamę. Jak ci się wydaje, co jest bardziej prawdopodobne: że będzie chciała rozmawiać z gruboskórnym macho-gliną z wielkiego miasta czy ze mną?

– Gruboskórny macho-glina?

– Wiesz, co mam na myśli. Po prostu przyjedź po mnie. Pożyczyłam auto mojej najlepszej przyjaciółce, Elin. Jej samochód się zepsuł... znowu. Długa historia. W każdym razie. Mogę być gotowa za pięć minut.

Mahmoud wpada bez tchu do pokoju, gdzie na sfatygowanej skórzanej kanapie siedzi Yusuf i gra w Counter-Strike'a z jakimiś przypadkowymi typami z Rosji.

Yusuf ma problemy z koncentracją. Poszukiwanie telefonu i tego, kto go ma, zajmuje wszystkie jego myśli i wprowadza zamęt w głowie. Jeśli go nie znajdą, to koniec.

Pełne popielniczki i puste puszki po red bullu zaśmiecają stolik pod jego stopami. Pod ulotką z supermarketu leży czarny pistolet, a waga kuchenna z resztkami białego proszku na wierzchu prawie spada, gdy Yusuf rusza nogą.

– Szefie, musisz kończyć. – Mahmoud staje między nim a ekranem telewizora.

Yusuf klnie i stara się patrzeć na grę między nogami chłopaka, jednocześnie nerwowo przyciskając guziki na padzie.

– Jestem w środku, kurwa, walki, ziom. Ostatnim razem, jak przerwałem w trakcie, nie wpuszczali mnie przez tydzień. Człowieku, Rosjanie to totalne świry. Jeśli znów przeze mnie przegramy, naślą na mnie ludzi Putina i skopią mi dupę.

Mahmoud jednak się nie poddaje.

– *Walla*, na Boga. Musisz wiać. Oni kierują się na wzgórze.

– Jacy oni?

– Ten stary rudy skurwiel. I jeszcze co najmniej dwóch, jeśli dobrze widziałem przez lornetkę.

Yusuf nagle ma gdzieś Putina i swoich potencjalnych zabójców. Rzuca kontroler na kanapę i gwałtownie wstaje z kanapy.

– Teraz? Nie mogą tu teraz przyjść.

Nagle ma się wrażenie, że trzask wystrzałów na ekranie telewizora to zły omen.

– Wiem, stary. Mam iść po resztę?

– Tak, przyprowadź tu wszystkich. Nie chcę, żeby myślał, że może tu tak po prostu sobie przyjść i nami rządzić. – Yusuf wsuwa splotkę za pas. Glock ma tylko pięć naboji w magazynku, ale to bez znaczenia. Sam widok broni powinien wystarczyć.

Pięć minut później, gdy Tom O'Connor w matowoczarnym pick-upie marki Dodge Ram wjeżdża na zakurzone podwórko na wzgórzu, przed domem stoi pięciu młodych chłopaków w szeregu, każdy z widocznym pistoletem za pasem.

Cień zmierzchu powoli opada na góry niczym szary potwór, gotowy połknąć wszystko i wszystkich. Światło dnia słabnie, a w dolinie zaczynają świecić latarnie. Tu w górach szybko robi się ciemno. Yusufa przechodzi dreszcz na myśl o legendach, które słyszał. O trollach porywających ludzi do wnętrza prastarych gór.

Prostuje się i ma ochotę się uderzyć w czoło. Przecież to bajki! A on ma stanąć twarzą w twarz z człowiekiem z krwi i kości oraz z furii i prochu, a on, kurwa, fantazjuje o bajkach dla dzieci?

„Mają okazać nam szacunek” – myśli Yusuf, ale słyszy w sobie jakiś zgrzyt. Fałsz. Pot pojawiający się na dłoniach jest bardziej szczerzy, ale chłopak zaciska zęby. Musi pokazać, kto tu rządzi i że nie boi się tego skurwiela, który wygląda, jakby właśnie porzucił swoje banjo i współżonę.

Kiedy O'Connor wyskakuje z samochodu i zatrząskuje drzwiami, jego twarz jest bardziej czerwona niż zwykle i przypomina chmurę gradową. Mimo że ma swoje lata, porusza się sprawnie, a do tego to kawał chłopca. Wygląda na silnego. Jest z nim tylko dwóch kolesi. Na szczęście. Ten ich gang różni się od band innych białasów. Yusuf doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Są o wiele bardziej niebezpieczni.

Tom, z tymi swoimi szczerzymi oczkami, powoli podchodzi do Yusufa, którego serce zaczyna bić szybciej niż na imprezie rave. Naprawdę wygląda jak wariat. Rude włosy poprzetykane siwizną sterczą na wszystkie strony. Yusuf dumnie unosi głowę, żeby wszyscy widzieli, że nie zamierza

się ugiąć. Zaschło mu jednak w gardle i ma wrażenie, że jabłko Adama wyskoczy mu z ust przy przełykaniu śliny.

– Powinieneś wcześniej zadzwonić – mówi Yusuf, a w jego głosie słychać pewność siebie. Nie może pokazać słabości, kiedy reszta na niego patrzy. Kładzie rękę na spluwie.

– Czy to moja góra, czy twoja? Komu z nas wolno tu mieszkać? – Tubalny głos Toma O’Connora pasuje do jego szerokiej klaty. Wygląda, jakby od dwustu lat jadał niedźwiedzie na śniadanie. – I puść glocka, zanim wsadzę ci go w dupę.

Yusuf zabiera rękę z pistoletu.

– Stary. Wielkie dzięki, ale raczej nie mieszkamy tu za darmo, prawda? – Yusuf przeklina siebie za słabość przebijającą się przez jego głos. Poddańczość. Gdyby postawił na swoim, dorwałby tego idiotę tu i teraz. Nikt jednak nie wygrywa w strzelaninie, w której wszyscy giną. W ten sposób nie zdobędzie potrzebnej mu gotówki.

– Podoba ci się tutaj, Yusufie? – pyta Tom delikatnym tonem. Jego ludzie w jasnych spodniach khaki stoją za nim, trzymając w rękach broń automatyczną. Wyglądają jak wojskowi, a może nawet nimi są.

– Tak, dlaczego pytasz?

– Nie wygląda mi na to. – Tom okrąża Yusufa i staje tuż obok niego, nie patrząc w jego stronę. Lekko się o niego ociera, co tylko sprawia, że chłopak czuje się nieswojo.

– Przestań pierdolić. O co ci chodzi, do cholery?

– Produkujez tu to swoje gówno, nikt tu nie przychodzi i ci nie przeszkadza. Chronimy cię przed mendami, przed innymi gangami. Na mojej gorze nic nie dzieje się bez mojej wiedzy.

– Wiem – mówi Yusuf niepewnie, nie wiedząc, dlaczego Tomowi puszczaają nerwy. A kiedy Tom zaczyna tracić panowanie nad sobą, staje się najbardziej niebezpieczny.

Mężczyzna wyciąga z tylnej kieszeni złożoną gazetę i przyciska ją do piersi Yusufa.

– Więc jak to wyjaśnisz?

Yusuf rozkłada gazetę i czyta pierwszą stronę. Najpierw nic nie rozumie. Piszą o trzech ciałach wyłowionych z jeziora, tam gdzie wyrzucili Alego.

– No i? – odzywa się może trochę zbyt ostro.

Tom łapie chłopaka za kark i przyciąga do siebie. Staruch jest tak silny, na jakiego wygląda. Chłopcy stojący za Yusufem wyciągają pistolety. Na dźwięk odbezpieczanej broni wszyscy milkną i zamierają w bezruchu. Jedynie, co się porusza, to ciemność pełzająca po górach i serce Yusufa, które bije jak galopujący dziki koń. Wtedy Tom powala chłopaka na ziemię, zupełnie niewzruszony wycelowanymi w niego pistoletami.

– Dlaczego wrzucasz trupy do mojego jeziora, pieprzony czarnuchu?! – krzyczy.

Yusuf połyka to, co podchodzi mu do gardła, i dociera do niego, że musi spuścić z tonu, by przeżyć.

– Nie wiedziałem, że to twoje jezioro. Poza tym wrzuciliśmy tam tylko dwa. Przysięgam.

Tom go puszcza.

– Przysięgnij na życie matki! Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? Nie wrzuca się trupów do jeziora, ty jebany świrze. Zawsze trzeba dopilnować, żeby nikt ich nigdy nie znalazł. Gliny zaraz się pewnie u mnie zjawią i zaczęną zadawać pytania. Powiedz mi, Yusufie... – Tom przysuwa się do chłopaka, a ten wyraźnie czuje zapach alkoholu. Jego ojciec zawsze tak pachniał. – Dlaczego mam płacić za twoje głupie błędy?

Yusuf milczy. Próbuje szybko coś wymyślić i znów czuje się jak dziecko. Jak wtedy, gdy ojciec bił go za rozlanie mleka, za późne wracanie do domu, za niedokładne posłanie łóżka. Daje ręką znak swoim chłopakom, by opuścili broń. Robią to po chwili wahania.

– Może powinienem wrzucić kilka trupów do twojego samochodu? Byłoby fajnie, co nie?

Chłopak potrząsa głową.

– To się już nie powtórzy. – Czuje się z tym strasznie, ale musi tak powiedzieć.

Tom patrzy na niego z satysfakcją, nie rozkazuje jednak swoim gorylom opuścić broni, mimo że wszyscy ludzie Yusufa już to zrobili.

– Nie, oczywiście, że nie, bo jeśli jeszcze raz wyrzucisz choć jednego trupa tu, w moich górach, znikniesz na zawsze. Zapłacicie grzywnę, rozumiesz?

– Tak jest. – Yusuf nie może przeboleć, że tak to się potoczyło. Nie może znieść, że Tom przypomina mu ojca i że przez niego wracają wszystkie wspomnienia, które wlecze ze sobą w niewidzialnych saniach.

– Od tej pory płacicie dwadzieścia procent. I pamiętajcie, jeszcze jeden trup albo choćby zaśmieccie czy zastrzelicie zwierzę w górach i przestajecie istnieć. Wymażę całe twoje pieprzone DNA, stąd aż do Somalii. Czy to zrozumiałe?

– Tak.

– Dobrze. – Odrywa wzrok od Yusufa i przenosi spojrzenie na resztę chłopaków. Patrzy na nich wymownie i prycha pogardliwie: – Dzieciaki. Każdy, co do jednego. Może jesteście lwami tam, skąd pochodzicie. Ale tutaj, w moich górach, lew nie musi mówić innym zwierzętom, że jest lwem. Po prostu to po nim widać.

Spluwa na ziemię, wraca do swojego pick-upa i palcem wykonuje w powietrzu kółko. Towarzyszący mu mężczyźni wskazują do samochodu i na pakę. Odjeżdżają z piskiem opon, pozostawiając za sobą jedynie smak porażki.

Yusuf się odwraca. Widzi zwątpienie w oczach chłopaków. Nie rozumieją układu i teraz wiedzą, że płaci Tomowi procenty od narkotyków.

– Na co się, do cholery, gapiecie? – wybucha i wszyscy szybko odwracają wzrok. – Kiedyś rozprawimy się z tymi sukinsynami. Staruch nie kuma jeszcze, że teraz nowe pokolenie przejmie władzę. A z Lwami się nie zadziera.

Kiwają głowami, choć widzi w ich oczach niedowierzanie. Wchodzi do środka. Dociera do niego, że nie może robić interesów z Tomem w nieskończoność. Prędzej czy później zostanie tylko jeden z nich.

Kim i John idą przez zapuszczony obszar przemysłowy. Widzą rozpadające się budynki z czerwonej cegły z wybitymi oknami i ptasimi gniazdami na kominach. Mijają wózek na zakupy odwrócony do góry nogami i prawdopodobnie używany jako grill. Kilku ćpunów znika jak szczury na widok Johna, który na twarzy ma wypisane, że jest gliną.

– Chyba cię nie lubią. – Kim szturcha go lekko łokciem.

– Skąd ja to znam – mruczy John, przypominając sobie, jak to było być policjantem. Kopie zardzewiałą puszkę i wtedy rozlega się skrzek sroki na obumarłym drzewie kilka metrów od nich. – Czy ona naprawdę mieszka gdzieś tutaj?

– Tak. Nie domyśla się, że o tym wiem, ale raz śledziłam ją i Alego.

– Śledzi... Dlaczego?

– Martwiłam się o nich, ale nie chciałam... no nie wiem. Sprawić im więcej kłopotów.

– Nie zadzwoniłaś do opieki społecznej?

– Nie. Wtedy po prostu by uciekli i znaleźli sobie nowe miejsce. Czasami lepiej jest wiedzieć, niż nie wiedzieć. Tak jak teraz. Faduma jest wyjątkowa. Inteligentna i niezwykle uparta.

Wchodzą do jakiegoś budynku, starej fabryki z biurami. Tu i ówdzie John widzi kocowiska, czy jak je nazwać. Paskudne legowiska z cuchnących koców, spleśniałych kartonów i rozlatujących się drewnianych palet. Miejsca, gdzie ćpuny trzymają towar i śpią, gdy nie mogą znaleźć nic lepszego. Świadomość, że mieszka tu dwójka dzieciaków, sprawia, że czuje się podle.

„Jeden dzieciak. – John poprawia się w myślach. – Drugi zamieszkał na dnie jeziora”.

Wchodzą po schodach na drugie piętro, otwierają drzwi z niezamkniętą kłódką i idą korytarzem do jakiegoś biura. Przed wejściem jest straszny syf, ale w środku panuje porządek. Jak na miejsce takie jak to. Na ścianie ktoś namalował sprayem dość ładne graffiti przedstawiające górskiego trolla, który jest związany z historią miasta.

Kim się zatrzymuje i puka w drzwi. Kładzie palec wskazujący na ustach i odwraca twarz do Johna.

– Faduma, tu Kim. Doktor Cordell. Pamiętasz mnie? Jesteś tu?

Czekają kilka sekund. Faduma wyłania się z zupełnie innego pomieszczenia, zamiera na ich widok, po czym biegnie na koniec korytarza. Kim natychmiast rusza za nią.

– Faduma, czekaj!

Możliwe, że John powinien również za nią pobiec, ale tego nie robi. Kim jest od niego szybsza. Spokojnym krokiem udaje się za nimi.

W momencie gdy Faduma otwiera okno na schody przeciwpożarowe, Kim ją dogania i łapie za rękę.

– Nie bój się, proszę, chcemy tylko porozmawiać.

Faduma puszcza ramę okna. Przenosi wzrok z Kim na machającego w ich stronę Johna.

– I dlatego zabrałaś ze sobą glinę – wyrzuca z siebie. – Nie gadam z *aina*. Zwłaszcza z takimi, którzy mnie ścigają.

– Ech, cześć, jestem John. – Kim posyła mu mordercze spojrzenie. – Dobra, już dobra. W takim razie... może poczekam na zewnątrz. – Zostawia kobiety same na korytarzu.

Po wyjściu z budynku staje i zamyka oczy, a wtedy, mimo że nic tego nie zapowiadało, wszystko zaczyna wirować. Zawroty głowy? Znowu? Cholera, co to może znaczyć? Słyszy w głowie głos Mony, która opowiada o mężu przykutym do łóżka dwadzieścia trzy godziny na dobę.

„Czy to mnie właśnie czeka?”

Oblewa go zimny pot i przechodzą go ciarki. Przestaje mu się kręcić w głowie, otwiera oczy i spogląda na ten zaniedbany teren. Podobno była tu kiedyś fabryka porcelany, a niedaleko znajduje się stary kamieniołom.



W południowej części miasta jest jeszcze większy obszar przemysłowy. I chyba również opuszczony. Zakłady przemysłu ciężkiego, które działały i wymierały tu na przestrzeni dziejów, wciąż odciskają piętno na miasteczku December. W oddali, na północ stąd, widać nowe kominy huty. Jedyny zakład, który przetrwał do dwudziestego pierwszego wieku. Nie tylko przetrwał, ale i prężnie działa. Słupy czarnoszarego dymu unoszą się nad hutą w zasadzie przez całą dobę. To dobrze, bo inaczej dwie trzecie ludności December nie miałoby pracy.

John podąża wzrokiem za kluczem migrujących ptaków. Kim wychodzi z budynku i staje za nim, więc się do niej odwraca.

– Wydobyłaś z niej coś wartościowego? – pyta John, próbując opanować zawroty głowy.

– Tak, ale ty mi w tym nie pomogłeś – odpowiada Kim bez owijania w bawełnę, co Johna nieoczekiwanie wprawia w złość.

– Ponieważ się przedstawiłem? Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że to jest zabronione tutaj w krainie bidoków. Nie mówię językiem wieśniaków.

Kim przechyla głowę i przesuwa językiem po przednich zębach.

– Może właśnie dlatego tutejsi ludzie nie mają zbyt wielkiej ochoty z tobą rozmawiać? Odpuść sobie tę wielkowiejską wyniosłość. W December takie nastawienie nie pomoże ci posunąć się w sprawie ani o milimetr do przodu.

John unosi obie ręce.

– Okej, okej, sorry. Po prostu... nie czuję się najlepiej. To co ona w końcu powiedziała?

Kim drapie się po policzku.

– Na początku nic. Można powiedzieć, że nie ma najlepszych doświadczeń z urzędnikami państwowymi. Wreszcie udało mi się coś z niej wyciągnąć przy użyciu odrobiny perswazji. I... pięćdziesiąt stów.

– Przekupiłaś ją?

Kim prychnęła.

– Przeku... Zapłaciłam za informacje, których potrzebowaliśmy. Policja musi chyba mieć na to jakieś specjalne konto?

John nie może powstrzymać się od śmiechu i kręci głową.

– Myślę, że naoglądałaś się zbyt wielu amerykańskich kryminalów. No ale co ona powiedziała?

– Więc nadal chcesz wiedzieć? W takim razie chyba dobrze, że – Kim robi cudzysłów w powietrzu – przekupiłam Fadumę?

John przewraca oczami.

– No tak, tak. Czy chcemy stać tu jeszcze dłużej i zamarznąć na śmierć? Czy zamierzasz mi kiedyś odpowiedzieć?

Kim się odwraca i patrzy na zniszczony budynek.

– Biedactwo. Jej oczy były całkowicie... martwe. Dobrze podejrzewałaś. Wiedziała, kogo wyłowiono z jeziora. To straszne. To jej młodszy brat Ali leży w kostnicy. Miał tylko szesnaście lat.

– Dlaczego? Kto go zabił?

– Nie spreycyzowała. Powiedziała tylko, że zadawał się z naprawdę niebezpiecznymi typami. Gang, który ma gdzieś tutaj laboratorium amfetaminy. Sama próbuje dowiedzieć się więcej i jest w pełni świadoma, że ją zabiją, jeśli się zorientują, że na nich doniosła.

John mruczy pod nosem.

– Szesnastolatek z Somalii, kobieta w średnim wieku i ... jeszcze jeden młody mężczyzna, również obcego pochodzenia...

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że być może z tego jeziora nie wszystko wyciągnięto.

– Ale że co? Sądzisz, że jest więcej ofiar?

John kiwa głową i zaczyna iść w stronę samochodu. Kim z trudem za nim nadąża.

– I... – kontynuuje Kim, siedząc już w samochodzie i pocierając dłonie, żeby je rozgrzać. – I być może jakieś dowody morderstwa? Cholera, nawet nie chcę wiedzieć, co jeszcze może być w tym jeziorze.

– Jesteś pewna? – pyta z uśmiechem John.

Kim stuka lekko palcem w dolną wargę, gdy wyjeżdżają z terenu przemysłowego.

– No dobra, masz rację. Chcę wiedzieć, ale to trochę przerażające.

– Powinienem pojechać prosto do szpitala i porozmawiać z lekarzem medycyny sądowej – stwierdza John, włączając wycieraczkę, by zetrzeć z szyby mżawkę, która zaczęła zacinać ze wszystkich stron.

– W porządku. Możesz mnie podrzucić do mojego gabi... Albo nie. – Kim odwraca twarz w jego stronę z nowym błyskiem w oczach. – Jedźmy do centrum – mówi. – Wiem, z kim możemy pogadać, kto wie wszystko, co się dzieje w tym przeklętym miasteczku.

John wraz z Kim wysiadają z samochodu i udają się do parku w samym centrum December. Ta najstarsza część miasta wyróżnia się na tle pozostałych zabudowań. Johna przechodzą dreszcze, mżawka opadająca na twarz tworzy dodatkową warstwę zimna. Kim, która podobno wychowała się i mieszkała w December przez większość życia, wydaje się zupełnie niewzruszona tym okropieństwem.

– Piękną tu macie pogodę – komentuje kwaśno John i po tych słowach ślizga się na mokrej trawie.

Kim prycha z niezadowoleniem.

– Posłuchaj. Na jeden metr kwadratowy w naszym mieście przypada więcej historii niż prawdopodobnie w całej twojej dzielnicy w Sztokholmie. Spójrz – wskazuje ręką – ruiny kościoła w centrum miasta datowane są na połowę piętnastego wieku. Przed nim, jak widzisz, zbudowano studnię. Udekorowano ją różnymi darami niczym kapliczkę.

– Mówisz to tak, jakbym powinien był to wiedzieć. A gwoli przypomnienia, Sztokholm to cholernie stare miasto – odpowiada John. – O bogatej historii.

Kim wzdycha z rezygnacją.

– Jasne, ale skoro zamierzasz pracować w December, może warto by było się wysilić i dowiedzieć, co dla tutejszych ludzi ma znaczenie? Studnia jest na przykład ważna dla wizerunku i historii miasta. I nawet działa. Można opuścić wiadro, nabrać wody i wypić ją prosto z niego. Podobno ta woda ma lecznicze właściwości.

– W sztokholmskich wodach można łowić ostrygi i jeść je prosto po złowieniu – odburkuje John, ale mimo wszystko trochę go zainteresowała historia December. Poznanie miasta może okazać się kluczem do ustalenia, gdzie jest Sara. Poza tym musi przyznać, że Kim jest urocza, kiedy opowiada z takim entuzjazmem. Podejrzewa, że ma tak samo wiele do za-

rzucenia temu miasteczku co on. Ale tak to już jest. Samemu można narzekać na swoje rodzinne miasto, ale biada obcemu, który coś źle o nim powie. John pyta z uśmiechem:

– Jest jakaś dziwna historia o powstaniu tego miasta, prawda? Czytałem coś chyba w jakiejś broszurce.

Kim przystaje. Jej twarz wyraźnie pogodnieje i zaczyna snuć opowieść w taki sposób, który całkowicie go oczarowuje.

– No tak. Mówi się, że któregoś dnia górski troll zabrał pewnego odmieńca do wnętrza góry. Okazało się jednak, że wprowadzone dziecko to nikt inny tylko Lorentz Styltenhjelm, jedno z najszlachetniej wówczas urodzonych niemowląt w królestwie, więc ludzie wyruszyli w pościg. Po kilku dniach ucieczki górski troll dotarł tutaj i postanowił się tu osiedlić, ponieważ uznał to miejsce za niewiarygodnie piękne. Brakowało jedynie wody, więc troll gołymi rękami wykopał studnię, która teraz stoi w centrum miasta. Poszukiwacze małego Styltenhjelma po jakimś czasie dopadli trolla, zabili go i uratowali chłopczyka. Zauroczeni pięknem tego miejsca postanowili jednak nie wracać do rodzinnej wioski. Styltenhjelm już jako dorosły, w podzięce swoim wybawcom, kazał wybudować kościół, a także został pierwszym burmistrzem December. W dawnych czasach mieszkańcy utrzymywali się z wydobycia rudy i z leśnictwa, ale obecnie głównym pracodawcą jest huta, a jej właściciele, rodzina Ackermannów, to miejscowa szlachta. W tysiąc sześćset czterdziestym trzecim roku December otrzymało prawa miejskie, więc za dwadzieścia jeden lat będziemy obchodzić czterystulecie tego wydarzenia. Niektórzy już rozpoczęli planowanie obchodów, a zwłaszcza Claire Olofsson, przewodnicząca rady miejskiej.

John się śmieje.

– To dlatego w sklepie z pamiątkami sprzedaje się głównie rzeczy związane z trollami i małe butelki wody ze studni?

– Zgadza się. Choć nie przyjeżdża tu zbyt wielu turystów. Przybywają tu tak naprawdę głównie w okolicach Halloween i Bożego Narodzenia, ale to zasługa Claire. Jest pół-Amerykanką i trzeba przyznać, że dzięki niej miasto zaczęło się rozwijać.

Ruiny kościoła w jednym końcu parku to raptem trzy odcinki szarych kamiennych murów na skrawku trawy otoczonych czarnym płótem z kutego żelaza. John widzi też za ogrodzeniem kilka zniszczonych, przekrzywionych nagrobków.

„Vintage’owy urok, jeśli w ogóle można tak powiedzieć” – myśli John, podążając za Kim. Mijają studnię, tabliczkę z obrazem trolla, który ją wykopał, i dwa stare dęby z popękanymi, pustymi w środku pniami. Tu, w dolinie zwykle nie ma wiatru, a liście jeszcze nie spadły z drzew, mimo że są pomarańczowe i ciemnoczerwone.

Przy każdym z dębów siedzą na ławkach starsi ludzie. Na jednej dwóch mężczyzn, na drugiej – dwie kobiety. John słyszy, jak się kłócą.

– Oni tak od czasów powstania chłopskiego pod wodzą Nilsa Dackego. – Śmieje się Kim. Idzie w stronę kobiet, które pokazują środkowe palce swoim mężom. – Flinchowie i Storchowie. Dwa najstarsze rody w December, podobnie jak rodzina von Grytt. To śmiertelni wrogowie rodu Ackermannów, właścicieli huty. Walczą również sami ze sobą, choć w tym przypadku wydaje mi się, że to raczej kwestia walki między kobietami a mężczyznami. Spór między nimi trwa od bardzo dawna, pewnie już nawet nie pamiętają, dlaczego się nienawidzą.

Johnowi kręci się w głowie od tych wszystkich informacji. Próbuje zapamiętać nowe nazwiska, gdy przechodzą obok ławek.

– Dzień dobry. Ładny dzisiaj dzień – zagaja grzecznie Kim, zatrzymując się przed staruszkami.

– Szkoda tylko, że te stare pryki psują widok – zrzędzi jedna z pań.

John przygryza policzki, żeby się głośno nie zaśmiać.

– Zamknij się, Ido. To jakiś cholerny cud, że w ogóle masz jeszcze przednie zęby – odpowiada jeden ze staruszków.

– Dobra, dobra – mówi Kim. – To, że ktokolwiek z was w ogóle żyje, jest prawdopodobnie największym cudem świata.

Wszyscy starcy wybuchają śmiechem. Johnowi trudno ich rozszyfrować. Czy oni naprawdę się tak nienawidzą?

– Słyszeliście może o ciałach wyłowionych z jeziora? – pyta Kim.

– Tak, biedna Annika – stwierdza Ida. – Pozostała dwójka należała do gangu, więc nie ma w tym nic dziwnego.

– Chyba żartujesz – dziwi się Kim.

– Słuchaj no, przecież mówiło się, że gangi niedługo zaczną ze sobą walczyć.

– Wiecie, z jakiego gangu byli? – wtrąca John.

– A ty kim jesteś? – pyta jeden z mężczyzn.

– Przepraszam, John Wagner. Policjant, powiedzmy.

– Cóż, chyba najwyższy czas, żeby w tym mieście było więcej policjantów. Wygląda na to, że gang przejął tu władzę. Co zamierzacie z tym zrobić?

– Naprawdę nie wiem – odpowiada John. – Dopiero zacząłem tu pracę. Mężczyźni wzdychają, a kobiety kręcą głowami.

– Co wiecie o gangach? – pyta Kim.

– Nie rozmawiamy z nimi, ale mogę się założyć o prawą rękę mojej żony, że mieszkają w górach. Niech troll zabierze ich wszystkich.

Cała czwórka prycha jednocześnie, a Ida spluwa w trawę pod stopami.

– Kiedyś było lepiej – zauważa jeden ze starców.

– Co ty, do cholery, o tym wiesz? – naskakuje na niego Ida, która najwyraźniej nie przejmuje się utratą swojej prawej ręki. – Jesteś niedołązny i cierpisz na demencję. To cud, że nie rozwiodłam się z tobą dawno temu. Jestem po prostu zbyt miła.

Znowu zaczynają na siebie krzyżeć. Kim bierze Johna pod rękę i go odciąga.

– Oni byli trochę dziwni – oznajmia policjant i w tym momencie wraca do niego wspomnienie innego spaceru po parku. Sara i on w Humlegården w ciepłym wiosennym słońcu. Uświadamia sobie, że nie do końca odpowiada mu nagła bliskość Kim. Jediną kobietą, która wcześniej chwyciła go pod ramię w ten sposób, była Sara.

– Są najlepszym monitoringiem i pocztą pantoflową w December. Ale... tak jak mówisz, to dziwacy. Postaraj się dobrze z nimi żyć. Mogą okazać się pomocni. Coś jak zwiadowcy.

Dzwoni komórka Johna. Gdy odbiera połączenie, Kim puszcza jego ramię, a on się rozluźnia. Stwierdza, że jednak nawet mu się to podobało.

– Cześć, John. Frank i Juliette przeszukali dom Anniki Larsson i znaleźli zakrwawiony młotek zakopany w ogrodzie. Czasami bogowie są po naszej stronie. Aresztowali jej męża, Jockego – mówi Mona. – Nie przyznaje się do morderstwa, ale przecież zawsze tak jest.

– Tak, wiem. Pozostałe dwie ofiary są powiązane z gangami. Jedną z nich jest Ali Tufaa. – John nic nie wspomina o wkładzie Kim w śledztwo, głównie dlatego, że nie wie, jak zareagowałaby Mona, gdyby się dowiedziała, że wciągnął ją w sprawę. Mona właściwie zrobiła to samo. Zbieranie materiałów przed zatrudnieniem, czy jak ona to nazwała.

– O, świetnie. Mówiłam ci, że będziesz wartościowym pracownikiem. Zajmij się w takim razie tym gangiem, a my zabierzemy się za Jockego. Widziałeś się już z patologiem?

– Ach, prawda. Jutro rano tam pójde. Muszę najpierw coś sprawdzić – odpowiada John i zastanawia się, co takiego miał sprawdzić. Rano miał pewien pomysł, ale widocznie pochłonęła go mgła mózgowa.



„Ciekawe, czy mnie zabiją” – zastanawia się Faduma, siedząc na tylnym siedzeniu lśniącego bmw Yusufa, a serce bije jej szybciej niż u królika. Niebo zaciąga się skłębioną masą grafitowych chmur, by chronić wszechświat, jakby przeczuwało, że zaraz wydarzy się coś złego. Słodki zapach marihuany oraz rozbrzmiewający rap idealnie komponują się z gęstą atmosferą w samochodzie, którą można by kroić nożem. Dziewczyna się zastanawia, czy zorientowali się, że jest siostrą Alego.

– Czy coś się stało? – pyta. Chciałaby uciec, ale to niemożliwe. Siedzi między dwoma chłopakami, których nigdy wcześniej nie widziała. Yusuf z przodu na fotelu pasażera i małomówny kierowca o imieniu Mahmoud.

W samochodzie śmierdzi tanimi męskimi perfumami zmieszanyymi z potem i trudno jej oddychać. Działa zbyt impulsywnie, a pomysły rozwiązania sprawy zabójstwa własnego brata i zemsty na całym pieprzonym gangu wydają się coraz głupsze.

– Wyluzuj – mówi Yusuf, gdy samochód zaczyna wyjeżdżać z centrum, z którego ją odebrali.

– Dokąd jedziemy? – pyta Faduma, wycierając spocone dłonie o uda.

– Zadajesz za dużo pytań – denerwuje się chłopak.

– Przepraszam – mówi najspokojniej, jak potrafi, gdy tymczasem panika zżera ją od środka.

Na udach jednego z chłopaków siedzącego obok niej leży spluwa. Fadumie wydaje się, że przesterowany rap o przemocy i zemście jest skierowany do niej.

„Czy właśnie tak czuł się Ali, zanim go zabili?”

Mruga, by powstrzymać łzy. Nie ma stuprocentowej pewności, że to Yusuf zamordował Alego. Krąży plotka, że Lwy są w stanie wojny z Bombazem, innym gangiem w mieście. Somalijczycy walczą z Somalijczy-

kami. Zdaniem białych Szwedów to sytuacja idealna. Pod warunkiem że sami nie wejdą im w drogę.

Jadą powoli w stronę gór, a nad doliną szybko zapada zmrok. Na niebie pojawiają się burzowe chmury, po chwili góry opanowują krajobraz i rzucają na samochód duże cienie.

W zależności od światła i pozycji słońca na niebie góry wyglądają tak, jakby się poruszały, jakby były żywe, i co chwilę się zmieniają. Las na zboczach niemal faluje, jest przerażający i piękny jednocześnie.

– Mamy problem – stwierdza Mahmoud.

– Morda – ucisza go Yusuf, a Mahmoud patrzy na Fadumę w lusterku wstecznym, przez co staje się jeszcze bardziej nerwowa.

„Kurwa, to był naprawdę zły pomysł” – myśli, gdy jadą drogą wzdłuż zbocza. Teraz jest pewna, że ją zabiją.

John właśnie podrzucił Kim przed gabinet i rozważa, czy powinien jechać dalej na i zacząć szukać wskazówek dotyczących gangu, czy raczej zrobić zamiast tego to, co mu mózg podpowiada, i wrócić do domu, nafaszerować się lekami i spróbować się uspokoić.

W głowie mu brzęczy, jakby przegryzł elektryczny pastuch, a wcześniejsze zawroty utrzymują się w każdej komórce ciała niczym groźny duch. Może jednak powinien jechać dalej? Tylko na chwilę, a potem skończy dzień pracy.

John wciąż ma kontakty w Sztokholmie i może oni będą w stanie powiedzieć mu coś więcej o gangu zwanym Lwami. Uzmysławia sobie, że nigdy nie zajmował się przestępczością związaną z gangami ani młodzieżą. Głównie były to morderstwa w starym, szlachtetnym stylu. Po stażu spędził kilka lat w jednostce specjalnej, po czym trafił do szwedzkiego Krajowego Oddziału Operacyjnego, NOA, gdzie mu się bardzo podobało. Dopóki Sara i Mattias nie zniknęli i wszyscy nie zaczęli krzywo na niego patrzeć.

Prawie wszyscy.

Mógłby zadzwonić do Virpi Salo. Jego dawna mentorka w sztokholmskiej policji i jedna z niewielu osób, która nigdy, ani przez chwilę, nie pomyślała, że mógłby mieć coś wspólnego ze zniknięciem Sary i Mattiasa. „Virpi zwykle wie o wszystkim”.

„Zwykle wiedziała” – John musi się poprawić w myślach, kiedy przypomina sobie, że Virpi również została zdegradowana i musiała z powrotem założyć mundur, po jednej porządnej wtopie w czasie pracy dla NOA.

Odpala samochód. Od jakiegoś czasu było wiadomo, że gangi z dużych ośrodków odkryły zalety rozpoczęcia działalności w małych miasteczkach, gdzie zagęszczenie policji jest mniejsze, ale nikt tak naprawdę nie wiedział, co z tym zrobić. Wygląda na to, że teraz problemy wielkich

miast dotarły do małego December, a przy okazji największej strefy wpływów gangów w Szwecji.

„Cholera, jak to możliwe?” – myśli. Cały ten syf zdaje się podążać za nim, gdziekolwiek by się znalazł.

W chwili gdy postanowił, że jednak wróci do domu, a drażnienie tematu gangu przełoży na jutro – w końcu miał organizować sobie dni pracy tak, jak chciał – dostrzega znajomą twarz i się wzdryga. To Faduma. Lecz ta pewność siebie, która jej towarzyszyła, gdy widział ją po raz ostatni, zniknęła.

„Nic dziwnego, że po jej asertywności nie ma śladu” – myśli John, widząc otaczających ją dwóch kolesi w drogich dresach i białych sportowych butach. To oczywiste, że towarzystwo wskakujące właśnie do bmw to nie trójka znajomych, tylko dwóch agresywnych typów zabiera ze sobą przerażoną dziewczynę, która tak naprawdę wcale nie chce z nimi jechać.

„Jasna cholera”.

Nie może tego tak zostawić. To on dostał sprawę gangu i oto ma ich tuż przed nosem. I wcale nie wygląda na to, że wybierają się na piknik. John odruchowo sięga po policyjne radio, żeby poprosić Monę o wezwanie po siłków, jednak po chwili dociera do niego, że jeszcze go nie dostał.

„Noż kurwa”.

Czerwone światła stop bmw przed nim gasną, a serce Johna zaczyna bić szybciej.

Potem samochód odjeżdża, pozostawiając za sobą białą chmurę spalin. Kieruje się na północ, w stronę gór.

„Wyglądała na przerażoną”.

John powinien zadzwonić po wsparcie. Po Monę albo tego potężnego gościa, Axela Luo. Do komisariatu jest za daleko. Nie zdąży sprowadzić pomocy. Mógłby wyjąć komórkę i zadzwonić po kogoś, ale z każdą upływającą sekundą czarny samochód się oddala, a jeżeli straci ich z oczu, nie będzie miało znaczenia, co widział, a czego nie. Do kogo zadzwoni lub nie.

„Muszę jechać za nimi od razu”.

Serce skacze mu w piersi niczym samochód rajdowy po wybojach, a oddech przyspiesza.

„Kurwa, kurwa, kurwa”.

Co jeśli ją też zabiją, tak jak zrobili to z jej bratem? Może zeznania Fadumy wystarczą, żeby ich zgarnąć? A jeśli nie, to chociaż po pierwszym przesłuchaniu. I któryś z nich na pewno pęknie w trakcie. Z jednego może uda się coś wyciągnąć. Jeśli John, śledząc ich, zachowa ostrożność, może doprowadzą go do swojej kryjówki. Wtedy dowie się, gdzie skierować wszystkie posiłki. Tak czy inaczej, nie może pozwolić, by skrzywdzili Fadumę, bez względu na to, jak bardzo była zarozumiała. To nie w jego stylu.

„Nie bądź głupi. Jedź za tymi bandziorami ORAZ jednocześnie zadzwoń po wsparcie. Żaden z ciebie Samotny Jeździec, do cholery”.

Kiedy dwa samochody przejeżdżają obok i jadą teraz za bmw, John podejmuje decyzję, włącza kierunkowskaz i wjeżdża na pas za nimi. We wstecznym lusterku napotyka własne odbicie. Dostrzega cienką warstwę potu na czole i czuje znajome mrowienie w karku, które oznacza zbliżający się atak migreny. Nic na to nie poradzi.

Szuka tabletki w kieszeni, po czym przetyka ją bez popijania. Usiłuje się skupić, mimo że zamglenie umysłu skutecznie mu to utrudnia, i jednocześnie sięga po telefon. Na dwie sekundy odrywa wzrok z drogi, by znaleźć numer do Mony Ott Öster.

Kiedy z powrotem spogląda przed siebie, przez jezdnię przebiega gruby rudy kot i John musi mocno wcisnąć hamulec. Telefon spada między przednie siedzenia.

– Kurwa mać! – wykrzykuje, widząc oddalające się bmw.

Prawie się nie zastanawia...

Wcisną gaz do dechy...

Musi dać radę w pojedynkę. Co złego może się stać?

Jakieś pół godziny później przeklina siebie, gdy jadące pięćdziesiąt metrów przed nim bmw, nagle, bez wyraźnego powodu przyspiesza na krętej górskiej drodze.

„Niech to szlag. Musieli mnie widzieć”.

Zwykle nie podjeżdża się tak blisko i raczej dba o to, żeby nie podążać bezpośrednio za śledzonym samochodem, ale w tym wymarłym miasteczku tak się nie da. Tu na drodze ruch panuje niewielki. A gdyby był zbyt daleko w tyle, mogliby z łatwością skręcić w jeden z wielu zjazdów prowadzących do lasu albo w góry. Pełno tu starych szlaków, którymi niegdyś przeprowały się wozy konne, załadowane drewnem, rudą i Bóg wie czym jeszcze. Niektóre zarośnięte, inne nie.

John prowadzi samochód lewą ręką i po raz drugi próbuje wyłowić telefon komórkowy spomiędzy siedzeń, ale udaje mu się jedynie wcisnąć go jeszcze głębiej.

Zgrzyta zębami, gdy pod wpływem stresu ból migrenowy przeszywa czaszkę, jakby adrenalina była ostrym mieczem. Ale teraz nie ma już nic do stracenia.

Również dodaje gazu. Nie ma sensu się dłużej ukrywać. Bmw zwiększyło prędkość z siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, najpierw do osiemdziesięciu, potem do dziewięćdziesięciu, a teraz prędkościomierz pokazuje sto, mimo że John nawet się do nich nie zbliża.

„To śmiertelnie niebezpieczne...”

Jeśli łoś czy niedźwiedź wyjdą na jezdnię, to gudbaj. Im wyżej, tym droga jest bardziej kręta, a gdzieniegdzie tak wąska, że spotkanie z takim zwierzęciem na zakręcie grozi śmiercią. Johna ścisza w żołądku, kiedy pokonuje ostry zakręt w prawo. Potem wyjeżdża na prosty odcinek drogi.

Asfalt, pochyłe słupy wysokiego napięcia, kolczaste zarośla i głązy... ale żadnego bmw. Przynajmniej nie na odcinku dwustu metrów, które ma

przed sobą.

„AŻ TAK szybko nie mogli jechać. Musiałem...”

John gwałtownie naciska hamulec, widząc chmurę kurzu na szutrowej drodze prowadzącej w prawo, którą właśnie minął.

„Tam!”

Pisk opon na asfalcie. Skrzynia biegów jęczy, gdy John z walącym sercem usiłuje wrzucić wsteczny bieg. Znowu klnie, ale w końcu mu się udaje. Cofa. Ponownie wciska hamulec. Skręca kierownicę do oporu w prawo i rusza w pościg. Modli się do wszystkich bogów i przekłętego górskiego trolla, żeby nie było żadnych rozwidleń.

„Muszę...”

Zanim zdążył się zorientować, znów wcisnął pedał hamulca w podłogę. Żwir pryska spod kół samochodu, który zatrzymuje się z poślizgiem jakieś trzydzieści metrów od miejsca, gdzie staje ścigane auto.

Bmw parkuje na ukos przy pomalowanym na żółto szlabanie blokującym przejazd. Na zdezelowanym brązowym znaku po prawej stronie widnieje napis „DROGA PRYWATNA ”. Przy szlabanie jeden z chłopaków mocno trzyma Fadumę za ramię. Pozostali stoją przy samochodzie, za otwartymi drzwiami i celują w stronę Johna z różnych broni.

Dźwięk przeładowywania.

Nadchodzący chaos.

„Kurwa...!”

John schyla głowę. Spadają na niego odłamki szkła, kiedy kule uderzają w przednią szybę. Przebijają blachę i szkło, niczym pozdrowienia wysyłane z piekła.

Nie chce umrzeć w ten sposób. Po piętnastu latach służby w policji, nie będąc ani razu postrzelonym, zginie w jakiejś pieprzonej dziurze zabitej dechami.

Przez kilka sekund panuje cisza i John wykorzystuje moment przeładowywania broni. A może ruszyli w jego stronę, żeby sprawdzić, czy żyje?

Dwoma palcami wyławia telefon pomiędzy siedzeń, wkłada go do kieszeni, otwiera drzwi i wyskakuje na zewnątrz. Potyka się, ale wstaje,

w chwili gdy znów padają strzały.

Biegnie ile sił w nogach w głąb lasu, gałązki uderzają go w twarz. Gdy przykłada rękę do policzka i widzi na niej krew, zastanawia się, czy przypadkiem nie został postrzelony.

– Za nim! – słyszy i nie przestaje biec.

„Przepraszam, Fadumo” – myśli, a dźwięk kolejnych strzałów rozchodzi się po lesie. Pociski uderzają w pnie lub świszczą tuż koło niego jak wściekłe osy.

Dokucza mu mgła mózgową, musi zamrugać kilka razy, żeby wyostrzyć wzrok.

– Tam jest ten chuj! – krzyczy ktoś inny.

John ma wrażenie, że te świry biegną za nim już całe wieki. Serce zaraz mu eksploduje, jak w *Obcym*. Nie czuje nóg, jest pewny, że tamci wkrótce go dogonią. To młodzi ludzie. On w porównaniu z nimi to stary dziad.

Zatrzymuje się, gdy dochodzi do małego wodospadu. A może to rzeka. John nie ma pojęcia. Jest kolesiem z miasta, do cholery.

Rozlega się trzask łamanych gałęzi, członkowie gangu są coraz bliżej. Kolejne strzały i wtedy czuje szczypanie w lewej ręce, jakby ktoś przeciągnął go nożem po skórze. Ból pojawia się niemal natychmiast.

„Trafili mnie”.

Jest bez broni i bez szans.



## 25

– Wsypałaś nas?! – ryczy Yusuf, ciągnąc ją w stronę chaty.

– Aua! Zwariowałaś?! Dlaczego miałabym was wsypać?! – wykrzykuje dziewczyna.

– Jesteś nowa. Niezła laska, która pojawiła się znikąd. Tylko ty mogłaś donieść.

– Nawet nie wiem, kim jest ten facet – kłamie Faduma.

Wtedy chłopak popycha ją na starą, brązową skórzaną kanapę. Śmierdzi tu młodymi mężczyznami. Kwaśnym potem, niemytymi kutasami i zwietrzałym red bullem.

Yusuf chodzi przy oknie w tę i z powrotem. Mahmoud stoi w drzwiach wejściowych, widać, że denerwuje się tak samo jak ona.

Yusuf podchodzi do stołu, wysypuje na niego kupę białego proszku i wciąga go jak jakiś Al Capone.

Wpadł w panikę i mało prawdopodobne, żeby narkotyki mu pomogły. Faduma szuka wzrokiem dróg ucieczki, ale Mahmoud trzyma pistolet w rękę. Dwóch pozostałych chłopaków pobiegło za Johnem.

Dlaczego, do cholery, ich śledził? Wpakował ją w niezłe gówno. Dobra, może myślał, że ona jest w niebezpieczeństwie, i pewnie się nie mylił, ale tylko pogorszył sprawę.

Yusuf podchodzi do niej i patrzy na nią oczami, które wydają się dwiema czarnymi dziurami. Chwyta ją za bluzkę i nią szarpie.

– Mogę przysiąc, że masz gdzieś podsłuch.

– Zostaw mnie! Przestań svirować! – krzyczy, ale on się nie poddaje. Rozrywa jej bluzkę, odsłaniając piersi.

Nieruchomieje. Staje nad nią i ciężko oddycha. Faduma okrywa się strzępami bluzki. Serce bije jej tak szybko, jakby zaraz miało wyskoczyć i uciec w bezpieczne miejsce, zostawiając ją z tym psychopata.

„Dlaczego chciałam się bawić w prywatnego detektywa? Dlaczego rozmawiałam z Kim?”

Nigdy nie pozna prawdy o tym, co stało się z Alim. Nigdy nie będzie mogła spojrzeć w oczy osobie, która go zamordowała, a jednocześnie pociągnąć za spust, o czym marzyła, odkąd znaleziono jej brata w jeziorze. Umrze tutaj.

„Za kogo ja się, kurwa, uważałam? Za jakąś pieprzoną superbohaterkę?”

– Wsypałaś nas czy nie? – syczy Yusuf i przyciska lufę do jej głowy.

Dotyk śmiercionośnej, twardej stali na skórze sprawia, że chce jej się wymiotować, a żołądek ssie, jakby miała zaraz skoczyć z urwiska.

– *Walla*, nie rozmawiałam z *aina*. Dlaczego niby miałabym to robić? Chciałam tylko uzbierać trochę kasy. Ktoś inny musiał donieść, jeśli w ogóle. Może to był tylko zwykły facet jadący w góry?

– Nikt tak po prostu nie wybiera się w góry. Nie tą drogą. Kim on jest?

– Nie wiem, przecież mówię! Nigdy wcześniej go nie widziałam!

– Może mówi prawdę – ostrożnie wtrąca Mahmoud.

– Zamknij się! – Yusuf mocniej przyciska lufę do czoła Fadumy, a ona zamyka oczy.

„Idę do ciebie, Ali” – uspokaja się w myślach. Pieprzyć to. I tak nie ma po co żyć.

Mija sekunda...

Łzy pieką pod powiekami.

Kolejna sekunda...

– No strzelaj! – wydziera się dziewczyna. Otwiera oczy i patrzy mu prosto w twarz.

– Jeśli powiesz prawdę, będziesz żyć – mówi Yusuf.

– Odbiło ci. Nic nie zrobiłam.

„Klik!”

Faduma prawie robi pod siebie, ale nadal żyje.

Yusuf szczerzy się do niej.

– Masz większe jaja niż Mahmoud. – Zabiera pistolet z jej czoła. Przechyla głowę i się jej przygląda, jakby była małym, brzydkim psem. Niemal z obrzydzeniem.

– Tak się dzieje, gdy wprowadzasz laski do stada. Jebane przekleństwo.

Faduma milczy. Wie, że balansuje na cienkiej linii. Kilometr nad ziemią. Wszystko zależy od tego, czy będzie teraz trzymać głowę na kłódce.

Opada na kanapę, a wtedy drzwi się otwierają i cała trójka niemal sra ze strachu. To jeden z pozostałych kolesi. Staje i wbija wzrok w Yusufa i Fadumę.

– Co tu się dzieje?

– Laski to przekleństwo – odpowiada Yusuf. Przeładowuje pistolet i kieruje go na dziewczynę, która patrzy teraz prosto w lufę matowoczarnej broni.

– Stary. Glina nie żyje – oznajmia chłopak. – Trafiliśmy go i wpadł do rzeki. Nie możesz jej tu zabić. DNA.

– Dobrze. – Yusuf się szczyrzy. – Nie chcę jej zabić. Żeby udowodnić swoją lojalność, będzie musiała dorwać jakiegoś gliniarza. – Podchodzi do biurka. Wyjmuje rewolwer i wytrząsa z niego wszystkie kule oprócz jednej, po czym jej go daje. – Zawieź ją do miasta. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie kropniesz policjanta, zaczniemy cię szukać.

– Gdzie jest John? – pyta Kim w komisariacie.

– Nie wiem. Nie odbiera telefonu. – Mona spogląda na duży zegar na ścianie, który pokazuje czas zimowy, mimo że wciąż jest lato. – Pewnie niedługo się pojawi, albo i nie. Muszę dać Andersowi coś do jedzenia, więc właśnie wychodzę.

Kim zostaje i siada. Już ma obgryźć paznokcie, ale zaciska dłoń w pięść. Stary nawyk, z którym się uporała, czasem, w chwili zdenerwowania obnaża swe paskudne oblicze.

Czuje się tak, jakby nie wolno jej było tu być. Jakby Mona wiedziała o jej wpisach na forum i rozgadywaniu o morderstwach. Ale w takim wypadku nie pojechałaby przecież do domu, zostawiając ją tutaj.

– Napijesz się kawy? – pyta nagle Juliette, podając jej kubek.

– Tak, chętnie. – Kim bierze go od niej lekko zaskoczona.

Juliette zwykle nie jest dla niej miła. Wręcz przeciwnie, należy do tych, którzy w ostatnich latach traktowali ją mniej przyjaźnie i domagali się, by przestała się ciągle wtrącać w prowadzenie śledztw, i zapewne cieszyliby się, gdyby na dobre opuściła December. Zdumiona przygryza dolną wargę, gdy policjantka siada przed nią. Ciepło kubka ją uspokaja. Jak wtedy, gdy miała koszmary, a babcia dawała jej filiżankę z gorącą czekoladą. Po chwili do niej dociera, o co w tym wszystkim chodzi.

„Juliette ma gdzieś to, co robię jako detektywka amatorka. Potrzebuje mnie jako psycholożki. Potrzebuje porady na temat czegoś lub kogoś”.

Dmucha w kubek. Przez chwilę myśli o tym, żeby również zadrzeć nosa i zachowywać się tak, jak niekiedy Juliette wobec niej. Widząc jednak oczy młodej policjantki, odrzuca cały ten plan i musi wejść w rolę psycholożki. To po prostu leży w jej naturze.

Juliette wyraźnie ma coś na końcu języka, Kim widziała podobne spojrzenie już tyle razy. Pojawia się prawie u każdego pacjenta, kiedy ma opowiedzieć o traumie lub swoich tajemnicach.

– Wyduś to z siebie. – Kładzie rękę na dłoni Juliette.

– Obowiązuje cię tajemnica zawodowa, tak?

– Oczywiście – odpowiada psycholożka, ale uważa, że trochę nagina prawdę, biorąc pod uwagę forum patrolobywatelski.net.

– Ja... lunatykuje.

– Ojej – odpowiada z uśmiechem. Miała nadzieję na bardziej pikantną historię.

– I budzę się w dziwnych miejscach – szepcze Juliette.

– Gdzie na przykład?

Drzwi do komisariatu się otwierają i wchodzi John. Wygląda jak potracony przez samochód borsuk. Rękaw koszuli na lewej ręce jest zakrwawiony. Z jednej strony twarzy ma zadrapania. Ręce brudne, a buty pokryte zaschniętym błotem. Ciemnoblonde włosy sterczą mu na wszystkie strony, a spod kołnierza wystaje mały patyk.

– Słuchaj, przegadamy to kiedy indziej. Umów się na wizytę – kończy Kim i wstaje.

John, powłócząc nogami, podchodzi do Vallego.

– Muszę pożyczyć radiowóz.

– Chryste – mówi Valle. – Ruchałeś się z niedźwiedziem? – Brzmi to tak, jakby mu zazdrościł.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – John bierze od Vallego kluczyki do samochodu i wkłada je do kieszeni. – I daj mi też, kurwa, jakiś radiotelefon.

Valle podaje mu krótkofalówkę. Kiedy Kim podchodzi do Johna, on unika jej wzroku. Jakby się wstydził. Ona wyciąga z torebki chusteczkę i przykłada mu ją do policzka, a skoro on się nie sprzeciwia, przeciera wszystkie zadrapania na jego twarzy.

– Pachniesz jeziorem – stwierdza Kim.

John spogląda na nią, nieco łagodnieje i wydaje z siebie długie westchnienie.

– Musiałem zostawić auto i łąziłem przez pół nocy. Kula ledwo drasnęła mnie w ramię i pewnie myślą, że nie żyję. To jedyne pozytywy całej tej sytuacji.

– Kula?! – wykrzykuje Kim.

– Później ci opowiem. Nie mam teraz na to czasu. Muszę wrócić do domu i się przebrać, a potem pora na wizytę w szpitalu. Najpierw jednak coś sprawdzę. – Rusza w kierunku piwnicy, w której znajdują się archiwa.

„Pół etatu, ta, jasne” – myśli John, gdy półtorej godziny później wychodzi z windy w podziemiach szpitala w December.

Nie bardzo już wie, co myśleć. Zszedł do archiwum w policyjnej piwnicy i wreszcie znalazł to, czego szukał – teczkę z imieniem Sary, chyba z pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku. Najdziwniejsze było to, że nic w niej nie znalazł.

Ktoś musiał przez pomyłkę wsadzić zawartość teczki gdzie indziej albo ukraść to, co było w środku, żeby nikt tego nie odszukał. Nie wie, co teczka zawierała. Znaczna część archiwum nie została zdigitalizowana, zabrnął w ślepy zaułek.

Zastanawia się, dlaczego Sara nigdy o tym nie wspominała. Że ma swoje akta w policji.

„Może ma jeszcze więcej tajemnic?”

Czujniki ruchu włączają kolejne jarzeniówki, wydając metaliczny dźwięk. Johna przechodzą dreszcze. Nieważne, w jakim jesteś kraju. Szpitalne korytarze wszędzie wyglądają podobnie. Tak samo przytłaczające i przerażające. Zimne i opustoszałe, ze złymi wspomnieniami odbijającymi się echem od ścian. Musi wziąć głęboki oddech. Lubi szpitale, ale nie to, co leży pod nimi.

„Dlaczego zawsze umieszczają kostnice w podziemiach? Po co łączyc te dwa odrażające pomieszczenia?”

Słyszy cichy głos po drugiej stronie podwójnych drzwi. Pouczający ton. Ktoś odpowiada łagodnie. John podchodzi do drzwi i wtedy do niego dociera, że nie ma przy sobie ważnej legitymacji policyjnej, ale przyklepuje włosy i się prostuje. Jeśli chcą, mogą zawsze zadzwonić do Mony i zapytać, czy on ma prawo tu przebywać. Skóra wokół świeżych ran na twarzy się napina, a pośrodku wystającego spod koszulki opatrunku na lewym

ramieniu pojawia się ciemnoczerwona plama. Może jednak należałoby to zszyć.

Kiedy otwiera podwójne drzwi i wchodzi do przedsionka z kwadratowymi metalowymi drzwiczkami po obu stronach, znów się wzdryga. Z powodu drzwiczek szuflad, które służą do przechowywania ludzkich szczątków w warunkach chłodniczych. W tym pomieszczeniu są tylko ciałami. Nic niewartymi i żalnymi. Zamrożonymi i w najlepszym wypadku pełnymi wskazówek. W najgorszym – niemymi świadkami okropności, które nigdy nie zostaną wyjaśnione. Ale zanim trafili do tego pomieszczenia, każdy z nich był czyjąś matką, ojcem, synem czy córką. Kimś, kto kochał i był kochany.

„Częścią stada”.

– Poczujesz to? – słyszy zdenerwowany głos z sąsiedniego pokoju. – Ktoś otworzył drzwi na zewnątrz. Było czuć przeciąg.

John poprawia koszulkę na opatrunku, głośno chrząka, żeby go usłyszeli, i kładzie rękę na drzwiach wahadłowych. Ma wątpliwości i zastyga w pół ruchu, a po chwili puka.

– Halo? Tu John Wagner, policja z December. Chciałbym zamienić kilka słów z... – I tu przerywa. Przed chwilą pamiętał nazwisko lekarza medycyny sądowej. Teraz kompletnie wyleciało mu z głowy. – Z... lekarzem sądowym opiekującym się sprawą – kończy, wzruszając ramionami.

Pośrodku wahadłowych drzwi znajduje się okrągłe okienko, a w nim pojawia się zestresowana twarz. Facet po dwudziestce. Góra trzydzieści lat.

– Ołmajgad – mówi mężczyzna przez zieloną maskę ochronną. – René. Za drzwiami stoi jakiś gość z filmu akcji.

Cichy śmiech, a potem:

– Wejdz, Johnie Wagnerze.

Kiedy John popycha drzwi i wchodzi do prosekatorium, osoba po drugiej stronie musi się cofnąć o kilka kroków. Stalowy stół stojący pośrodku jest w tej chwili pusty, ale za nim stoi wózek z czymś, co wygląda jak zakryte zwłoki. W zimnej, zielonkawej kamiennej podłodze znajduje się jeden odpływ na środku i po jednym z każdej strony sali. Teleskopowa skro-



baczka stoi oparta o blat roboczy. Jest tu chłodno. Praktycznie niczym nie pachnie, wbrew powszechnemu mniemaniu. W powietrzu lekko czuć jedynie środek dezynfekujący i suchy zapach ręczników papierowych.

– Witamy – mówi mężczyzna stojący nieco dalej i nadeptuje na pedał kosza, do którego wrzuca niebieską lateksową rękawiczkę. – Mona już mnie poinformowała o najnowszym nabytku miejskiej policji. Nazywam się René Hoffmann i jestem lekarzem naczelnym tu, w szpitalu w December, a także lekarzem medycyny sądowej. – Wyciąga rękę do policjanta.

John ściska dłoń lekarza, która niemal znika w jego uścisku. Stojący przed nim mężczyzna jest niski, ale barczysty. Nawet mimo maski widać jego wschodnioazjatyckie rysy. Może mieć między trzydzieści a pięćdziesiąt lat, ale John obstawia, że ma czterdzieści.

– Dzień dobry – zwraca się do drugiego, bardziej nerwowego mężczyzny. – John – przedstawia się ponownie i wyciąga rękę.

– Harry, stażysta i asystent doktora Hoffmanna – przedstawia się chłopak.

– Dużo pracy? – pyta John, wskazując na ciało leżące na wózku, zastygłe w wieczystej cierpliwości.

René Hoffmann zerka przez ramię.

– Tak, można tak powiedzieć. Choć to akurat nic spektakularnego. To pani Ander. Pod koniec życia jej stan się pogorszył i zmarła samotnie w swoim domu. Muszę poznać dokładną przyczynę śmierci, bo tego chce jej rodzina.

John kiwa głową.

– Każdy ma potrzebę jakiegoś domknięcia.

Te pięć słów niemal doprowadza go do rozpacz. Domknięcie. Coś, czego nie udało mu się osiągnąć. Ciekawe, czy nie lepiej byłoby zobaczyć Sarę i Mattiasa tutaj, jedne zwłoki obok drugich na stalowych stołach. Ich zimne i martwe ciała. Odarte ze wszystkiego, co czyniło ich jego ukochaną rodziną. Chyba nie. Podskakuje, czując na ramieniu czyjąś dłoń.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Johnie?

Patolog jest znacznie niższy od niego i musiał sporo podnieść rękę, by dosięgnąć ramienia Johna. Dotyk jednak ma pewny i ciepły, daje poczucie bezpieczeństwa. Wyciąga go z czarnej dziury, w której się pogryzał.

– Prowadzę śledztwo w sprawie związanej z gangiem. Wiesz, zwłoki z jeziora.

Lekarz przytakuje, a potem ruchem głowy wskazuje asystenta.

– Otworzysz piątkę i siódemkę, Harry?

Chłopak wygląda, jakby miał zaraz zemdleć, ale zaciska zęby.

– Jasne – mówi i znika w przedsionku.

– Wyrazy współczucia – odzywa się René, podczas gdy obaj się odwracają, by pójść za stażystą. – Twoja żona, Sara. To straszne.

– I mój syn – dodaje John łamiącym się głosem. – Tak, delikatnie mówiąc.

– Żadnych nowych tropów?

– Kompletnie żadnych – wzdycha John, słysząc otwieranie drzwiczek w pomieszczeniu obok. – Właśnie dlatego tu jestem.

Harry wyciągnął dwie szuflady z chłodni w przedsionku i rozpiął suwaki worków. Odsunął się od nich, jakby ciała mogły wstać i go zaatakować.

– Ali Tufaa – oznajmia René, podchodząc do najbliższego z nich. – Szesnaście lat. Wiele ran klutych w brzuch, zmarł w wyniku utonięcia, ale i tak umarłby wskutek wykrwawienia. Tak czy owak, ostatnie chwile życia musiały być dla niego strasznym cierpieniem, zarówno psychicznym, jak i fizycznym. Wielkie nieszczęście.

John spogląda na wątłe ciało. Nieszczęście – właśnie tak. Ręce i nogi, wciąż o szczupłej dziecięcej budowie. Nierozwinięta jeszcze klatka piersiowa. Delikatny meszek, który nigdy już nie przerodzi się w brodę. John czuje ogromny smutek. Znowu. Szarpie zębami wszystko dookoła jak zranione zwierzę.

– A to drugie ciało? – pyta głucho.

– Nadal niezidentyfikowane – odpowiada René. – Ale to chłopak około osiemnastu lat, z tego, co udało mi się ustalić. Ma wiele tatuaży związa-

nych z gangami. Ta sama przyczyna śmierci. Również wielka tragedia.

John rzuca okiem na trzecie drzwiczki, pomiędzy otwartymi.

– Rozumiem, że tam leży ciało Anniki Larsson?

– Tak, czeka, aż zabierze je zakład pogrzebowy.

– Nie zginęła w podobny sposób?

Lekarz potrząsa głową.

– Annika Larsson padła ofiarą nieumiejętności wybierania odpowiednich mężczyzn. Albo raczej skłonności do wybierania nieodpowiednich. Co samo w sobie również jest wielką tragedią.

John przytakuje.

– Byłem tam... kiedy ją znaleźli. Mieszkam nad samym jeziorem i... pomyślałem, że to może... – Nie jest w stanie kontynuować.

– Brakuje ci zamknięcia sprawy – mówi René, jakby to było oczywiste.

– Doskonale rozumiem. Jedyne, co można dać ludziom, i co, jak staram się wytłumaczyć Harry'emu, wynagradza... mniej przyjemne aspekty tej pracy, to właśnie zamknięcie. Odpowiedzi na trudne pytania. Szansa na zrozumienie. Może nie dłaczego, ale przynajmniej, co się stało i kto to zrobił.

John już ma zmienić temat z powrotem na niezidentyfikowanego członka gangu, kiedy René kontynuuje:

– Przyjechałeś tu, żeby oczyścić się z zarzutów, jak rozumiem?

Policjant instynktownie chce zaprzeczyć. Powiedzieć, że jest tu, by odnaleźć Sarę i Mattiasa. Że jego zdaniem wciąż żyją. W to wierzy. A jeśli nie żyją, jakie ma znaczenie, czy ludzie myślą, że to on za tym stoi. Wtedy się zabije i będzie miał nadzieję, że spotka się z nimi po drugiej stronie tajemniczej zasłony, którą nazywamy śmiercią. Wszystkie słowa więzną mu w gardle.

René mówi dalej:

– Jeśli chodzi o zniknięcie Sary, to właściwie się dziwię, że nikt nie rozmawiał o tym więcej z Kurtem. Nieprzyjemny typ. Może nie pokroju męża Anniki Larsson, ale na dobrej drodze, żeby kimś takim się stać. Chodzili-

śmy razem z Sarą do liceum w tym samym czasie i... no właśnie, z Kurtem. On...

John wraca na ziemię. W każdej komórce ciała czuje się znowu policjantem.

– Kurt? – pyta nerwowo. – Jaki znowu Kurt?

John siedzi oszołomiony w Café Brunngrottan i próbuje znaleźć Kurta na stronie z informacjami o wszystkich obywatelach, hitta.se. W tym miasteczku jest ich dwudziestu siedmiu. Niektórzy nie mają nawet numerów telefonów. René nie mógł sobie przypomnieć nazwiska Kurta.

Wchodzi na profil Sary na Facebooku i widzi, że część jej znajomych zamieszcza tu posty i tęskni za nią. Sara była... to znaczy jest towarzyska i lubi żartować, że w ich związku on jest mózgiem, a ona sercem.

„Sara i Mattias byli dla mnie wszystkim. Bez nich nic nie ma sensu”.

Szuka Kurta wśród jej znajomych, ale go tam nie ma. Sprawdza wszystkich znajomych i dziwi go, że z tego, co udaje mu się ustalić, żaden z nich nie pochodzi stąd, z December. Sara naprawdę starała się wymazać wspomnienia o tym miejscu. Nie zamieściła na swoim profilu żadnych zdjęć z dzieciństwa i właśnie John sobie uświadamia, że w domu też nie ma albumu z fotografiami z jej przeszłości.

John ma przeczucie, że są rzeczy, o których nie wie, rzeczy, o których ona nie chciała mu powiedzieć.

Nigdy nie wspomniała o żadnym Kurcie, a według René był jej pierwszym chłopakiem. Podobno opuściła December, kiedy Kurt stał się zbyt nieznośny.

John nie może zrozumieć, dlaczego nigdy o tym nie wspomniała.

Googluje „December” i „Kurt” – otrzymuje czterdzieści sześć trafień. Niektóre z nich znalazł już wcześniej, ale nie prowadziły do żadnego artykułu czy plotki. Próbuje coś znaleźć, wpisując w wyszukiwarce: „Sara Barke”, „Kurt”, „December”, ale to równie daremne jak próba złapania promieni słońca.

Ponownie wyszukuje na hitta.se i zapisuje wyniki z danymi wszystkich Kurtów. Będzie sprawdzał każdego z nich po kolei, aż dowie się, kim jest ten mężczyzna. Nawet jeśli nie ma nic wspólnego ze zniknięciem. Wystar-

czy, że stosował przemoc psychiczną i fizyczną wobec Sary, kiedy była młoda.

„Zobaczymy, jak bardzo lubi przemoc, kiedy w końcu go dopadnę” – myśli John i musi się powstrzymać, by nie zaciskać dłoni w pięść.

Słychać dzwonek nad drzwiami wejściowymi i John szybko podnosi wzrok. Uśmiecha się, a serce robi salto z radości.

– Ty żyjesz!

Faduma, w kapturze na głowie i workowatych džinsach, szybko kręci głową i przykłada palec wskazujący do ust. Siada, rozgląda się i kuli ramiona.

– Mam przejebane.

– Co się stało? – pyta John, a dziewczyna wszystko mu opowiada.

O tym, jak postanowiła przeniknąć do gangu, do którego należał jej brat Ali. Że zaczęła pracować dla Yusufa i jego ludzi. Że zabrali ją do swojej chaty i jej grozili. Że ma zabić policjanta, by pokazać lojalność wobec Lwów.

Faduma pokazuje rewolwer za pasem.

– Oni naprawdę są bandą niebezpiecznych świrów.

– Daj mi go – mówi John, a ona kręci głową.

– To jedyna rzecz, którą mogę się obronić, jak po mnie przyjdą. Jeden nabój. Zamierzam zniknąć na jakiś czas. Aha, przy okazji. Jeszcze jeden koleś z Lwów zaginał. Kolega Alego.

– Lwów?

– Tak, gang nazywa się Lwy Afryki. Wiem, megagłupie.

– A ten kolega Alego... myślisz, że nie żyje?

– Nie wiem. Był jego najlepszym kumplem, ale nie znam go zbyt dobrze. Chuj wie, może on też leży na dnie tego jeziora.

– Kurwa, widzieli mnie – stwierdza Faduma, wyglądając przez okno.

Matowoczarny mercedes powoli przejeżdża obok z opuszczoną szybą od strony pasażera. Mężczyzna w kominiarce układa dłoń w pistolet i udaje, że strzela do Johna i Fadumy. Widzi to jeden z gości kawiarni i zaczyna krzyczeć.

Policjant wstaje i wybiega na zewnątrz. Próbuje dogonić auto, ale ono przyspiesza i odjeżdża. Zapisuje w komórce numer rejestracyjny.

Widzi, jak znikają za rogiem.

Kiedy wraca do kawiarni, Fadumy już nie ma.

– Głupia dziwka! – krzyczy Yusuf i rzuca komórkę na kanapę. Ścisza go w środku. Zawsze ma rację. Zawsze należy słuchać intuicji. Powinien był ją zastrzelić. Odciąć język tej kablarze, po czym zaciągnąć pizdę do lasu i zabić.

– Stary, co się dzieje? – pyta Mahmoud, nie przerywając gry na komputerze.

– Faduma. Kilku chłopaków widziało ją w kawiarni w mieście z tym nowym gliniarzem. Tym, co podobno nie żyje.

– Ziom, Abbe był pewny, że go trafił. Kolo wpadł do rzeki, tam gdzie jest wodospad, a tego żaden gnój by nie przeżył.

Yusuf zbliża twarz na milimetr od twarzy Mahmouda.

– Abbe był pewny? Ten grubas?

Mahmoud głośno przełyka ślinę. Opuszcza pada i wstrzymuje oddech.

– Dostanie za to pieprzoną grzywnę, albo go też zabiję.

Mahmoud kiwa głową i Yusuf przez chwilę wygląda na zadowolonego. Wszystko, co zbudował, się rozpada. Jest odpowiedzialny za Kuchnię. Dobre pieniądze, no i nie musi być w Sztokholmie, gdzie groziłoby mu, że zostanie zastrzelony. Spodziewał się spokojnej kariery.

Zrobił parę niezłych interesów i odłożył trochę kasy na przyszłość. A teraz istnieje ryzyko, że skończy w pierdlu z powodu pieprzonego grubasa, który nie potrafi zrobić dobrze nawet jednej rzeczy.

– A w ogóle chłopaki widziały furę z typami z Bombazu. Chyba nas szukają – odzywa się jeden z Lwów.

– Nimi też się zajmiemy, ale najpierw Faduma. Ty jej poszukasz, pieprzyć Abbego. – Yusuf wskazuje na Mahmouda.

– Luz, załatwię to – mówi Mahmoud, gdy słyszą jakieś huki w małej stodole, którą nazywają Kuchnią i gdzie produkują amfetaminę.



Yusuf i Mahmoud jednocześnie wyciągają pistolety i je przeładowują.

– To *aina*? – pyta szeptem Mahmoud, gdy Yusuf odsuwa zasłonę, by wyrzucić na zewnątrz.

– Nie. Okradają nas.

Wychodzą z wyciągniętą przed sobą bronią. Yusuf widzi, że drzwi do Kuchni są uchylone. Nikt oprócz niego i Mahmouda nie ma tam wstępu. Ktoś albo chce im ukraść amfę i ecstasy, albo to konkurencyjny gang jak na przykład Bombaz.

– Jebani złodzieje – mamrocze pod nosem Mahmoud w drodze do stoły.

Otwierają drzwi i na widok lufy karabinu zaczynają strzelać. Postrzelony mężczyzna upada na ziemię, a z okolicznych drzew w popłochu zrywa się stado wron.

Yusuf podchodzi do niego i dopiero wtedy widzi, kim on jest. Wydaje z siebie krzyk gniewu i przerażenia.

– Kurwa! – klnie Mahmoud.

To jeden z ludzi Toma. Komandos w bojówkach moro i czarnym swetrze. Kaszle krwią. Wyciąga do Yusufa rękę.

– Chciałem tylko sprawdzić licznik – odzywa się słabym głosem.

– Kurwa, ten stary nazista nas za to zamorduje – szepcze Mahmoud i siada na ziemi. Jakby już byli martwi i równie dobrze można było się poddać.

– Chyba że się nie dowie. – Yusuf zasłania dłonią nos i usta mężczyzny, który po kilku bezsensownych uderzeniach w rękę i paru spazmatycznych wierzgnięciach nogami przestaje oddychać.

– Musimy powiadomić miasto. Sprowadzić tu chłopaków i załatwić Toma i tych jego goryli – mówi Mahmoud.

– Może tak – odpowiada Yusuf. – Prędzej czy później zajmiemy się tymi foliarzami, ale nie teraz.

Yusuf klnie w myślach. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, to błędne koło, odkąd zniknęła komórka. To jak klątwa, a jeśli wkrótce nie znajdą tego telefonu, i tak mają przejebane.

– Pomóż mi z nim. Zabierzemy go do lasu i zakopimy.

– Stary, to nic nie zmienia. Wiesz, jaki jest ten rudzielec. Przyjdzie tu, jak tylko ten facet nie pojawi się u niego. Miał sprawdzić licznik prądu. Sam słyszałeś.

– Kurwa! – krzyczy Yusuf i upuszcza zwłoki.

Nad szczytami gór zapadł zmierzch i pograżył dolinę w przejrzystym jesiennym mroku. John, który nie mógł znieść siedzenia w domu i wpatrywania się w jezioro, wchodzi do pubu Lyckoslanten, daje znak barmanowi Maksowi i rozważa upicie się w błogiej samotności. Kiedy jednak słyszy kobiety głos wołający jego imię, serce podskakuje mu z radości.

– Tutaj! – woła Kim siedząca w odległym końcu lokalu.

Przed nią na kontuarze leży notatnik. Kobieta rozpromienia się na widok Johna.

„Czy to na pewno dobry pomysł?”

Mężczyzna odpycha tę myśl, bo za bardzo przypomina przyznanie się do winy. Macha do Kim o ognistorudych włosach i podchodzi do niej. Kobieta wstaje i szeroko się uśmiecha. John zerka na jej pustą szklanę.

– Max, poproszę piwo. I dla Kim... – Wita się z psycholożką szybkim uściskiem i wskazuje na jej pustą szklanę.

– ...podwójnego lagavulina – przychodzi mu z pomocą Kim.

– Coś takiego – dziwi się John i wyciąga jeden ze stołków barowych, ale kobieta rozgląda się po knajpie i wskazuje na stolik dla dwóch osób w głębi lokalu.

– Tam jest wolne – mówi. Bierze swój zielony płaszcz, notatnik i długopis i zdmuchuje włosy z czoła, które natychmiast opadają z powrotem.

– Mogę to wziąć – ruchem głowy wskazuje na kurtkę Johna przewieszoną przez ramię – a ty przynieś alkohol.

John podaje jej swoje okrycie i patrzy za oddalającą się Kim.

– Proszę bardzo. Kufel lanego piwa – mówi Max, wyrrywając go z rozmyślań – i podwójny lagavulin dla pani.

– Prawdziwa koneserka, co? – John się uśmiecha i podnosi szklanki z blatu.

– I to pod wieloma względami – przyznaje Max.

A ponieważ John nie jest pewny, czy chce wiedzieć, co barman ma na myśli, po prostu przytakuje, rzuca kartę na ladę, prosi o założenie rachunku i rusza za Kim w głąb lokalu.

– Dzięki – mówi. – Muszę dokończyć parę spraw związanych z pracą – dodaje, pokazując notatnik – ale to może poczekać. Teraz chcę się dowiedzieć, co się stało. Jak się czujesz? Czy cię boli? Kto cię postrzelił? Złapałeś ich? Czy Elvis żyje?

John udaje, że zatacza się do tyłu, jakby zaraz miał upaść.

– Jeśli chodzi o postrzał...

Kim się śmieje.

– Przepraszam. Mam po prostu dużo pytań. Nie możesz ot tak zjawiać się w takim stanie: rozczochrany, brudny, postrzelony, i myśleć, że twój psychiatra tak to zostawi. – Podstawia sobie szklankę pod nos, wtyka go głęboko i wciąga zapach. Odstawia drinka i wydaje z siebie jęk zadowolenia. – Oooh. Cholera. Tak pachnie Bóg. Na sto procent. – Następnie wychyla połowę zawartości w niespodziewanie szybkim tempie.

John, wsłuchany w dźwięk, który właśnie z siebie wydała, nagle odchrząkuje i siada sztywno naprzeciwko niej.

– Możliwe. Ja... – Odplywa i Kim to zauważa. Patrzy na niego ze współczuciem.

– Czy to przez tę mgłę? Bierzesz coś na to?

„Ty jesteś mgłą” – myśli John, ciesząc się, że ma na tyle przytomny umysł, by nie wypowiedzieć tych słów na głos. Natychmiast pojawia się też myśl o Sarze. Jego pięknej Sarze. Czy w ogóle powinien tu siedzieć z tą seksbombą? Czy to nie trochę jak... zdrada?

– John?

Przeciąga się i wypija łyk piwa. Cholera, w końcu jest dorosły i nieważne, co mówią niektórzy, mężczyznami nie rządzi to, co mają między nogami. W każdym razie nie nim. Przyznaje, że Kim to ładna kobieta. To prawda, że on od jakiegoś czasu jest sam. Okej, momentami wydaje się żywo nim zainteresowana. Ale są... Może nie do końca współpracowni-

kami. I też nie bardzo lekárką i pacjentem. Ale... na najlepszej drodze, by zostać przyjaciółmi. Albo jakiegoś dziwnego rodzaju partnerami. I tak powinno pozostać. W dniu, w którym Sara wróci, przedstawi je sobie i na pewno się polubią.

– Serio, John, halo? – Kim ściąga go na ziemię.

– Przepraszam, tak sobie myślałem, że nie mogę się doczekać, żeby przedstawić cię Mattiasowi. I Sarze.

„Sprytnie, John” – myśli, wyobrażając sobie barierę ochronną przed jej urodą.

W oczach Kim pojawia się smutek. Wypija więcej whisky, po czym odpowiada ze współczującym uśmiechem:

– Też nie mogę się doczekać.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie da się poznać drugiego człowieka?

– John, ja...

– Poważnie, co miałaś na myśli?

– To prawda i dotyczy wszystkich ludzi. Każdy ma sekrety, o których nie mówi nawet ukochanym osobom. Taka jest ludzka natura.

– Wiesz coś o Sarze, prawda?

Kim zaciska usta, jakby chciała ugryźć się w język.

– Sara, z tego co wiem... była wyjątkowa. Ale musisz zrozumieć, że tak naprawdę wcale jej nie znałam. Owszem, miasteczko jest małe, ale nie aż tak małe. To, że każdy zna każdego, to tylko takie powiedzenie. Nie obracałyśmy się w tych samych kręgach. O hardrockowcach w liceum wiedziałam wszystko. Ale fanki popu? Hiphopowe laski? Nie bardzo mnie interesowały. Zwłaszcza jeśli były młodsze ode mnie, jak na przykład Sara.

John już wie, co będzie dalej.

– Ale? – mówi zmęczonym głosem.

Kim wyraźnie się powstrzymuje, żeby za dużo nie powiedzieć, i odpowiada krótko:

– Ale... krążyły pewne plotki.

Mężczyzna wzdycha.

– Jakie plotki?

– Rozmawiałaś już z jej rodzicami?

John znowu wzdycha.

– Jej mama zmarła, kiedy Sara była nastolatką, a tata zaledwie kilka lat po tym, jak przeprowadziła się do Sztokholmu. To było jeszcze, zanim ją poznałem.

Kobieta robi smutną minę.

– Znaczy, że była zupełnie sama, zanim się poznaliście. Straszne. W każdym razie nie powinieneś słuchać plotek, to zwykle tylko zazdrość, a wiesz, jakie potrafią być dzieci – próbuje się wymigać, ale w Johnie zapala się iskra zainteresowania.

– Proszę, to dla mnie ważne. Co to za plotki?

Kim bierze głęboki oddech.

– Podobno brała narkotyki, matka zaniedbywała rodzinę, a ojciec był wybuchowy. Z tego, co słyszałam, raczej nie można ich było nazwać szczęśliwą rodziną. Ale to stare czasy, że tak powiem. Sama byłam wtedy dzieckiem.

John kiwa głową. To się zgadza z tym, co opowiadała Sara. Przynajmniej ta część o rodzicach. Zerwała kontakt z ojcem, gdy wyprowadziła się z December, a kiedy Sara i John się poznali, jej rodzice już nie żyli.

– Ale... co z tego, że brała jakieś narkotyki, będąc nastolatką... To znaczy... Kto w tym wieku nie robił głupot? W każdym razie odkąd mnie poznała, już tego nie robiła. Czy to wszystko?

Kim pochmurnieje.

– Cóż, Sara, ona... sypiała chyba z kim popadnie i manipulowała chłopakami i dziewczynami, chciała, żeby robili chore rzeczy. Niektórzy nazywali ją psycholką.

– Gdzie tam. To w ogóle nie pasuje do Sary. Na pewno rozmawiamy o tej samej osobie?

– Jak mówiłam, to tylko plotki i pogłoski. I to było dawno temu, mogę... coś mieszać.

„W każdym kłamstwie zawsze tkwi ziarenko prawdy” – myśli John.

Zapada krótka cisza i po chwili John już wie, jaki wątek chce poruszyć. Czuje, że to, czego dowiedział się od Kim, wzbudziło w nim coś nieoczekiwanego... Złość? Na nią? Sam nie wie. Być może w tym, co powiedziała, jest trochę prawdy. Ale jak ma się upewnić, skoro przeszłość Sary jest jak czysta kartka? Głęboko wciąga powietrze. Musi skierować myśli w inną stronę.

– Faduma się ze mną spotkała.

– Co?

– Ano. Nie trzeba było długo czekać, żeby mnie polubiła. Przekonasz się, że w końcu wszyscy mnie będą lubić – dodaje, wywołując uśmiech na twarzy Kim.

– Sorry. Nie byłam wtedy w najlepszym nastroju.

John zauważa, jak psycholożka dotyka się z boku.

– Czy coś cię boli?

Kim potrząsa głową. Zdecydowanie zbyt szybko.

– To długa historia. Zbyt długa na ten wieczór. Opowiadaj, co powiedziała ci Faduma?

I John opowiada. Mimo ciekawości. Podobnie jak Kim, ma tysiąc pytań, które chce zadać. Mówi jej o wszystkim, co się wydarzyło. O Fadumie i ultimatum gangu. O tym, że prawdopodobnie uciekła z miasta. A także o wizycie w prosektorium. O tym, co patolog powiedział o Jockem, mężu Anniki Larsson. Kiedy John wspomina o asystencie lekarza, Harrym, Kim śmieje się tak, że dołeczek nad ustami znów się pogłębia. Pochyla się ku policjantowi, jakby chciała zdradzić mu jakąś tajemnicę, więc on również się przybliża.

– Harry... – mówi Kim, która wlała już w siebie całą whisky, a jej oddech pachnie lekko morzem i dymem. – Ma hemofobię. – Unosi szklanę i macha do Maksa, że chce dolewkę.

– Żartujesz – dziwi się John i dopija piwo, po czym również wskazuje na szklanę barmanowi.

– Ani trochę. Jak sądzę, zemdlął w tym szpitalu więcej razy niż wszyscy pacjenci razem wzięci. Normalnie zasugerowałabym systematyczne od-

wrażliwianie. – Ostatnie słowo wymawia niewyraźnie, tymczasem Max podchodzi do nich z kolejną kolejką drinków. – Choć w jego przypadku chyba by to nie pomogło.

– Nie chcesz nic mocniejszego? – pyta Max, podając Johnowi szklanke z piwem.

John patrzy na whisky Kim i działa pod wpływem impulsu. I tak miał zamiar się upić dziś wieczorem.

– W takim razie poproszę to samo co ona.

Kim czeka, aż policjant dostanie swoją whisky, a potem wznoszą toast i piją.

– Aaach – wzdycha błogo Kim po pierwszym łyku. – Dobra whisky powinna smakować jak zlizywanie smoły z dna zwęglonej łodzi.

Przez chwilę delektują się trunkiem, tkwiąc w niewymuszonej ciszy, a John czuje, jak ciężar wyzwań z dziś – a może z całego tygodnia, miesiąca lub roku – powoli znika z jego ramion. W żołądku rozchodzi się przyjemne ciepło od alkoholu. Głowa staje się lekka.

W lokalu znajduje się dużo ludzi, ale nie jest zbyt tłoczno. Kominek gazowy rzuca przyjemny blask, wszędzie są trolle i gaśnice.

– Kim – mówi John i uświadamia sobie, że jemu też się płacze język. Mimo to dopija whisky i macha do Maksa, żeby przyniósł jeszcze dwie szklanki. – O co chodzi z tymi wszystkimi gaśnicami w tym mieście? Gdzie spojrzeć, są ich tysiące.

Kobieta kiwa powoli głową i rozgląda się dookoła. Przez chwilę wpatruje się niebieskimi oczami w ogień w głębi pubu, wzdyga się, po czym wzrusza ramionami.

– Na przestrzeni dziejów December nawiedziło osiem potężnych pożarów, więc miejscowi ludzie... Jesteśmy ostrożni, może nawet trochę przesądni w kwestii ognia. Ostatni większy pożar wybuchł na początku dwudziestego wieku. W osiemnastym wieku spłonęło praktycznie całe miasto. W centrum ocalały jedynie kościół i studnia, głównie dlatego, że są zbudowane z kamienia. W December nie buduje się już domów z drewna, chyba domyślasz się dlaczego.





John nie wie, co powiedzieć, więc podnosi swoją szklankę i pije. Cieszy się jednak, że to przerwali, cokolwiek to było. Bo jeśli myślał, że zdradza Sarę tylko dlatego, że siedzi tu z Kim, to już na pewno zdradził ją w chwili, gdy poczuł to, co właśnie poczuł, gdy go dotknęła. A on nie jest typem faceta, który zdradza żonę.

– I przyjaźni się z tym Kurtem Stradem?

Kim przytakuje. Opiera się o krzesło. Nastrój prysł w jednej chwili. Cokolwiek to było – minęło.

– Kurt mieszka tu w okolicy, w trzypiętrowym budynku przy dawnych koszarach. O ile stąd nie wyjechał. Mogę zdobyć dla ciebie jego adres, jeśli chcesz.

John potrząsa głową, bo wie, że na liście, którą wcześniej wydrukował z [hitta.se](http://hitta.se), widnieje Kurt Strand.

– Nie trzeba, myślę, że go znajdę.

Nagle Kim wstaje i się chwieje, mimo że ma na sobie sportowe buty.

– John... ja muszę. To było... Chciałabym... – Mówi coś pod nosem, czego on nie słyszy, i bierze głęboki, szybki oddech. – Dzięki za miły wieczór. Było miło. Ale muszę już iść do domu. Może pogadamy jutro?

„Miło? – myśli John. – Czy to naprawdę najlepsze słowo, by opisać to, co właśnie poczuliśmy?”

Zanim jednak w ogóle zdąży coś powiedzieć, Kim zakłada płaszcz i kieruje się do drzwi. Wychodzi w tę jesienną noc.

„Cholera, co tu się właśnie wydarzyło?”

Budzi się w panice, jakby właśnie otarł się o śmierć. Wygląda przez okno i widzi wpatrującą się w niego chłodnym spojrzeniem srokę. Ptak dziobie w okno, po czym odlatuje.

John wstaje, stękając jak stu dziadków naraz. „Wstaje” to dużo powiedziane – przetacza się przez krawędź łóżka i ląduje na czworakach. W ustach czuje posmak łodzi rybackiej, a jego język jest suchy jak żart jego ojca.

– Nigdy więcej nie będę pił – próbuje powiedzieć, ale brzmi to bardziej jak bełkot Szwedzkiego Kucharza z Muppetów.

Staje na nogi i przez chwilę trzyma się ściany, by przestać się kołysać, jak statek w czasie sztormu, i poczekać, aż mgła mózgowa ustąpi. Intensywnie mruga, podczas gdy coś próbuje się przebić przez czoło.

W końcu dociera do kuchni i kranu – pije tyle wody, aż już więcej nie może. Bierze dwa ibupromy, tabletkę na migrenę, witaminę D, B-forte i jeszcze jakieś inne trzy pigułki nie wiadomo na co, po czym zalewa wodą kubek z matchą.

Po dziesięciu minutach, kiedy wszystko zaczyna odpuszczać, Pan Niepokój mówi „cześć i czołem” i przenosi się do żołądka.

– O nie – jęczy John.

Nadal czuje wczorajsze uderzenie pioruna, jakby miał poparzone ręce. Gdyby Sara to widziała, odwaliłoby jej, mówiąc językiem Fadumy. Walczą w nim sprzeczne uczucia i nie jest pewny, które z nich wygra.

Między nim a Kim coś jest, ale wygląda na to, że oboje chcą zachować dystans, i tak będzie najlepiej. „Już nigdy nie będę z nią pił” – myśli, choć czuje, że to kłamstwo.

Od godziny siedzi w szlafroku i marznie w bujanym fotelu na werandzie. Wpatruje się w jezioro Trollsjön, które zapewne kryje więcej tajem-

nic. Nie może przestać myśleć o Sarze i Mattiasie. W normalnej sytuacji odłożyłby tę sprawę na bok i uznał, że nie żyją. Prawdopodobnie.

„Nikt nie jest w stanie całkiem zniknąć...”

„Wszystkie tajemnice czekają na wyjaśnienie...”

Sara i Mattias jakby rozplynęli się w powietrzu. Żadnych śladów włamania, zostawili wszystkie ubrania i nie było ani jednego świadka. W dniu ich zniknięcia nie zaparkowały pod ich domem jakiegokolwiek dziwne samochody.

I puf...

Na blacie stały dwa kubki z kawą i to jedyne, czego John nie może pojąć. Był u nich w domu ktoś, kogo być może znała, bo Mattias przecież nie pije kawy. A może dodatkowy kubek był przygotowany dla Johna? Zniknęli tuż przed jego powrotem do domu. To właśnie budzi w nim największy niepokój. Czy odeszła dobrowolnie? Czy może została porwana?

Nie kłócili się, nawet uprawiali seks poprzedniej nocy i z tego, co się orientuje, nie miała kochanka.

Być może jednak w ogóle nie zna Sary, jeśli plotki, o których mówiła mu Kim, są prawdziwe.

Na brzegu skrzeczy czapla, a norka węszy między skałami w poszukiwaniu jedzenia. To wrywa go z rozmyślań o Sarze i Mattiasie.

„Kurt Strand. Czy tak miał na nazwisko?”

John wyjmując telefon i sprawdza na stronie hitta.se. Wpisuje adres w aplikacji Waze i głos Dartha Vadera mówi mu, dokąd ma jechać. Ogarnia go smutek. To Mattias zmienił głos w aplikacji i za każdym razem, gdy John źle jechał, Darth Vader mówił: „Drażni mnie twój brak wiary”, z czego zawsze się śmiali.

John powinien to zmienić, ale nie wie jak. Ubiera się i idzie do pożyczonego radiowozu. Przypomina sobie, że miał zadzwonić po lawetę do audi, które wciąż stoi w górach. Wsadza komórkę w uchwyt i jedzie tam, gdzie mieszka Kurt Strand.

Pół godziny później zatrzymuje się przy obskurnym trzypiętrowym budynku. Kojarzy mu się z człowiekiem, który porzucił wszelką nadzieję

i popełnił samobójstwo. Dach pokryty papą ma w trzech miejscach rozdarcia, jakby smok próbował dostać się do środka. Okna pozabijane deskami przyprawiłyby o ból głowy osobę z nerwicą natręctw. Całe podwórko przed budynkiem jest zarośnięte trawą.

Raczej nie wygląda, żeby ktoś tam mieszkał. Ale na trzecim piętrze w jednym z mieszkań powiewa szara firanka. Jak podaje portal [hitta.se](http://hitta.se), Kurt Strand mieszkał lub mieszka na pierwszym piętrze w klatce F.

John wychodzi z samochodu i czuje na sobie podejrzliwe spojrzenia. Sąsiedzi wiedzą, że on jest gliną. No i jeszcze radiowóz, oczywiście. Przeklina w myślach, kiedy dociera do niego, że te dupki z gangu pewnie już sprzedały jego ładne audi. Albo rozebrały na części.

Wchodzi do klatki i otwiera skrzynkę na listy należącą do mieszkania Kurta. Wyciąga z niej ulotkę reklamową oraz jakiś list. Idzie w stronę drzwi wejściowych, a z każdym krokiem serce coraz mocniej uderza o żebra.

„Kurt Strand...”

Dlaczego Sara mu o nim nie powiedziała? Co jeszcze przed nim ukrywała?

Puka do drzwi, a w tym samym czasie kilkoro dzieciaków zatrzymuje się na rowerach przed bramą. Słyszy ich głosy i się odwraca. Kiedy widzą, jak pozdrawia ich podniesioną ręką, wystawiają środkowe palce.

John się śmieje. Domyśla się, że wszystkie te dzieciaki mają egzotycznie brzmiące imiona i skończą w pudle. Nikt nie otwiera. Po chwili wychodzi i okrąża budynek, by zobaczyć mieszkanie Kurta Stranda.

Zagląda przez okno. Z tyłu głowy tępo pulsuje migrena. Brud, kanapa, ale nie ma telewizora. W środku wygląda to równie źle jak na zewnątrz i nie sądzi, żeby Kurt nadal tu mieszkał.

Ciężkim krokiem wraca do samochodu. Powinien się już przyzwyczać do tego, że najczęściej kończy się w martwym punkcie. Dziewięćdziesiąt procent spraw w pracy policjanta ma swój finał właśnie w tym miejscu. Teraz jednak to nie jest zwykła policyjna robota. To dla niego ostatnia deska ratunku.

Kiedy wsiada do auta, dzieciaki na rowerach odjeżdżają. Jest przekonany, że wieści szybko się rozejdą i Kurt się dowie, że był tu gliniarz.

Najważniejsze jest jednak to, że John wpadł w końcu na jakiś trop i może kontynuować poszukiwania.

Adrenalina aż w Kim buzuje, gdy zmierza do domu Kurta. Rozwiązywanie zagadek kryminalnych na forum to jedno, a angażowanie się w to w realnym świecie to zupełnie co innego.

Jednocześnie wie, że nie powinna tego robić i że John zaczyna pograżać się w czarnej dziurze.

Zdaje się, że nie ma pojęcia o tym, jaka Sara była, gdy mieszkała w December, co jeszcze bardziej komplikuje sprawy. Kim się obawia, że w trakcie poszukiwań żony pęknie mu serce. Czasami nie należy grzebać w przeszłości, niektóre sprawy powinno się zostawić w spokoju, dać im zarzewieć i umrzeć. Zwłaszcza teraz, kiedy wszystko wskazuje na to, że Sarze udało się odmienić swoje życie i samej przejść tak wielką przemianę. To, co Kim słyszała na jej temat, może rzeczywiście być dużej mierze bzdurą. Spotęgowaną plotkami zbierającymi się przez dziesięciolecia. Nie ma pojęcia, ile w nich prawdy.

To wszystko jest jednak tak ekscytujące, że Kim zaraz wybuchnie. Nie potrafi odpuszczać, jeśli chodzi o rozwiązywanie zagadek kryminalnych.

Właśnie wraca z sąsiedniej wioski, gdzie została nagle wezwana – jeden z jej pacjentów miał załamanie nerwowe i chciał po prostu z nią porozmawiać. Cholera, powinna móc używać syren i niebieskich świateł.

Mija tablicę przy wjeździe do December i uśmiecha się na widok Claire Olofsson, przewodniczącej rady miejskiej. Kobieta czyści znak z liczbą mieszkańców. Zależy jej na tym, by to miejsce nadal mogło być określane miastem, a nie wsią. W tym celu populacja December musi wynosić powyżej dziesięciu tysięcy mieszkańców, a nierzadko się zdarza, że liczba osób zamieszkujących December jest trochę poniżej tego limitu.

Claire – jakby przyłapana na gorącym uczynku – staje tak, by zasłonić liczbę mieszkańców, kiedy Kim trąbi klaksonem. Wszyscy w mieście, chwilowo wielkości wsi, są świadomi, że Claire czasem trochę oszukuje,

ale wiedzą też, że jest niezwykle oddana December. Robi, co w jej mocy, by mieszkańcy się stąd nie wyprowadzali, i koniecznie chce ożywić legendę o trollu i studni, by przyciągnąć więcej turystów. Szczególnie na Halloween, które zbliża się wielkimi krokami i idealnie pasuje do amerykańskiego entuzjazmu Claire.

Obecnie Claire po raz trzeci walczy o reelekcję. Jej najnowszy projekt ustawy dotyczy tego, by wszyscy handlowcy w centrum miasta mieli identyczne kwiaty przed sklepami, dzięki czemu „będzie ładniej”. Claire jest żoną Maksa, który prowadzi Lyckoslanten, gdzie Kim i John się wczoraj upili.

„Właśnie. No tak, wczoraj” – myśli Kim i przechodzi ją dreszcz.

Przez sekundę była niemal pewna, że będą uprawiać seks, ale wtedy zapiekła ją blizna i musiała w pośpiechu wyjść. Istnieje cholernie niska szansa na to, że ponownie wpuści mężczyznę do swojego życia, jednak na myśl o nim Kim dostaje gęsiej skórki. Zdaje sobie sprawę ze swojej urody i wie, że dobrze by razem wyglądali. Ale on ma swój bagaż, a ona swój. Zgrany z nich duet i ma nadzieję, że będą współpracować przez długi czas, w ten czy inny sposób. To jest właśnie to, co naprawdę chce robić, oderwać się od ludzi mówiących o swoich problemach. Prawda jest taka, że czasem już jej to wychodzi bokiem.

Dawno nie miała tyle energii do życia i może dlatego wczoraj się do siebie zbliżyli. Jest przekonana, że John czuje się tak samo martwy w środku jak ona. Ktoś mu coś zabrał, tak jak ktoś zabrał coś jej. Wie, że pustka zjada go od wewnątrz.

Nie może jednak pozwolić na to, żeby doszło między nimi do czegoś więcej. W życiu by sobie z tym nie poradziła. Postanawia, że już nigdy nie będzie pić, a na pewno nie z Johnem.

Dociera na szczyt wzgórza z widokiem na cały December i zapiera jej dech w piersiach. Kocha to miasto, razem z jego fatum i mrokiem, i jest chyba jedyną osobą, która nie chce się stąd nigdy wyprowadzić. Inni pragną stąd uciec, a ona po prostu chce tu być. Możliwe, że teraz nawet bardziej, bo musi bronić dobrego imienia swojego rodzinnego miasta przed Johnem i jego opiniami przepelnionymi poczuciem wyższości, charakte-



rystycznym dla mieszkańców Sztokholmu. Jedyne, co jej przeszkadza w tym mieście, to Parszywiec, ale jest jak jest. Nie wszystko musi być idealnie.

„Może kiedyś coś z tym zrobię i pozbędę się Parszywca ze swojego życia. Bóg mi świadkiem, że uczę się wielu przydatnych rzeczy dzięki mojemu... hobby”.

Na chwilę zatrzymuje samochód i patrzy z góry na miasto, które skrywa tak wiele tajemnic. Myśli o założeniu podcastu, ale jej zawód stoi na przeszkodzie. Pomyśleć, ile historii się tu kryje i tylko czeka, by je ujawnić światu. Zwłaszcza te, w które się teraz angażuje.

Jedzie dalej, przez centrum i w kierunku zaniedbanych dzielnic miasta. Z oczywistych względów dawno tam nie była. To miejsce, gdzie pigułki i narkotyki to jedyne rozwiązanie. Być może to właśnie tutaj ludzie najbardziej potrzebują kogoś takiego jak ona, ale nie są w stanie za to zapłacić. Za tą podupadłą częścią miasta znajduje się jedynie teren przemysłowy, Lyckan, miejsce dla najbardziej skrzywdzonych przez los, i jest to naprawdę ostatni przystanek. Najniższy szczebel drabiny społecznej.

Kiedy Kim staje przed zniszczonym trzypiętrowym blokiem, w którym mieszka Kurt, smuci ją ten widok. Niegdyś tu właśnie widziano przyszłość December. Pobliskie koszary miały zostać zrewitalizowane i spodziewano się, że przyciągną mnóstwo młodych ludzi, poborowych, którzy być może zakochaliby się w okolicy i chcieli tu zostać nawet po odbyciu służby wojskowej. Potem nastąpiło wielkie rozbrojenie kraju, wybudowano nowe dzielnice i to przedmieście stało się miejscem dla ludzi, których nikt w centrum nie chciał widzieć.

Wysiada z samochodu i obchodzi dom, zaglądając we wszystkie okna, by sprawdzić, czy Kurt jest w środku.

Właściwie nie jest złym facetem, jedynie zawsze wybierał złe towarzystwo. Społeczność, do której mógłby należeć. Był motocyklistą, ale został wyrzucony z gangu. Zadawał się z ćpunami, potem jednak wziął się w garść i zaczął się uczyć, jednak ze szkoły również go wydalili.

W szkole uważano go za najlepsze ciacho, ale kiedy wszyscy zaczęli pracować i przestał być popularny, pogubił się. W ostatnim semestrze roz-

walił sobie kolano i wszystkie profesjonalne kontrakty z klubami hokejowymi przeszły mu koło nosa. Jego usposobienie, już wcześniej balansujące na granicy starego zrędy i wybuchowego głupka na sterydach, stało się jeszcze gorsze i Kurt zaczął źle traktować ludzi. Naprawdę źle. Nawet Sarę, która spotykała się z nim od siódmej klasy. Przez krótki czas byli jak król i królowa wśród miejscowej młodzieży. Wszyscy wróżyli im świetlaną przyszłość i piękne dzieci.

Potem, gdy Sara odeszła od niego, bo coraz częściej źle traktował również ją, całe ich życie rozpadło się na drobne kawałki i nie było na świecie takiego superkleju, który by je posklejał.

„Czy to właśnie on porwał ją i jej syna? By odzyskać swoją miłość z młodzieńczych lat? A może by zemścić się na niej za to, że go zostawiła? Lub też był jedną z osób, nad którymi się znęcała, i dlatego w końcu postanowił odplacić się złem za zło?”

Kim chce otworzyć drzwi wejściowe, ale są zamknięte. Rozgląda się i widzi, że obserwują ją jakieś dzieciaki na rowerach przy opuszczonym budynku.

„Walić to” – myśli i obchodzi blok. Próbuje otworzyć tylne drzwi wychodzące na zniszczony ogródek, ale one również są zamknięte. Pachnie tu chwastami i psim gównem. Kilka niedokończonych konstrukcji w tym maleńkim ogrodzie powoli się sypie, chyba tak jak wszystkie plany Kurta.

Sypią się.

Kim patrzy w górę i zauważa jedno otwarte okno w mieszkaniu. Serce tańczy z radości. Chwyta okno od spodu. Kilka razy stara się je podnieść, ale chyba jest zablokowane.

Bierze głęboki wdech, rozgląda się, a potem szarpie oknem tak mocno, że prawie traci równowagę, gdy ono w końcu ustępuje ze skrzypnięciem. Kim staje i się przytrzymuje, ponownie lustruje teren, ale wygląda na to, że nikt jej nie widział.

„Czy naprawdę mam to zrobić?” I zaraz sobie odpowiada: „Nie mogę teraz stchórzyć”. Kontynuuje, zachowując większą ostrożność. Podciąga się, zadowolona, że zmieniła buty na sportowe, bo musi się wspiąć po ścianie budynku, jednocześnie podciągając się na łokciach na parapecie.

Kiedy ląduje w środku na podłodze, serce wskakuje z powrotem na miejsce. Wstaje i czeka, czujnie nasłuchując, ale nie słyszy żadnego dźwięku.

Są tu dwa pokoje, o ile jej pamięć nie myli. Była w tym mieszkaniu tylko raz, dawno temu, za młodu, i oczami wyobraźni widzi tutaj siebie na imprezie. Teraz ma wrażenie, że żyje w dwóch światach naraz.

Zagląda do pierwszego pokoju i choć z zewnątrz mieszkanie wygląda na niezamieszkane, łóżko jest tu pościelone. Ubrania wypadają z szafy na podłogę.

Kiedy widzi, co się znajduje na dawnej toalecie, na sekundę przestaje oddychać. Na lustrze wisi kartka przyklejona masą mocującą. Zdejmuje ją. Czyta imię Sary. Kurt Strand ma kartkę z imieniem swojej pierwszej miłości. Odzywa się w niej żyłka romantyczki, choć myślała, że już dawno została podcięta.

„Urocze” – myśli, bo choć Kurt to popapraniec, wydaje się bardziej romantyczny niż Parszywiec.

Zastanawia się, co jest prawdą. Jeśli wierzyć niektórym plotkom i komentarzom w internecie, to John zamordował swoją żonę i syna. Intuicja podpowiada jej jednak, że to nieprawda. W jego oczach, gdy mówi o swoich bliskich, jest zbyt wiele tęsknoty i miłości.

Kim odwraca kartkę i się wzdryga. Wydaje z siebie zduszony krzyk.

„Muszę mu to pokazać”.

Słyszysz dźwięk zamykanych w mieszkaniu drzwi i przestaje oddychać. W momencie gdy niechcący strąca świeczkę na podłogę, serce zamiera ze strachu.

– No dobrze... – Mona patrzy na kartkę leżącą na stole przed nią. – Abbe. Czy tak masz na imię?

John przesuwa dłonią po drewnianym blacie. Jego poprzednie biuro w stolicy było nowe i nowoczesne, natomiast tu można odnieść wrażenie, że czas się zatrzymał.

Pyzaty chłopak siedzi przy stole naprzeciwko nich w pokoju przesłuchań z ramionami ciasno splecionymi na piersi. Ścisła je tak mocno, jakby obawiał się, że uleci z niego życie. Ma diamentowy kolczyk w jednym uchu, złoto na szyi i nadgarstku. Krzywy ząb i źle zagojoną bliznę pod okiem.

Kiwa głową ze wzrokiem wbitym w stół, a John wzdycha z frustracją. Ma ochotę spoliczkować chłopaka tak, żeby czapka z daszkiem założona tył na przód fruwała w powietrzu.

Właśnie wszedł na posterunek, gotowy przeświecić Kurta Stranda i zadać Monie pytania dotyczące śledztwa, kiedy ten król życia wtargnął do środka zaraz za nim i powiedział, że ma ważne rzeczy do opowiedzenia o tym, co dzieje się w górach. Że chce się oddać w ręce policji.

To było prawdziwe wejście smoka i tak oto siedzą tu teraz we trójkę. Chłopak całkowicie oderwany od rzeczywistości, Mona o badawczym i podekscytowanym spojrzeniu i John z kacem dudniącym w głowie jak stado flamingów tańczących tango w głąbach z metalowymi czubami. Wziął ze sobą szklankę wody, ale już ją opróżnił i marzy mu się kawa.

– Abbe – kontynuuje Mona. – Dobrze. Czy mógłbyś zacząć od początku?

Chłopak spogląda na stojący między nimi magnetofon. John mu się nie dziwi. W jego kręgach rozmowa z policją to grzech śmiertelny. Śmierć konfidentom, kto donosi, ten głowy nie nosi i tak dalej na wieki wieków

amen. Nagle chłopak przenosi wzrok na lewe ramię Johna, wskazuje na nie głową i mówi:

– Sorry, człowieku. Nie chciałem cię trafić, przysięgam.

John czuje, jak ostry gniew płonie w jego piersi i rozkwita niczym śmiertelnie trujący kwiat.

– To ty mnie postrzeliłeś?

– Co? Strzelał do ciebie? – dziwi się Mona.

– Później ci opowiem – rzuca pod nosem, patrząc Abbemu prosto w oczy.

Chłopak wzrusza ramionami z uśmiechem. John zdaje sobie sprawę, że to tylko nerwowo, mimowolny uśmiech, ale to nie pomaga. Uderza pięścią w stół.

– Trochę bardziej w prawo i byś mnie zabił, ty gnoju.

Chłopak kuli się ze strachu na krześle.

Mona kładzie rękę na ramieniu Johna.

– John, do jasnej cholery. – Słowa są szorstkie, ale ton łagodny. – Może zrobiłbyś kawę? Chcesz kawy, Abbe? Ja też mogę się napić. Czarną, poproszę.

Policjant ciężko oddycha, wie, że Mona ma rację. Przeciąga ręką mocno po twarzy i idzie po trzy kubki kawy. Kiedy wraca z nimi na tacy, widzi, że Abbe nieco się rozluźnił. I że to tylko dziecko. Trochę starsze od Alego. John ma wyrzuty sumienia. Stawia kubki na stole i siada.

– Przepraszam, Abbe. Głupio mi, że straciłem panowanie nad sobą – mówi.

– Dobry i zły glina – stwierdza chłopak i uśmiecha się do Mony.

– Raczej zmęczony glina i jeszcze bardziej zmęczony glina – odpowiada policjantka i popija kawę. – Teraz opowiedz o Alim. Wspomniałeś, że przyszedłeś tu ze względu na niego. Zgadza się?

Chłopak jest wyraźnie zestresowany. Jakby jednocześnie chciał i nie chciał mówić. Jedna noga nerwowo podskakuje pod stołem. Patrzy na kawę. Na Johna. Na Monę. Na kawę. Na magnetofon. Wraca do poprzedniego tematu, który chyba wydaje mu się najłatwiejszy, i mówi:

– Sorry, człowieku. Przysięgam, nie chciałem cię trafić. Ale gdybym nie strzelił, mając cię tak blisko, inni by się zorientowali, że ja... że ja... – Znowu zamyka się w sobie.

– Ali – ponagla Mona, nie pozwalając Johnowi nic powiedzieć. – On miał tylko szesnaście lat.

Oczy Abbego wypełniają się łzami. Jedna z nich spływa mu po twarzy, co go wkurza i ociera ją ze złością.

– On był tylko chłopcem. A ja jestem tylko kurierem. Odkąd tu przyjechaliśmy, żadne z moich rodziców nie może znaleźć pracy. Ojciec przyrósł do maty modlitewnej, a matka coraz bardziej choruje. Można się domyślić, jak łatwo jest znaleźć pracę tu w December dwóm niewykształconym Somalijczykom w średnim wieku. Chodziłem do gimnazjum i liceum, a i tak nikt nie chce dać mi pracy. To dlatego, że wyglądamy tak, jak wyglądamy, nazywamy się tak, jak się nazywamy, i modlimy się tak, jak się modlimy. Nikt nie chce Somalijczyka. Nikt poza Lwami.

John się prostuje.

– Kurier... z narkotykami, prawda? W gangu, który nazywa siebie Lwami Afryki?

Abbe nie odpowiada, ale kiwa twierdząco głową.

– Po co zabijać jednego ze swoich? Przecież werbowanie nowych członków do gangu jest równie trudne jak zdobycie pracy w tym kraju z perspektywy twoich rodziców.

Abbe parska krótko i pogardliwie.

– Naprawdę tak myślisz? Kurwa, stary, wszystkie małe czarnuchy z problemami i bez pracy są jak Ali. Pomachaj im hajsem przed nosem, powiedz, że będzie ich stać na samochód dla starego albo nową pralkę dla matki, a w ich oczach zobaczysz ogień. I nikt inny go nie rozpala, kumas? Tylko źli ludzie. Tylko oni mówią tym chłopakom, że przed nimi jest jakaś przyszłość. Że mogą stać się kimś. I gdyby nie ten pieprzony telefon, Ali by dzisiaj żył. Dwa kafle tygodniowo to wszystko, co dostawał za dostawę i całe ryzyko. – Abbe prostuje się na krześle w czasie mówienia. Wygląda na to, że nabrał odwagi.

– Jaki telefon?

– Normalny telefon komórkowy, *shorri*. Ktoś go ukradł i wszystkim kompletnie odjechało. – Puka się w skroń.

– *Shorri*? – dziwi się John i patrzy na Monę.

– To znaczy gliniarz. Ale boomer z ciebie – mówi Mona, a John czuje się stary jak Stonehenge. Nie chce nawet wiedzieć, co znaczy „boomer”.

– Co jest nie tak z *aina*?

Mona się uśmiecha i kręci głową.

– Dlaczego ten telefon jest dla was tak istotny?

– Są w nim miliony. To dlatego jest tak ważny. – Abbe rozkłada ręce.

– Miliony telefonów? – pyta John i od razu czuje, że powiedział coś głupiego.

Chłopak cmoka językiem.

– *Shorri*, głupi jesteś? Miliony koron. To telefon z całą listą klientów. Ludzi, którzy kupują narkotyki. – Podkreśla ostatnie słowo z szyderczym uśmiechem. – Ta lista jest warta miliony dla tego, kto ją ma. Numery do wszystkich w December i w górach, którzy chętnie kupią crack, emkę, amfę, xanax, valium, koks czy zioło. Co kto lubi. Osiemset numerów. Rozumiesz? A teraz wyobraź sobie, że wszyscy zamawiają średnio dwa razy w tygodniu.

John rozumie. Kryzys opioidowy nie jest już tylko amerykańskim fenomenem. Narkomania szerzy się również poza oczywistymi grupami konsumentów.

– Dlaczego przychodzisz do nas akurat teraz?

Abbe znów osuwa się na krzesło, tracąc część odzyskanej pewności siebie.

– Ali... Myśleli, że to on ukradł tamtą komórkę. Albo że się jej pozbył. Ale on by tego nie zrobił. Wstawiłem się za nim, kiedy go złapaliśmy i... Więc to... dlatego... – Nie jest w stanie kontynuować. Milknie i popija kawę.

– Rozumiem, że chcesz nam pomóc dlatego, że zabicie Alego nie było słuszne, jak i dlatego, że sam jesteś w niebezpieczeństwie? – dopytuje Mona.

Abbe przytakuje.

– Potrzebujemy więcej informacji – mówi John. – Na przykład gdzie się ukrywacie? I jak nazywa się przywódca Lwów? Gdzie możemy go znaleźć?

Chłopak wpatruje się w swój pusty plastikowy kubek, widać, że toczy wewnętrzny spór.

– Przebyłeś długą drogę, Abbe – mówi Mona. – Nie ma stąd powrotu. Musisz brnąć w to dalej, w tym samym kierunku. Możemy cię chronić, przenieść do innego miasta, zaczniesz od nowa.

Chłopak powoli kiwa głową.

– W starej szkole, wiecie gdzie? Na północ, w górach. Myślę, że dawno temu to było gimnazjum. Takie, w którym uczy się zawodu, nie przedmiotów szkolnych.

– A przywódca? – dopytuje John, a Mona przytakuje, że wie, o którym miejscu Abbe mówi.

– Yusuf – wydusza przez zaciśnięte zęby. – Nazywa się Yusuf Mohamad. I ktokolwiek ma ten telefon, jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Yusuf nie odpuści, dopóki go nie znajdzie. Zabije wszystkich, co do jednego.

Mona i John patrzą na siebie.

– Wiem dokładnie, gdzie jest ta szkoła – oznajmia policjantka. – Musimy tam pojechać. Abbe niech zostanie tutaj, tu jest bezpieczny, a my wszyscy pojedziemy do starych budynków tej zawodówki i zrobimy rewizję. Raczej nie będzie problemu ze zdobyciem zezwolenia od prokuratora. Zadz...

Przerywa jej dzwonek komórki Johna. Policjant bierze go do ręki, żeby wyłączyć dźwięk, ale kiedy widzi imię Kim na ekranie, po prostu musi odebrać, choć wspomnienia minionej nocy bulgoczą mu w brzuchu jak woda gazowana.

„Pieprzony zdrajca” – myśli o sobie, ale i tak odbiera połączenie.

– Kim? – odzywa się do słuchawki.



– John, nie możesz... – próbuje przerwać mu Mona, ale on podnosi rękę, co ją tak zaskakuje, że milknie.

– Co mówisz, Kim?

– Musimy się spotkać – odpowiada Kim, oddychając ciężko po drugiej stronie słuchawki. – Mam pewien trop. Trop, John. Prawdziwy, świeży, gorący trop w sprawie Sary!

John wstaje i wychodzi z pokoju, zostawiając zmieszanego Abbego i krzyczącą za nim Monę, która pyta, dokąd, do cholery, on się wybiera w środku tak przełomowego przesłuchania.

## 34

John gwałtownie otwiera drzwi komisariatu, a serce, galopujące jak koń po amfetaminie, niemal boli.

„Gorący trop w sprawie Sary”.

Wskakuje do samochodu i rusza z piskiem opon, a po przejechaniu jakichś stu metrów widzi policjantów wybiegających z posterunku. Mona coś krzyczy, po czym wsiada do jednego z radiowozów.

John zaciska szczęki, gdy ból niczym piorun uderza go w kark. „Tylko nie teraz” – myśli i dodaje gazu, jednocześnie szukając w kieszeni tabletki na migrenę. Wygląda na to, że mgła mózgowa nie zamierza się dziś rozwiązać. Chce zmusić Johna, żeby się zatrzymał.

Kiedy wyjeżdża na główną ulicę, widzi, jak Kim mruga światłami w swoim elektrycznym samochodzie na drodze wiodącej w górę. John parkuje byle jak. Oboje wysiadają z samochodów w tym samym momencie i podchodzą do siebie.

Stoją na środku ulicy, Kim się do niego przytula. Mocno go obejmuje, a John nie rozumie dlaczego. Ludzie się im przyglądają i policjant myśli, że tak właśnie rodzą się plotki. Jutro wieść niczym walec przetoczy się przez miasto.

Zaczyna grzmieć i nagle spada ulewny deszcz, jakby chciał oczyścić miasto z wszelkich grzechów, całego niepokoju i brudu. Projekt, rzecz jasna, niemożliwy do zrealizowania. Niepokój jest wpisany w naturę December i nie da rady go zmyć.

Kim nadal go obejmuje i John zaczyna się martwić, że przytula go, by go pocieszyć, ponieważ dowiedziała się czegoś strasznego. Trudno mu oddychać, czuje ciarki na całym ciele. Wyrывa się z objęć.

– Przepraszam – mamrocze Kim. – Myślałam, że umrę.

– O czym ty mówisz?

– Kurt. Byłam w jego mieszkaniu. To znaczy... właściwie to się włamałam, a on wrócił do domu, kiedy byłam w jego sypialni.

– Kim, ja...

– Wiem, jestem idiotką, ale byłam pewna, że nikt już tam nie mieszka. Musiałam wyskoczyć przez okno. Uciekłam, ale na pewno mnie widział.

– Kurt?

– To musiał być on.

– Widziałaś go?

– Nie, ale kto inny mógłby to być?

John pociąga ją za rękę i oddalają się od ulicy. Po wejściu na chodnik Kim wciąż nie może uspokoić oddechu.

– Weź trzy głębokie wdechy. – Kładzie ręce na jej ramionach.

Jej ramiona opadają o centymetr z każdym oddechem.

– Znalazłaś jakiś trop?

Szybko kiwa twierdząco głową. Sięga do kieszeni, wyciąga kartkę i podaje ją Johnowi.

Policjant ze smutkiem przygląda się napisowi „Sara Barke” w sercu. Nazwisko z czasów, kiedy jej nie znał. Z życia, które najwyraźniej postanowiła przed nim ukryć. Przy nim była Sarą Wagner. Kim jest Sara Barke? O tym najwyraźniej nie ma pojęcia.

– Nie rozumiem. Co to za trop?

– Odwróć to – mówi Kim.

John odwraca kartkę na drugą stronę i mijają dwie sekundy, zanim do niego dociera to, co widzi. W skroniach powoli i bezlitośnie pulsuje krew. Zła pogoda potęguje ból głowy, umysł odlatuje.

Na kartce widzi swój adres w Sztokholmie. Imię i wiek Mattiasa. Właśne nazwisko ze słowem „policjant” zaraz za nim. Kiedy odczytuje ostatnią linijkę, przechodzi go dreszcz. „Biały dom z czarnymi drzwiami”.

– Musiał tam być – stwierdza Kim, a John wkłada kartkę do kieszeni, żeby nie zniszczył jej deszcz.

John podskakuje, kiedy na ulicy gwałtownie hamuje jakiś samochód. Mona opuszcza szybę.

– John! Wsiadaj! Prokurator właśnie wydał zgodę na rewizję. Chcemy zrobić nalot na gang i potrzebujemy cię.

Axel Luo otwiera tylne drzwi i macha na niego, żeby się pospieszył, a John spogląda na Kim.

– Jedź. – Kiwa głową terapeutka. – Porozmawiamy o tym później.

John głośno przełyka ślinę. Mruga, by strząsnąć krople deszczu z oczu, i ociera twarz dłonią. Nie chce jechać w góry do Yusufa i jego gangu. Chce jechać prosto do Kurta Stranda, wyważyć drzwi w jego mieszkaniu i wyciągnąć z niego wszystkie informacje. Wszystko, czego sam nie wie o Sarrze. Wszystko o tym, co zrobił tamtej lipcowej nocy dwa miesiące wcześniej, kiedy zniknęli żona i syn Johna.

– Cholera, wskakuj, no! – krzyczy Mona, więc John, zataczając się, idzie do samochodu.

Kiedy już siedzi na tylnym siedzeniu, radiowóz rusza z piskiem opon i kierują się w stronę gór. Znowu patrzy na kartkę. Kim ma rację. To gorący trop, który wskazuje, że Kurt jest zamieszany w zniknięcie Sary i Mattiasa. Przyjął jednak tę cholerną posadę w pieprzonej policji i teraz go potrzebują. Później to on może ich potrzebować. Ma nadzieję, że ta akcja nie zajmie dużo czasu. Wtedy znów będzie mógł się skupić na tym, co dla niego najważniejsze. Na Kurcie Strandzie.

Kiedy dorwie tego gościa, wyciągnie z niego każde słowo, nawet jeśli będzie musiał użyć do tego jebanych kombinerek.

## 35

– Kurwa, gdzie, do cholery, jest Abbe?! – drze się Yusuf, krążąc w tę i z powrotem jak lew w klatce. Kopie stary kosz na śmieci i w kółko wygląda przez wysokie okno z czarnymi kratami.

– Nie odbiera komórki. – Mahmoud trzyma w ręku telefon i ciągle próbuje się dodzwonić. Czuje zbliżającą się krok po kroku śmierć i chciałby uciec jak najdalej od Szwecji. Yusuf wpadł w szal i teraz nie ma już odwrotu.

– Szefie, widziałem ich – mówi Hawo, wchodząc do środka. – Myślę, że to Bombaz, że to oni tu jada.

– Skąd wiedzą, gdzie nas znaleźć? – syczy Yusuf. – To miejsce miało być bezpieczne. – Zatrzymuje się w pół kroku. – Abbe, pieprzony konfident.

– Abbe nie śmiałyby pisać słowa – mówi nerwowo Mahmoud, ale bez przekonania.

– Kurwa! – wykrzykuje Yusuf i kopie krzesło.

Chodzi w tę i we w tę, próbując zebrać myśli.

Mahmoud potrząsa głową. W mieście byłby spokojny, ale nie tutaj. Jest daleko od reszty Lwów, a ci z Bombazu nie są głupi. Prawdopodobnie przyjdą tu z ludźmi spoza gangu.

– Potrzebujemy więcej ludzi – stwierdza.

– Durniu, żadna pomoc tu nie nadejdzie. December jest za daleko, nie mają po co tu przyjeżdżać. Jak zginiemy, wyślą po prostu nowych ludzi na nasze miejsca. Jesteśmy zdani na siebie.

Mahmoud spogląda w sufit, jakby prosił Boga o pomoc.

– Co robimy? – pyta cicho i mocno ścisną swój radziecki pistolet tokariew.

– Musimy działać z głową – odpowiada Yusuf. – Nie znają December tak dobrze jak my. Będziemy ich kosić, jednego po drugim. Zwabimy ich tu, nie będziemy czekać, aż sami tu przyjdą.

– W jaki sposób? – pyta Mahmoud i natychmiast tego żałuje.

Yusuf znów ma ten wściekły wzrok. Jakby naprawdę myślał, że jest Alem Capone.

Podchodzi bardzo blisko Mahmouda, osaczając go słodkim zapachem marihuany i kwaśnym smrodem amfetaminy wydobywającym się z jego ust.

Nie powinni ćpać i widać, że Yusuf przesadza z dragami. „Mamy przejebane” – Mahmoud więcej nie zdążył pomyśleć, bo dzwoni mu w uszach od wymierzonego w twarz policzka.

– Ty skurwielu, a co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Nic, masz rację – mówi Mahmoud, a upokorzenie pali mu twarz.

Patrzy na pozostałych pięciu chłopaków, którzy odwracają wzrok. Boją się Yusufa tak samo jak on. Pewnie dlatego właśnie oni zostali tu przysłani przez Lwy. Drużyną A to oni nie są, jeśli można tak powiedzieć. Poza tym Yusufowi dano dwa wyjścia. Albo degradacja, albo przeniesienie do December i zajęcie się Kuchnią.

Nikt nie chce tu być, ale to dlatego, że spieszyli sprawę. Wśród Lwów są Drużyną B. Albo nawet nie. Drużyną Z, której wszyscy w mieście chcieli się pozbyć. A to miejsce znaleźli przywódcy, by ich ukryć po tym, jak Yusuf nawalił o jeden raz za dużo. To jak kara pozbawienia wolności i wszyscy o tym wiedzą, oprócz Yusufa, który bawi się w przywódcę gangu.

Powinni się zbuntować. Zabić go i przejąć kontrolę. Jest zbyt impulsywny, zbyt przecpany, żeby podejmować rozsądne decyzje. Nie bez powodu Bombaz jest tutaj i nie jest dla nich wcale istotne terytorium. Chodzi im o to, że pół roku temu Yusuf zastrzelił niewłaściwego koleśia. Chłopak, jak się okazało, był bratem przywódcy Bombazu. Tylko dlatego, że Yusuf miał taki kaprys, rozpoczęła się wojna gangów. Typowy luzer. Jest jak zgniłe jajo, same problemy. Głupi, porywczy i nic nie rozumie.

„To wszystko wina Yusufa”.

Mahmoud siada na skrzypiącym krześle i jęczy jak stara baba. Zapala jointa i mocno zaciaga się dymem. Chce wypalić wszystkie emocje i cały swój niepokój. Wydmuchuje dym i czeka na trip, który ukołusze go jak kiedyś robiła to jego mama. Pozwala, by fałszywe poczucie bezpieczeństwa opanowało jego ciało i się w nie wtuliło.

– Gdzie, do cholery, jest mój kałach? – Yusuf kręci się po pokoju i w końcu otwiera skrzynię i znajduje kałasznikowa. Całuje go i przeładowuje. Przypomina rasowego somalijskiego pirata i Mahmoud się śmieje.

– Z czego rżysz, do cholery? – ryczy Yusuf.

Mahmoud wybuchu historycznym śmiechem, którego nie może powstrzymać.

– Kurwa, ale mamy przejebane – mówi, śmiejąc się jeszcze głośniej.

Dwóch innych chłopaków nie może się opanować i też zaczynają się śmiać. Nic dziwnego. Wszyscy są zdenerwowani, a śmiech jest tylko wentylem bezpieczeństwa. W tej sytuacji nie ma przecież nic zabawnego.

– Morda, chuju – mówi Yusuf, celując bronią w Mahmouda, który wzrusza ramionami.

– Strzelaj, stary, ale i tak nie uda ci się mnie zabić. Ja już jestem martwy. – Bierze kolejnego bucha. Szczerzy się szeroko, a w gardle bulgocze mu śmiech.

Kiedy słyszą pisk opon na asfalcie przed domem, czas się zatrzymuje.

– Śmierć już po nas idzie – szepcze Mahmoud.

Mona hamuje tak gwałtownie, że John, rozkojarzony myślami o Kurcie Strandzie, musi podeprzeć się ręką o siedzenie przed sobą, żeby nie uderzyć się w głowę.

Axel Luo przed chwilą odsunął szlaban, a potem jechali szutrową drogą nie dłużej niż pięć minut, tego John jest pewny.

Samochód za nimi prowadzi superpolicjantka Juliette, a razem z nią jadą żółtodziób Frank i macho-gej Valle. Staruszek Jimmy i śmierdziel Bul-ten zostali w komisariacie. Jak zwykle.

„Jest nas sześć osób – myśli John. – Ciekawe, ilu ich jest w tym gangu. I jak bardzo są uzbrojeni. I jaką mają broń?”

Spogląda na pistolet w dłoni, który właśnie dostał od Mony.

„Nie chciałbym już nigdy nosić policyjnej broni”.

Wzdycha, choć nie może zaprzeczyć, że przyływ adrenaliny wciąż sprawia mu przyjemność. Dobrze zna ten rodzaj stresu i wie, że w rzeczywistości może wyjść mu na dobre. Kiedyś był w tym wszystkim naprawdę niezły. Jeśli sprawy się skomplikują, może uda mu się na chwilę odpocząć od myślenia o Sarze i Mattiasie.

Natychmiast czuje wyrzuty sumienia. Bóg jeden wie, gdzie oni teraz są i co ten przeklęty Kurt Strand im zrobił. A on co? Siedzi tu pozbawiony sił i energii.

Juliette Cortas wysiada z samochodu z wyciągniętą bronią i zakrada się do drzwi wejściowych starego budynku szkoły, jednocześnie dając Frankowi znak, żeby ruszył w stronę stodoły po prawej. Valle wychodzi na zewnątrz i ich osłania, również kierując się do głównego budynku.

– Ja będę krył ciebie, a ty mnie. Czy powinienem się martwić? – odzywa się nagle z poważną miną Axel Luo, siedzący na tylnym siedzeniu



obok Johna. Podwija rękaw i drapie się nerwowo. Na przedramieniu widać tatuaż, napis „Cho na solo”, cokolwiek to znaczy.

John prostuje się na siedzeniu, kiedy Mona otwiera drzwi kierowcy i wychodzi na deszcz. Patrzy Axelowi prosto w oczy pewnym siebie wzrokiem. Czuje w sobie policjanta.

– Ani trochę – odpowiada.

Axel przez chwilę próbuje wyczytać coś ze spojrzenia i wyrazu twarzy Johna. Zadowolony z tego, co widzi, kiwa głową i otwiera drzwi po swojej stronie.

– Dobra, to weźmy się, kurwa, za te bezmózgie szczeniaki – mówi, wchodząc prosto w kałużę, która z minuty na minutę się powiększa. – Do kurwy nędzy – mamrocze pod nosem i wyskakuje z wody.

John idzie za nim, przeklinając ulewę, przez którą w ciągu kilku sekund jest przemoczony. Poza tym deszcz ogranicza widoczność i zagłusza inne ważne dźwięki, co sprawia, że wszyscy są trochę bardziej zestresowani. Leje jak z cebra, otaczająca przyroda staje się bardziej ożywiona i nagle kątem oka John dostrzega jakiś ruch.

Musi przyznać, że jest pod wrażeniem Juliette, która odważnie przeszła całą drogę do drzwi wejściowych i nasłuchuje przez nie, co się dzieje w środku. Mona podchodzi i staje obok niej. Robi znak głową i młodsza koleżanka zaczyna walić w drzwi i krzyczeć, że to policja i żeby otworzyć.

Przez trzydzieści sekund słycać jedynie padający z nieba deszcz. Z wnętrza nie dochodzi ani jeden dźwięk. A kiedy Mona jeszcze raz kiwa głową na Juliette, zadowolona dziewczyna robi duży krok do tyłu, a potem kopie w zdezelowane drzwi budynku szkolnego, zbudowanego prawdopodobnie gdzieś w dziewiętnastym wieku.

– Policja! – krzyczy Juliette i znika w środku.

– John, tędy – mówi Axel, stojąc z prawej strony.

Mona, Valle i Juliette sprawdzają główny budynek, który, uczciwie mówiąc, nie jest niczym innym niż wielką nadgniłą chałupą. John, podążając za Axelem i Frankiem w kierunku stodoły, spodziewa się, że w każdej chwili mogą paść strzały. Przed nimi znajdują się szerokie drewniane drzwi z metalową sztabą i kłódką.

W chwili gdy John dociera na miejsce, Axel odwraca głowę i strzela w kłódkę. Podnosi zasuwę i wchodzi do środka.

– Teraz, kurwa. Zajeździemy was, skurwysyny – warczy pod nosem.

John wchodzi do środka. Smród wewnątrz stodoły przyprawia go o mdłości i uderza w niego z całą siłą.

– Produkują tu dragi – stwierdza Valle, wchodząc tuż za nimi i oświetlając sufit.

Pomieszczenie jest puste, ale nie ma wątpliwości, do czego służyło. Jest tu nawet stara jak świat maszyna do robienia pigułek, jak te używane kiedyś w aptekach – teraz chętnie korzystają z takich dzieciaki do robienia ecstasy.

Ale poza tym nic tu nie ma.

Kiedy przez kilka minut nie słycać żadnych strzałów ani krzyków z głównego budynku, do Johna dociera dźwięk.

„Nikogo tu nie ma. Zdażyli uciec. Czy wiedzieli, że przyjedziemy?”

W krótkofalówce, którą John ma w kieszeni kurtki, słycać trzaski oraz poważny i zestresowany głos Mony.

– Wszyscy wracamy do miasta. Później odgradzimy i zbadamy to miejsce. – Podaje adres we wschodniej części December. W jednym z opuszczonych terenów przemysłowych. – Było kilka zgłoszeń o strzelaniu.

Po tym, jak John i reszta odjechali, Kim stoi przez chwilę na ulicy w strugach deszczu, nie zwracając uwagi na ulewę.

„Czy on naprawdę musiał jechać?” – zastanawia się w myślach, po czym wreszcie wsiada do samochodu. Wpatruje się w deszcz, który wściekle wali o szyby. Akurat teraz musiał jechać? Kiedy znalazła pierwszy prawdziwy trop w sprawie Sary i Mattiasa? Początkowo chciała pojechać za nimi, ale potem do niej dotarło, że może to być niebezpieczne. Mimo że każdy policjant w mieście oprócz Jimmy’ego jest w to zaangażowany.

Wpada na pewien pomysł. Cała policja w December pojechała na interwencję. Mona mówiła, że jadą do starej zawodówki. To kawał drogi. Oznacza to, że Kim może wykorzystać sytuację. Do komisariatu ma tylko kilka minut jazdy. Może tam zaczekać na Johna. I zrobić coś pożytecznego.

„Mam nadzieję, że nie zginie”.

Nieoczekiwanie dociera do niej, że tęskniłaby za Johnem Wagnerem, gdyby teraz zniknął z jej życia. Mimo że znają się dopiero od paru dni. Przeciąga się na siedzeniu i czuje znajome ciągnięcie w boku. „Weź się w garść, do cholery. To nic takiego”. Aby odwrócić od tego myśli, jedzie najszybciej, jak się da, w kierunku komisariatu.

Chwilę później wchodzi do przebudowanego kościoła. Jimmy na jej widok unosi głowę, a Bulten, kulejąc, wynurza się z kuchni, gdzie stoi jego miska z wodą. Pies podchodzi do niej i przyjaźnie ociera się o nogi kobiety. Kim się krzywi, gdy do jej nosa dolatuje smród, ale mimo to klepie zwierzaka delikatnie po głowie i lekko drapie za uchem. Biedaczysko wygląda tak, jakby miał umrzeć co najmniej rok temu.

– Cześć. – Wsadza głowę do gabinetu Jimmy’ego. Policjant jak zwykle siedzi przed komputerem i wystukuje coś na klawiaturze dwoma palcami

wskazującymi. – Pomyślałam, że poczekam tu na Monę i Johna, aż wrócą z interwencji, okej? Mam dla Johna trop w innej sprawie.

Jimmy odpowiada, nie odrywając wzroku od ekranu:

– Nie ma sprawy. Tylko nie baw się w detektywa, dobrze? Mam oczy z tyłu głowy i Bultena na podłodze. Żadnego węszenia. Czy to jasne? W kuchni masz dzbanek ze świeżą kawą. Nie schodź też do piwnicy. Gnije tam jakiś młody as z jednego z tych gangów narkotykowych.

Kim przełyka ślinę i tylko kiwa głową.

– Kawa to świetny pomysł. Przynieść ci też?

Bulten kładzie się obok biurka Jimmy'ego z ciężkim westchnieniem, a jego pan kręci głową.

– Moja żona mówi, że mogę pić najwyżej dwie dziennie. Podobno nie jest dobra dla żołądka. Gazy. Twierdzi, że niedługo będę śmierdział gorzej niż Bulten.

Kiedy pies słyszy swoje imię, podnosi głowę i kilka razy uderza czubkiem ogona o podłogę. Kim się śmieje i idzie po kawę. Po drodze mija gabinet Mony. Drzwi są uchylone, musiała wyjść stąd w pośpiechu. Przez szparę widzi zdjęcia wiszące na dużej tablicy za biurkiem.

„Zdjęcia z miejsca zbrodni. Zdjęcia Anniki Larsson z prosektorium. Zdjęcia podejrzanego, jej męża Jockego. Cholera, forum patrolobywatelski.net mogłoby z tego skorzystać...”

Kim przystaje i ogląda się przez ramię. Jest prawie poza zasięgiem wzroku Jimmy'ego, ale nie całkowicie. Jeśli policjant spojrzy w jej stronę, to już po niej. A on przecież wie, jaka ona jest... Wygląda jednak na to, że pochłonęła go praca na komputerze – język wystaje mu z kącika ust, a dłonie tańczą walca palcami na klawiaturze.

„Nie mogę zmarnować takiej okazji” – myśli Kim i zanim to, co zamierza zrobić, uzna za moralnie wątpliwe, wślizguje się do gabinetu Mony i wyciąga z kieszeni komórkę.

Podbiega do tablicy i zakrywa usta dłonią, widząc zdjęcia z sekcji zwłok. Trzyma telefon w górze i robi kilka zdjęć na chybił trafił. Kiedy ktoś popycha drzwi do gabinetu, w samą porę powstrzymuje krzyk.

Chwieje się na nogach, a serce tańczy mambo, wali w mostek i przyspiesza do stu dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę.

– Bulten – szepcze Kim do psa, który rozchylił nosem drzwi. – Nie mów nic swojemu panu.

Nawet spojrzenie psa to dla niej zbyt wiele. Wie, że to, co robi, jest złe. Ale zdaje sobie również sprawę, że zasoby policji tutaj, w tym tyści-tyści miasteczku, są niezwykle ograniczone. Ludzie z forum naprawdę mogą pomóc. Ale mimo wszystko... Pod brązowym, inteligentnym i badawczym spojrzeniem Bultena musi przystopować. Znowu się krzywi, gdy czuje jego smród, bezgłośnie przeprosza psa, po czym wymyka się z gabinetu Mony i chowa telefon z powrotem do kieszeni.

W chwili gdy ma zamiar udać się do kuchni, słyszy głos Jimmy'ego z drugiego końca komisariatu.

– Co ty mówisz? Strzały?

Serce Kim staje. „O nie. John”.

– Wschodnia część terenu przemysłowego, mówisz? – kontynuuje Jimmy. – Przy starym młynie? Okej, okej. Zapisuję.

Co się, do diabła, dzieje? Strzały w drugim końcu miasta? A nie w szkole, gdzie właśnie znajdują się wszyscy tutejsi policjanci? To brzmi, jakby ktoś celowo zwabił policję w niewłaściwe miejsce. Jeśli jednak gang jest w tej starej szkole i wszyscy policjanci też tam są...

„To kto w takim razie strzela? I do kogo?”

Na widok tych wszystkich ciał w budynku fabrycznym John czuje, że jego serce nie zniesie już więcej ciosów. Że gdy tylko stare rany się goją, pojawiają się nowe.

Kiedy przechodzi nad zwłokami w niebieskich ochraniaczach na buty, które dostał od Vallego, czuje zapachy krwi i fekaliiów. Lateksowe rękawice ocierają skórę dłoni. W całym tym obłędzie rozłożone na podłodze podkładki pod nogi są niczym czyste, bezpieczne wyspy.

Ma wrażenie, że nigdy nie przestał być gliną. Że zachował pamięć mięśniową i dokładnie wie, co robić i czego szukać.

Valle robi zdjęcia, a John odwraca wzrok, bo oślepiający błysk lampy wzmaga migrenę, która zakrada się do niego jak cichy zabójca.

Na podłodze leży siedmiu czarnych mężczyzn w różnych pozycjach. Masowa zbrodnia, nie mieli szans. Staje pośrodku pomieszczenia. Analizuje całą sytuację i niemal widzi, co się stało.

Wszyscy mężczyźni z Lwów stali w gotowości, po amatorsku zwróceni w stronę drzwi wejściowych. Wiedzieli, kto przyjdzie, i czekali na nich.

Każdy z nich leży na brzuchu z licznymi dziurami od kul na plecach. John odwraca się w stronę tylnej części pomieszczenia. Dostrzega tam drzwi, wciąż są otwarte.

Jedni najprawdopodobniej weszli tamtędy i otworzyli ogień, a pozostali dostali się tu frontowymi drzwiami, więc mężczyźni w środku zostali złapani w pułapkę. Byli bez szans.

John krąży po pomieszczeniu i przygląda się podłodze. Kilka łusek po nabojach przy ciałach, żadnej przy drzwiach. Mordercy zabrali ze sobą zużyte naboje. Albo to profesjonaliści, albo naoglądali się seriali kryminalnych. Mądry i wypróbowany sposób, i znacznie utrudni pracę policji.

– No cóż – wzdycha Axel, patrząc na swój łososioworóżowy zegarek marki Rolex. – Chyba czas na lunch, co?

– Daj życie, Luo – mówi Mona i kuca obok jednego z martwych mężczyzn. Ostrożnie wyjmuje etui na karty z tylnej kieszeni jego spodni i sprawdza prawo jazdy. – To Yusuf Mohammad, przywódca gangu. Powiadomcie komendę główną i ustawcie blokady drogowe w kierunku Sztokholmu. Powiedzcie im, że mają szukać członków Bombazu. Bo to chyba oni tu byli, jak myślicie?

Juliette przytakuje, wciąż trzymając sig sauera w dłoni. Szturcha jednego z chłopaków stopą, po czym wyciąga komórkę.

John sprawdza, jaką mieli broń. Głównie rosyjska i jugosłowiańska. Przygląda się ścianom. Ani jednej dziury od kuli. Wszystkie pociski trafiły w cel, co może aż tak nie dziwi, skoro zaskoczyli ich od tyłu.

– Co o tym wszystkim myślisz, John? – pyta Mona z westchnieniem.

Opowiada, co zauważył, i policjantka staje pośrodku pomieszczenia.

– Pewnie masz rację. Ale skąd mordercy wiedzieli, że Lwy są tutaj, a nie w szkole w górach?

– Nie wiem, ale przypuszczam, że mieli zwiadowcę albo kuriera. Ewentualnie kogoś z Lwów, kto im doniósł. Każdy człowiek ma swoją cenę.

– Nie ja – mówi Juliette.

– Oj tak, ty też – mamrocze John i dalej szuka jakichś śladów.

Juliette przewraca oczami i chowa pistolet do kabury.

– NOA już tu jadą.

– A oni po co? – Mona długim krokiem przechodzi nad kałużą krwi, która przestała się powiększać.

– Zaczęli już przecież prowadzić dochodzenie w sprawie tych koleś tutaj i tych z Bombazu. Widocznie to gigantyczne śledztwo i powiedzieli mi, że nie wolno nam tu przebywać. Sprowadzą swoich ekspertów od medycyny sądowej.

– Brzmi podejrzenie.

– Brzmi, jakby potrzebowali większego budżetu – mówi John, kręcąc głową.

– To znaczy? – dziwi się Mona.

– Nic, po prostu jestem zmęczony polityką – odpowiada, a Mona wzrusza ramionami.

John wcale się nie cieszy, że ludzie z NOA tu przyjadą i przejmą kontrolę. Wciąż ma tam zbyt wielu wrogów. Po odejściu Virpi czuł się, jakby w całej sztokholmskiej policji miał tylko wrogów. Jakby został wykluczony z własnego stada.

Wychodzi z budynku i rusza w stronę ulicy, na której zostawił radiowóz. Chce znaleźć Kurta Stranda i wydusić z niego wszystko, co on wie. Potem zwinie się w kłębek i prześpi cały tydzień. Sprawa morderstwa Alego jest według niego rozwiązana. Bandydzi mordujący innych bandytów. Jak zawsze. Pytanie tylko, kto ma ten telefon. Telefon komórkowy wart miliony koron. Coś mówi Johnowi, że to jeszcze nie koniec.

Za bardzo go jednak to nie obchodzi. Musi znaleźć Kurta Stranda.



Kim jest tak wyczerpana wszystkim, co wydarzyło się w ciągu dnia, że jedynie, o czym teraz marzy, to spotkać się ze swoją najlepszą przyjaciółką Elin i się upić. Albo chociaż trochę się ululać. Na szczęście Elin, jak zawsze, może od razu przyjść. Kim zaciska usta, zdejmując czapkę. Przy stole obok wejścia siedzi Maj-Lis von Grytt, we własnej osobie, ma ze sto lat i uważa się za bezpośrednią potomkinię samego Styltenhjelma. Maj-Lis co chwila dyskretnie zaciąga się e-papierosem, myśląc, że nikt tego nie widzi. W knajpie rozbrzmiewa głośny, pijacki, wesoły gwar.

„Cholera, chyba całe miasto się dziś wieczorem zebrało w Lyckoslanten”.

Stojący za barem Max rozpromienia się na jej widok i do niej macha. Z pytającą miną podnosi kieliszek i butelkę czerwonego wina. Kim kiwa głową, zdejmuje rękawiczki, wpycha je do kurtki i pociera dłonie, by je rozgrzać, jednocześnie rozglądając się za Elin. Wreszcie, w rogu po lewej, dostrzega przyjaciółkę i jej idealnie wystylizowane granatowoczarne fale w stylu lat pięćdziesiątych. Elin pokazuje miejsce obok siebie, zarezerwowane przez nią jaskrawoczerwonym płaszczem. Kim ruchem głowy wskazuje na bar.

„Tylko najpierw wezmę wino” – mówi bezgłośnie i pije z wymyślanego kieliszka.

Usta Elin są równie jaskrawoczerwone jak jej płaszcz i układają się w ciepły uśmiech. Przewraca oczami ze współczuciem, kiedy Kim rozkłada ręce, jakby chciała powiedzieć: „Jak, do cholery, mam się przez nich wszystkich precyzyjnie?”. Ich zdolność do komunikowania się bez słów staje się z biegiem lat coraz lepsza.

– Ojej. Może jakieś „przepraszam”? – odzywa się ktoś, kto szturchnął Kim łokciem i się do niej odwraca.

Eva Ackermann. Głowa najważniejszej rodziny w December. Do nich należy huta i dzięki nim – jak mówi Ackermann – miasto nie zniknęło jeszcze z mapy. Najbardziej irytujące jest to, że pewnie ma w rację. Cztery silne kobiety w tym mieście to Claire Olofsson, Mona Ott Öster, Eva Ackermann i Maj-Lis von Grytt. A Eva i jej mąż Rolf inwestują w miasto pieniądze, i to na wiele różnych sposobów.

– Przepraszam – mówi Kim. – Nie widziałam cię.

Eva Ackermann, całą sobą emanująca bogactwem, zaciska szczęki i taksuje ją wzrokiem.

– Kim Cordell. Czy to wypada rozwiedzionym kobietom tak imprezować? O tak późnej porze? – pyta jak zawsze chropowatym głosem.

„O co chodzi tej starej palaczeze?” Eva z dezaprobatą przygląda się włosom Kim, rozczochronym i naelektryzowanym przez wełnianą czapkę. Kim dobrze wie, że wygląda niechlujnie, że jest nieumalowana i spocona, ale mimo to się wścieka, gdy Eva po chwili pyta, czy wszystko w porządku, i mruży oczy tak bardzo, że prawie znikają wśród zmarszczek. W pytaniu nie ma żadnej troski, tylko protekcyjny ton.

„Cała ta rodzina jest okropna” – myśli Kim. Modelowy wręcz przykład tego, co wieloletnia władza i nadmiar pieniędzy mogą zrobić z ludźmi. Podobno jeden z wnuków Ewy, Carl Ackermann, wybrał inną drogę życiową niż reszta rodziny. A przynajmniej tak mówili. Potem dowiedziała się od jednego pacjenta, co się wydarzyło, gdy Carl miał szesnaście lat, i stwierdziła, że cała rodzina Ackermannów powinna przenieść się w góry i wycofać ze społeczeństwa swoje pazerne i drapieżne macki. Choć wtedy najpewniej wszystko by upadło. Podobnie jak w przypadku wielu innych rzeczy, chodzi o to, by przyjmować dobro razem ze złem.

– Dziękuję. Nic mi nie jest, Evo – odpowiada Kim najuprzejmiej, jak tylko potrafi, i dalej próbuje precyzyjnie się do baru, przy którym czeka na nią Max z nalany winem.

– No to dobrze. W każdym razie odważnie z twojej strony, że tu przyszłaś – mówi Eva za jej plecami.

Kim z trudem wylapuje te słowa.

„Co takiego?”

Potem słyszy chrapliwy, wiedźmowaty śmiech Ewy, która wraca do swojego towarzystwa.

– Kim! – Max jak zwykle radośnie się z nią wita. Tak jak przystało na właściciela pubu w małym mieście. Przysuwa kieliszek na kontuarze w jej stronę i kontynuuje: – Elin siedzi tam.

– Dzięki, Max. Co u ciebie?

– Całkiem spoko. W każdym razie na frekwencję nie mogę narzekać. – Uśmiecha się, patrząc na tłum.

– Dopisz to do mojego rachunku, ureguluję to, jak będę wychodzić, okej? Wezmę całą butelkę. – Kim czeka, aż Max przytaknie, po czym się odwraca i przepycha przez tłum, trzymając kieliszek z czerwonym winem wysoko nad głową, żeby go nie rozlać. W końcu podchodzi do stolika, przy którym siedzi Elin.

– Trafiłaś na wyprzedaż namiotów po drodze czy co? – Elin wstaje i wychylając się nad stołem, całuje przyjaciółkę w policzek, po czym nieco się odsuwa i uważnie jej się przygląda.

– No co? – Kim stawia butelkę na stole między nimi i zdezorientowana patrzy w dół na swoją czarno-szarą tunikę. – Ach. No tak... To mój stary rozmiar. – Wzrusza ramionami.

Elin mruży oczy.

– Nie wiedziałam, że masz nowy.

Siadają i stukają się kieliszkami. Kim wypija połowę zawartości kieliszka w kilku dużych łykach, żeby nie musieć mówić o tym, że wszystkie jej ubrania mają rozmiar 40, ale że teraz nosi zgrabne 36. Ostatnio nie ma apetytu.

– Wcześniej też była trochę za duża, ale co tam.

Elin chwytą ją za rękę na stole i szybko ściska, po czym puszcza.

– Oczywiście. Chciałam tylko... Wiesz, po prostu chciałam być...

– Co chciałaś?

– Ech, pieprzyć to. Na zdrowie!

Znowu piją i Kim musi się postarać, żeby nie opróżnić od razu całego kieliszka.

– Bardzo mnie dziwi, że chciałaś tu przyjść. Akurat dziś wieczorem – kontynuuje Elin.

Kim się śmieje.

– Wygląda na to, że całe miasto potrzebuje dziś drinka. Nic dziwnego po tym, co się sta...

– O Boże – przerywa Elin i patrzy w stronę drzwi.

– Co? – Kim się odwraca w chwili, gdy schodzą po schodach przy wejściu.

– Chyba przytył – szepcze Elin, ponownie ściskając rękę przyjaciółki. – I zbrzydł.

„O nie. Czy to było DZISIAJ?”

– Wcałe by mnie to nie zdziwiło. – Kim prychna z pogardą, przeklinając samą siebie. Przecież to właśnie dziś miała trzymać się z dala od Lyckoslanten. – Oczywiście, że jest grubszy i brzydszy – mówi cierpkim tonem. – Jediną osobą, która pilnowała jego diety, byłam ja.

Cholera, jak mogła zapomnieć, że Parszywiec, Nils Bratt – jej były mąż – zaprosił dziś wieczorem do pubu całe miasto, żeby ogłosić coś wyjątkowego? To dlatego jest tu tak tłoczno.

– Ale ona to chyba jada najwyżej trzy razy w roku. – Elin uśmiecha się szeroko i głową wskazuje w stronę jasnowłosej dziewczyny, z którą przyszedł Nils Bratt. – Ile ona może mieć lat? Chyba z dwa razy młodsza od niego?

– Mhm, na to wygląda.

Kim patrzy na swoje palce trzymające kieliszek z winem, które zrobiły się białe, i stara się uspokoić, tymczasem para się uśmiecha i wita, uśmiecha i wita, uśmiecha i wita. Pia, nowa żona Nilsa, zdejmuje kurtkę, a wtedy większość mężczyzn w lokalu spogląda na nią jeszcze raz.

– Czy to bardzo krótka spódnica, czy bardzo szeroki pasek? – zastanawia się Elin, marszcząc nos. Kim się śmieje, ale słyszy, że w jej śmiechu pobrzmiwa złośliwy ton. Kiedy Nils rozgląda się po knajpie, ona się odwraca i garbi nad kieliszkiem.

– Teraz nie patrz, ale on cię widział – szepcze Elin. Niechętnie do niego macha. – Teraz już możesz, stoi tyłem. No nie. Woła barmana. Czy on w ogóle powinien pić?

Kim bierze głęboki oddech i czuje ukłucie w boku.

– Lekarze powiedzieli, że kilka kieliszków nie zaszkodzi. Nawet jeśli jego stan jest gorszy niż mój.

– Patrz, jak chodzi z tym zadartym nosem! – Elin ponownie napełnia kieliszki. – Nie ma wstydu.

– Ani odrobiny.

– Że w ogóle tu przyszłaś...

– Chyba lubię się biczować.

– Pff. Pozbycie się tego... drania to nic innego jak dar niebios. I tak nie pasowaliście do siebie. Już samo to nazwisko: Bratt. Kurde, to brzmi jak pierdnięcie.

Kim przyznaje, że powrót do panińskiego nazwiska, Cordell, to była ulga. Donośny śmiech Pii przebija się przez hałas. Młody i piękny śmiech, rzecz jasna. Żołądek Kim skręca się w ciasny supeł, a przed oczami pojawiają się mroczki.

– Część mnie na zawsze pozostanie z tym dupkiem – burczy. – Ale nie muszę z tego powodu nosić jego nazwiska.

Elin chichocze i głową wskazuje lewy bok Kim.

– Dosłownie. Czy nie wydaje ci się to... totalnie popieprzone?

– Ale co?

To był zły pomysł, żeby tu przyjść. Mogła zostać w domu i posprzątać, a potem położyć się do łóżka, zupełnie nieświadoma tego, jak pięknie wyglądają dziś włosy Pii, i tego, że Nils ma na sobie koszulę, którą dostał od niej pod choinkę w zeszłym roku. I tego, że...

– No więc, chodzi mi o to... On przecież nosi w sobie część ciebie.

Elin zdecydowanie nie musi przypominać o tym Kim. Drapie się po boku i się prostuje.

– Pieprzyć to, okej? Chcę się tylko upić, wrócić do domu i spać.

– Tak jest, kapitanie – odpowiada Elin, salutując, i podnosi kieliszek. – Odrobina piątkowego pijaństwa. Już się robi. No dobra, ale teraz opowiadaj. – W oczach Elin pojawia się pełen napięcia błysk.

– Opowiadać? O czym? – pyta Kim, popijając wino. Doskonale wie, o co chodzi przyjaciółce.

– No o tym facecie. Wiesz, tym, który zamieszkał nad jeziorem Trollsjön. Słyszałam, że jest policjantem i dostał pracę u nas w mieście. I że do kądś razem jechaliście. Ludzie widzieli nawet, jak staliście i przytulaliście się w samym środku miasteczka. Kto to? Jest dobry w łóżku? Chcę wiedzieć wszystko.

Kim zamyka oczy i bierze głęboki oddech. „Czy jest dobry w łóżku?” – zadaje sobie to pytanie w myślach, po czym natychmiast puka się w głowę.

– To nie tak – odpowiada. – John jest policjantem. Zgadza się, był u mnie. Pomagam mu z niektórymi sprawami. Owszem. Jego żona i syn zaginęli, a on próbuje ich odnaleźć.

– O, kurczę. Żona i dziecko? Najgorzej – mówi Elin, wyraźnie rozczarowana, ale wciąż zainteresowana, co usłyszy dalej. – Ale dość często się spotykacie?

Kim się śmieje i nie wie, co powiedzieć, więc tylko kiwa głową.

– No i... – zaczyna Elin, kiedy przerywa jej stojący przy barze Nils Bratt, który podnosi głos. Max w tym samym czasie ścisza muzykę.

– Drodzy przyjaciele – mówi Nils. – Tak się cieszę, że wszyscy przyszliście tu dzisiaj świętować z nami. I z wielką radością mogę się wreszcie podzielić nowiną, że moja urocza Pia i ja... – robi teatralną pauzę – ...spodziewamy się dziecka!

Elin wstrzymuje oddech.

– Dziecko? – syczy. – Minęły dopiero cztery miesiące, odkąd wy...

Kim musi wyjść. Wstaje, pospiesznie przeprosza i wybiega z pubu. Po drodze kradnie butelkę szampana z wiaderka z lodem. „Odszkodowanie” – myśli i bierze łyk.

Powietrze na zewnątrz jest rześkie i przejrzyste. W centrum miasta panuje spokój. Kim odwraca wzrok w prawo i wtedy go widzi. Dom na wzgórzu. Pięknie położony wśród gór, lśni i się mieni, jak król wszystkich domów spoglądający łaskawie na swoich poddanych. Dom, który do niedawna był jej domem.

Mija studnię, zaraz potem hotel i księgarnię Feliksa Leijona. Skręca w prawo. Z lewej strony mieszczą się różne małe firmy. Wiele z nich zbankrutowało, okna są zabite deskami. Pierwszy z brzegu to lokal Elin. Drivers 50's Diner. Przyjaciółka mieszka nad swoją restauracją i stamtąd – jeśli odpowiednio się wyciągnie przy jednym z okien – może zobaczyć Viktora, który pracuje w warsztacie. Elin jest najprawdziwszą fanką rockabilly i posiadaczką starego amerykańskiego samochodu. Dziwnym trafem auto ciągle się psuje.

Mieszkanie Kim mieści się w lokalu po dawnym sklepie spożywczym w centrum miasta. Dostała je po rozwodzie z Nilsem. Kiedyś był to dom rodzinny jej byłego męża. On zatrzymał dom na wzgórzu i Kim nie miała sił się o to spierać. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie po tym, co już jej zabrał. Dzień po ich rozwodzie wprowadziła się do niego Pia.

Mimo że kupił ten ogromny budynek przemysłowy tuż za mechanikiem i otworzył naprawdę wielki sklep spożywczy, i tak zatrzymał ten dom, ponieważ jest idealnie położony, w samym sercu miasta. Wiele lat myślał o otwarciu tu najróżniejszych biznesów, ale nic z tego nie wyszło. Budynek powoli gnił. Lub raczej usychał. Na drugim piętrze znajduje się czteropokojowe mieszkanie i to właśnie w nim mieszka Kim.

Nawet nie spostrzegła, że stanęła, ze złością wpatrując się w dom na wzgórzu, dopóki coś nie zaczęło ocierać się o jej prawą łydkę i delikatnie mruzczyć.

– O, cześć, Chester – mówi i pochyla się, by go pogłaskać.

Chester to brązoworudy kocur, który mieszka tu, w centrum. Nikt tak naprawdę nie wie, skąd się wziął i czy w ogóle należał do kogokolwiek. Prawdopodobnie kiedyś uciekł komuś z domu. Chester zamieszkał przy studni. W centrum miasta. I zachowuje się, jakby należało do niego. Codziennie robi obchód, a mieszkańcy December – sądząc po sporej tuszy

Chestera – są bardzo hojni wobec bezdomnych zwierząt. Przy studni ktoś urządził mu futrzane posłanie i najwyraźniej Chester jest z niego wyjątkowo zadowolony. W chwili gdy Kim chce mu powiedzieć, żeby nie biegał po ciemku, kawałek dalej zauważa znajomą postać.

– John? – woła i mruży oczy, próbując dostrzec go w ciemności po drugiej stronie ulicy.

Postać się zatrzymuje. I chyba wydaje jęk.

„Cholera, jak mi przykro, nie musisz ze mną rozmawiać, jeśli nie chcesz” – myśli Kim i już ma zamiar ruszyć dalej, kiedy mężczyzna przechodzi przez ulicę i do niej podchodzi. Kobieta bierze kolejny łyk szampana, który pieni się w ustach. Krztusi się i trochę alkoholu dostaje się do nosa.

– Nic ci nie jest? – pyta John, zbliżając się do niej, choć nie bardzo wie, co ma robić.

– Dlaczego o tej porze szlajasz się po mieście? Śledzisz mnie? – uśmiecha się pogardliwie, ociera szampan z podbródka i obserwuje, jak Chester oddala się w ciemności w stronę studni.

John wzdycha głęboko.

– Nie mogłem spać po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. Próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić, ale... – Wzrusza ramionami.

– Naprawdę? – Kim ze zdziwieniem patrzy w telefon i widzi dwa nieodebrane połączenia sprzed chwili. – Ach. Byłam w Lyckoslanten. Tam jest słaby zasięg.

– Nie mogłem spać. To znaczy... zasnąłem, jak tylko wróciłem do domu po interwencji. Czasem zmęczenie tak działa na człowieka, że się odlatuje. Potem miałem masę koszmarów. Śniły mi się przedziwne rzeczy. Obudziłem się i nie mogłem już zasnąć. Kim, muszę cię jeszcze raz wypytać o tego Kurta – ciągnie John smętnym tonem. – Znowu tam pojechałem, ale nikogo nie było w domu. I tym razem też nic nie znalazłem. Ale... on nie mógł tak po prostu rozpląnąć się w powietrzu, nie sądzisz?

W rozpaczliwym tonie Johna jest coś, wobec czego Kim nie może przejść obojętnie.



- Masz, napij się. To pomoże. - Podaje mu butelkę i kiwa głową w stronę ulicy. - Chodź - dodaje. - Pójdziemy do mnie.

Wchodzą po trzech stopniach i znajdują się przed wejściem do budynku w centrum miasta. Kim wsuwa klucz, ale zamek ciężko chodzi. Ościeżnica jest najwyraźniej spuchnięta, więc Kim musi się trochę namęczyć, żeby go przekręcić, a kiedy w końcu jej się udaje, rozlega się dźwięk zardzewiałego dzwonka. Drzwi powoli się otwierają, zawiasy wydają przeciągłe skrzypienie. John niemal słyszy, jak mówią:

„Cooo, dooo chooleeery, wyyypraaawiaasz?”

Ale to przecież niemożliwe. Staje w progu i patrzy w ciemność. Kim po omacku szuka włącznika światła przy wejściu i po chwili znajduje ogromne pokrętko. Rozlega się głośne „brzdęk!”, kiedy go przekręca, i John spodziewa się, że zaraz usłyszy dźwięk uruchamiających się generatorów. Zamiast tego na wysokim suficie zapalają się jednak dwie gigantyczne mosiężne lampy.

– Nie mieszkam tu na dole – mówi Kim przepraszającym tonem i wchodzi dalej. Stawia na stole pustą butelkę po szampanie, a ta spada z brzękiem na podłogę.

Brudny pył wiruje w powietrzu i łaskocze włoski w nosie. Można tu odnieść wrażenie, że przeniosło się w czasie i znalazło w dziewiętnastym wieku. Po lewej stronie, za długą ladą sklepową w kształcie litery L stoi majestatyczny apteczny regał. Po prawej – kilka pomalowanych na zielono złożonych parawanów opartych o siebie. Jeden z nich się przewrócił, a pozostałe jakby się zastanawiały, co zrobić ze zwłokami. Łuszcząca się farba odpada niczym trujące płatki śniegu.

Za nimi stoi ogromny drewniany stół z półkami pod spodem. Może był tu kiedyś sklep z tkaninami? Rolki szarego papieru i folii opierają się o ścianę w głębi pomieszczenia, a z jednego z otwartych kartonów, wystaje coś metalowego. Być może stara zardzewiała waga.

Witryny sklepowe znajdują się w głębokich wnękach wychodzących na główną ulicę. W jednej z nich stoi gliniana donica, pęknięta na pół, otoczona wyschniętą na wiór ziemią doniczkową. Coś małego i zwinnego szybko przemyka obok, przyprowadzając Johna o dreszcze.

Wszystko pokryte jest tak grubą warstwą kurzu, że wydaje się, jakby w środku spadł śnieg. I pachnie... interesująco.

– Nie zdążyłam tu jeszcze zbyt wiele zrobić, to wszystko jest dla mnie dość... nowe. Ten cały rozwód i tak dalej. Musiałam umeblować ten dom. Należał do Nilsa. Tędy pójdziemy na górę. – Kim wskazuje na korytarz z wąskimi schodami prowadzącymi na drugie piętro.

John zatrzymuje się przy ladzie sklepowej z czterema stoikami i na dnie jednego z nich zauważa coś zaschniętego i żółtozielonego. Z ciekawości wkłada w to nos, ale zaraz się krzywi i szybko go wyjmuje, kiedy wyczuwa zapach przypominający ocet.

„Fuj”.

Nie chce nawet myśleć, co kryje się na regale aptecznym. Co najmniej pięć martwych myszy i setki pajaków. Może też mączniki młynarki? I karaluchy? Trudno powstrzymać dreszcz obrzydzenia. Zaczyna się od łydek i wędruje w górę po tylnej części ud i przez plecy niczym zwinne zwierzątko o stu lodowatych łapkach.

Ale okej, w sumie to nawet trochę ekscytujące zobaczyć, jak mieszka Kim. Trochę.

– Rozwód? – pyta, podążając za nią w stronę wąskich schodów.

Światło w korytarzu jest nierówne i przyćmione. Kiedy John spogląda na sufit i widzi plastikowy plafon upstrzony szarymi plamami, już rozumie dławczego. Znajduje się w nim całe mnóstwo dawno zmarłych ciem i much. Jakby się poddały i umarły w trakcie poszukiwania światła. Deski podłogowe, poszarzałe od srebrnego kurzu, są z pewnością całkiem ładne pod warstwami brudu nagromadzonego przez lata. Nie skrzypią, gdy się po nich chodzi. Dom wydaje się solidnie zbudowany, a to zawsze coś.

Otwarte drzwi na prawo od stóp schodów prowadzą do magazynu. Jeszcze więcej kartonów, rolek i trudnych do zidentyfikowania przedmiotów na chybotliwych drewnianych regałach. John się domyśla, że dalej

w środku po prawej stronie znajduje się kuchnia, ale woli tam nie zaglądać, wystarczy mu, że ją sobie wyobrazi.

– Ja piernicę – mówi Kim, wchodząc po schodach. – To, że faktycznie tu mieszkam, jest tak absurdalne, że aż śmieszne. Zwłaszcza jeśli pomyślę o moim starym domu. Ale teraz rządzi w nim ta suka. Nils pozwolił jej się wprowadzić w chwili, kiedy przekroczyłam próg i pożegnałam się z nim po raz ostatni. Inaczej by sobie nie poradził. Nils Bratt, ośmioletni chłopiec w ciele mężczyzny w średnim wieku. Jak pomyślę o jego nowej blond dziwce w tej pięknej kuchni, którą urządzałam tyle czasu, to... Cholera, to wszystko zaczyna mnie już przerastać! – wykrzykuje Kim. Z całych sił. Potem szybkim krokiem przeskakuje po schodach, po dwa stopnie naraz. W lampie na suficie w korytarzu drga skrzydło martwej ćmy. John idzie za nią i nie bardzo wie, co powiedzieć.

Na górze w mieszkaniu rzeczywiście jest trochę lepiej, choć wszędzie stoją nierozpakowane pudła. Kim podchodzi do kominka, przed którym stoi dwuosobowa kanapa, i przekręca gałkę. Słychać kliknięcie i zapala się płomień.

– Gaz – wyjaśnia. – Podobno bezpieczniejszy, jeśli wierzyć tutejszym mieszkańcom. – Następnie sięga po dwie szklanki stojące na regale i bierze zieloną butelkę. – Lagavulin? – pyta.

John kiwa głową i siada.

– Więc to był dom twojego męża... to znaczy byłego męża? Mieszkał tu, zanim się pobraliście? Masz w December jakąś inną rodzinę czy jak się tu znalazłaś?

– Nie, już nie mam nikogo. Mama zmarła, a tata nie wiem, gdzie jest. A nawet kim jest. Zostawił mamę, kiedy była ze mną w ciąży, i nigdy o nim nie opowiadała, nie licząc przekleństw na jego temat. Uzależniła się od leków i zmarła, jak miałam sześć lat. Wychowywałam się z babcią. Pogmatwane to wszystko.

– Czy to dlatego zostałam psycholożką?

– Pewnie tak. – Kim nalewa whisky do obu szklanek i jedną z nich podaje Johnowi. – Na zdrowie! Za nas... że my... Ech, sama nie wiem. Za życie.

– Dlaczego to robisz? – pyta John.

Kim jest zdezorientowana.

– Co robię?

– Za każdym razem, kiedy wspominasz o swoim byłym mężu, tracisz humor, a potem łapiesz się za bok. Czy on był... przemocowy? – Już samo zadanie tego pytania, wywołuje w nim złość. Jeśli jakiś gnojek był agresywny wobec Kim, jest gotów go dopaść. Pokazać mu, jakie to uczucie, kiedy ktoś większy od niego za dużo sobie pozwala.

Przez chwilę Kim ma nieobecne spojrzenie i opuszcza rękę, którą przed chwilą złapała się z boku.

– Zależy, jak na to spojrzeć – odpowiada, a John wpada w jeszcze większą złość.

– Od czego to niby zależy?

– Nie chcę o tym rozmawiać – ucina. Jej ton sugeruje, że mówi poważnie, więc John odpuszcza, siląc się na uśmiech pełen wyrozumiałości.

Stukają się szklankami i jednocześnie opadają na oparcie kanapy. John czuje ciepło jej ramienia na swojej skórze, niemal go parzy. Lecz się nie odsuwa. Podoba mu się ta bliskość i to, że będąc przy niej, nie jest taki samotny. Czasem czuje się samotny nawet, kiedy stoi pośród tłumu. Z Kim nigdy tak się nie dzieje.

– Co to? – Kobieta wskazuje na czarny kawałek kartki wystający z kieszeni jego kurtki.

John wyciąga karty.

– Tarot – odpowiada.

– Poważnie? Nie wyglądasz mi na takiego – dziwi się Kim.

Mężczyzna przekłada talię i wpatruje się w złote oko.

– To Sary, chyba... wierzyła w moc kart. Stały się dla mnie sposobem na... nie wiem... pozostanie w kontakcie. Choć nie wiem, jak się ich używa. Po prostu wyciągam jedną z nich i sprawdzam, co znaczy.

– Widać, że bez Sary i Mattiasa czujesz się naprawdę zagubiony – mówi Kim smutnym tonem.

John kiwa głową.

– Tak. Oni byli... są moim stadem. Nie wiem, kim jestem bez nich.  
Kim milczy przez chwilę, a po chwili w jej oczach pojawia się błysk.

– Dobrze, zrób to teraz.

– Teraz?

Kobieta energicznie kiwa głową.

John doznaje dziwnego uczucia, gdy znowu przekłada talię. To gra Sary. Ma stawiać tarota z inną kobietą? Ale Kim wygląda na tak podekscytowaną, że trudno się temu nie poddać. Odwraca pierwszą kartę z wierzchu. Dwa sfinksy przed blond facetem z fryzurą na pazia siedzącym w rydwaniu.

– Rydwan.

– Co to oznacza? – Kim przysuwa się bliżej, John czuje kuszący zapach jej włosów.

– Kontrola – odpowiada zduszonym głosem. – Oznacza to, że można pokonać każdą przeszkodę, jeśli pozostaniesz na właściwej ścieżce.

– To chyba brzmi dobrze... prawda? – zastanawia się Kim i odsuwa od niego. Popija whisky ze wzrokiem utkwionym w ogień kominka.

Z jednej szklanki robi się pięć i John się odpręża. Spogląda w sufit i obraca twarz w stronę Kim w tym samym momencie, kiedy ona odwraca się do niego. Ich usta oddalone są od siebie o pięć centymetrów, ale oboje zastygają w bezruchu. Patrzą sobie w oczy i oddychają w tym samym rytmie.

– To nie jest dobry pomysł – szepcze Kim, a serce Johna prawie wypada mu na kolana.

– Nie, zdecydowanie nie. – Czar pryska. Policjant chrząka, wstaje i kieruje się do wyjścia. – Jutro też jest dzień – mówi jak staruszek, co ją rozśmiesza.

– Z tej mąki chleba nie będzie – ripostuje Kim.

John śmieje się, wychodząc na zewnątrz z płonącymi jak wulkan policzkami.

„Cholera, co my wyprawiamy...?”

John i Valle stoją pośród zgliszczy i nie bardzo wiedzą, co tu robią. Czterech techników z NOA rozstawiło namiot i można odnieść wrażenie, że to rodzina Muminków urządziła grilla. Zapach sadzy dostaje się do płuc i pod ubranie. John ma ochotę wskoczyć pod prysznic i zmyć z siebie całe swoje życie. Whisky, którą raczył się wczoraj z Kim, nie pomaga na mgłę mózgową, więc przeklina się za to, że w ogóle zgodził się ją pić.

„Nigdy więcej – myśli, co od razu wywołuje u niego cyniczny uśmiech. – Ta, na pewno”. Policzki znów robią się ciepłe, próbuje stłumić wewnętrzny niepokój, czy cokolwiek to jest. Skupia się na terażniejszości i pogorzeliśku przed nimi.

Kryjówka Lwów – szkoła w górach – doszczętnie spłonęła. Tak samo stodoła, w której znajdowało się laboratorium amfetaminy. Dwóch inspektorów ze straży pożarnej próbuje się dowiedzieć, dlaczego doszło do pożaru, choć, jak wiadomo, wszystkie laboratoria narkotykowe kończą w ten sposób. Nic nowego.

Samochód Johna zabrano lawetą do warsztatu zaraz po tym, jak Abbe powiedział, gdzie go ukryli, żeby potem rozebrać na części. Do naprawy są głównie szyby, dziury w karoserii i dwie opony. Auto na szczęście jest ubezpieczone. John nie ma zbyt wielkich oszczędności, a za pracę policjanta dużo mu nie płacą. To szczęście, że Mona go zatrudniła, w przeciwnym razie musiałyby pewnie sprzedać dom w Sztokholmie, a nie chce tego zrobić, na wypadek gdyby Sara i Mattias się odnaleźli.

– Co mamy robić? – pyta Valle.

– Nic, to już nie nasza sprawa. Poza tym gównem tu znajdują.

– Świetnie. Potrzebuję urlopu. Pić przez tydzień i nie myśleć o zmarłtwieniach.

– Wracaj do domu, do rodziny – mówi John i rusza w stronę samochodu.

Valle wzdycha.

– Nie mam rodziny.

– Nikogo w ogóle?

– Ej, w mieście jest pięciu gejów. Ja jestem jednym z nich, a pozostali to pary. Przyjechałem tu sam z Polski, jak miałem jedenaście lat.

– Poważnie?

Valle uśmiecha się smutno.

– Tak, wiem, masakra. Jestem pewny, że są tu w mieście jacyś żonaci kryptogeje. Muszę tylko wycząć, którzy to. Jeszcze się nie poddałem.

John się śmieje.

– Co za nędzny los.

– Można tak powiedzieć. A ty? Nie jesteś trochę homo?

John patrzy na Vallego, który rzuca ostatnie spojrzenie na Muminki z NOA.

– No nie, niestety.

– Kurde, jak mnie to wkurza. Daj mi znać, jak kogoś znajdziesz. Mam bardzo niskie wymagania, można powiedzieć. Nawet owce i kozy Johnsona zaczynają mi się podobać.

Obaj się śmieją, wsiadając do pożyczonego przez Johna samochodu, i Valle włącza radio.

– Country? – pyta.

– Tak, uwielbiam – odpowiada John i zwiększa głośność.

Nic nie mówią przez całą drogę do miasta. John myśli o Kurcie Strandzie. Był u niego w mieszkaniu, ale wszystkie ubrania zostały zabrane. Kurt uciekł, ale John domyśla się, że nadal jest gdzieś w mieście. Raczej nie ma żadnych dochodów ani oszczędności.

Uświadamia sobie, że brakuje mu Kim. Chciałby z nią porozmawiać, ale ona spotyka się z koleżanką i nie da rady się z nim zobaczyć. Czuje się samotny, ale jednocześnie zmotywowany. Wpadł na trop, którego nie miał przed przyjazdem do December.

Przez sekundę między drzewami dostrzega w oddali całe miasto i w jakiś dziwny sposób wyczuwa obecność Sary. Ona gdzieś tu jest, jest o tym



przekonany, choć był już pewny wielu rzeczy i jego przekonania okazały się błędne.

„Niektórzy nazywali ją psycholką”. Te słowa o Sarze zapadły mu w pamięć. Jeśli przeoczył tak fundamentalną rzecz, to, co jeszcze?

Nie powinien zostać dopuszczony do służby, nie z takimi dolegliwościami. Migrena i mgła mózgowa były dziś dla niego łaskawe, ale wie, że wkrótce znów wpadną z wizytą, jak krewni, których się nie lubi.

Opuszcza osłonę przeciwsłoneczną i patrzy na kartkę z mieszkania Kurta, którą tam wetknął. Obiecuje sobie, że nie będzie działać zbyt raptownie i wierzyć w to, co inni mówią o Sarze. Nie można ufać wszystkiemu, co się słyszy. Sam musi do wszystkiego dojść. John żałuje, że nie poznał jej wcześniej. Gorycz wynikająca z tego, że nie mógł jej chronić, owija się wokół jego żołądka niczym elektryczny węgorz. Kurt Strand jest teraz kluczem do wszystkiego.

Prędzej czy później odnajdzie jego, Mattiasa i Sarę. A przynajmniej prawdę o tym, co się z nimi stało. Choć, jeśli chodzi o jego żonę... prawda wydaje się mglista.

Kim i John jedzą sznycle wielkości uszu słonia, popijając je wodą. Żadnych frytek, żadnych warzyw. Tylko mięso z małą ćwiartką cytryny pośrodku i sosem pieczeniowym pod sznyclem. Specjał Lyckoslanten.

Kim delektuje się tym daniem, mimo że poirytowanie żarzy się pod skórą niczym podpałka. Parszywiec i ta suka będą mieć dziecko. Kim podejrzewa, że uprawiał z nią seks, jeszcze zanim się rozstali. W przeciwnym razie czasowo nic by się tu nie zgadzało. Kolejny cios w plecy.

Minęło kilka dni i można mieć nadzieję, że sytuacja w December, niczym niedźwiedź zapadający w sen zimowy, się uspokoiła. Od dłuższego czasu nie słyhać o żadnych morderstwach, bójkach czy nawet włamaniach. Odkąd rozstrzelano siedmiu chłopaków z Lwów, miasto wypełniła swoista próżnia, mieszkańcy wciąż są zszokowani ostatnimi wydarzeniami. Zupełnie jakby December straciło swoją niewinność, jakby duże miasto na chwilę się tu wprowadziło, a teraz stąd wyniosło. Pozostali tu jedynie mieszkańcy i zastanawiają się, co tu się, do cholery, wydarzyło.

– A właśnie. Przyszły wyniki testów DNA. – John dopija resztkę wody ze szklanki i nalewa znowu i sobie, i Kim.

– No i...?

– Na taśmie, którą Ali miał na ustach, znaleziono DNA i odciski palców Mahmouda i Yusufa. To oni go zamordowali.

– Cholera, biedna Faduma.

– Faduma zniknęła bez śladu. Ale przynajmniej Lwy to już przeszłość i gangowi trudno będzie tu wrócić. Pewnie sami też uznają, że nie warto tu znowu przyjeżdżać, zwłaszcza że ci z NOA wiedzą, że mieli tu swoją metę. Najprawdopodobniej przeniosą się do innego sennego miasteczka z małą liczbą policjantów na kilometr kwadratowy. Mona zmieniła taktykę. Jeśli wbrew oczekiwaniom znowu zjawią się w mieście, policja nie da im żyć, aż zrozumieją, że nie warto było tu wracać.

– Mona zawsze była optymistką. – Kim uśmiecha się z pełnymi ustami.  
– Claire musi być wkurzona, bo miasto straciło siedmiu mieszkańców i znowu mamy ich w sumie mniej niż dziesięć tysięcy.

Jedzą w ciszy, tymczasem do Lyckoslanten wchodzi coraz więcej osób. Kim uważa, że mimo wszystko ludzie wyglądają radośniej. Złudzenie, że wszyscy przestępcy w mieście zniknęli, tchnęło w nich życie i dało odrobinę nadziei. Choć zło czai się za rogiem. Czuje to. Ma wrażenie, że o czymś zapomniała. O czymś, co kołacze się jej po głowie i stuka o wnętrze czaszki jak ptaszek w okno.

– Wszystko się rozwiązało bez naszej pomocy – mówi. – Jesteśmy chyba najgorszymi detektywami w historii.

– Cały ja – pomrukuje John.

– Oj, daj spokój. Powiedziałeś, że każdą sprawę da się wyjaśnić i każda sprawa chce zostać wyjaśniona, że trzeba im tylko trochę pomóc.

– Naprawdę to powiedziałem?

– Tak mi się wydaje, albo słyszałam to w jakimś serialu. Nieważne. Zmieniam zdanie. W pewnym sensie wygraliśmy. Tworzymy dobry zespół.

Kim przełyka ostatni kawałek sznycła i spogląda na Johna. Ten błysk w oczach, ten dołeczek, który przypomina jej własny i...

„Opanuj się” – przelatuje jej przez głowę.

– Tak, tworzymy dobry zespół. – John odchyła się na krześle, ona robi to samo i kawałek się od niego odsuwa.

Chciałaby wniknąć w jego mózg, zrozumieć, jak funkcjonuje człowiek taki jak on, biorąc pod uwagę jego historię, o której zresztą tak niewiele wie.

Drzwi się otwierają i do środka wchodzi jakiś mężczyzna. To Parszywiec. Zerka na nią i natychmiast odwraca wzrok. Od razu zaczyna się w niej gotować i Kim uświadamia sobie, że chciałaby go zabić. Może kiedyś to zrobi.

– Kto to jest? – pyta John.

– Parszywiec. Nils. Mój były mąż.

– Naprawdę go nienawidzisz, co?

– No raczej.

John wie, że stąpa po kruchym lodzie, kiedy zadaje następne pytanie:

– Co on ci tak właściwie zrobił?

Jakaś część Kim ma ochotę powiedzieć, że się nad nią znęcał, tylko po to, żeby mieć satysfakcję z tego, że John wstanie, podejdzie do Nilsa Bratta i stłucze go na kwaśne jabłko. Nagle nabiera absolutnej pewności, że tak właśnie zrobiłby John, i niespodziewanie czuje przepełniające ją ciepło. Potem jej wzrok znów pada na Parszywca. W tym momencie dociera do niej, że robi to, na co John zwrócił ostatnio uwagę – opuszcza rękę, a ta mechanicznie ląduje na boku.

W klatce piersiowej Kim skrzypi i trzeszczy. Lecz zatroskane spojrzenie Johna i nieoczekiwana bliskość, jaką czuje wobec niego, sprawiają, że nie może powstrzymać słów, które wypływają z jej ust:

– Ukradł mi nerkę.

Po raz pierwszy mówi to komuś innemu niż Elin. Kiedy Nils został zdiagnozowany, nie chciał wyjść na cherlaka przed partnerami biznesowymi, więc zdecydował, że całe leczenie odbędzie się w Sztokholmie. I tam też wykonano przeszczep. Dlatego ludzie w December nie wiedzą, co jej zrobił. W pewnym sensie cieszy ją ten stan rzeczy.

– Co takiego? – John upuszcza sztucę na talerz i ma zszokowaną minę.

Kim mocno ściska serwetkę w dłoni i obniża głos:

– Nils omal nie umarł z powodu niewydolności nerek. Niestety, byłam odpowiednią dawczynią, więc... oddałam mu jedną z moich nerek. Z miłości. Bo tak się robi, kiedy się kogoś kocha. Ale w zasadzie zaraz po tym zostawił mnie dla innej kobiety i wyrzucił z domu. Dlatego został mi stary, zaściardły sklep spożywczy i jeden organ mniej, a Nils i jego nowa żona będą mieli dziecko. – Z trudnością rozluźnia palce. – A on ma moją nerkę w swoim obrzydliwym ciele.

– Jasna cholera – mówi John. Gromy w jego oczach, kiedy patrzy na Nilsa, wyraźnie pokazują, co myśli o tym, co Kim właśnie powiedziała.

Tom O'Connor przygląda się dwóm mężczyznom robiącym nowe naboje z pustych łusek. Szkoda je marnować, a poza tym to dowody, przez które mogliby wpaść.

Pozwolenie Lwom na to, by zamieszkali w górach, okazało się błędem, ale nigdy nie jest za późno na zmianę zdania, dlatego się ich pozbyli. Stwarzali jedynie problemy. Prawdziwi amatorzy: zero dyscypliny, zero dyskrecji, a przede wszystkim cholernie tępi i porywczy, jak typowe młokosy.

Coś jednak dla niego zrobili, sami nie zdając sobie z tego sprawy. Nauczyli go produkować. W innej części gór, gdzie nikt z December nie ma odwagi przychodzić i gdzie zwykle samochody nie dają rady wjechać, znajduje się nowa kuchnia. Za dwa tygodnie produkcja ruszy pełną parą i December oraz Sztokholm otrzymają nowe dostawy. Ale teraz to jego milicja dostanie wszystkie pieniądze.

Będą bogaci i będą mogli kupić więcej materiałów i broni na czas nieuchronnej apokalipsy. Tom stworzył to schronienie tylko z jednego powodu. Dać wolność tym, którzy na nią zasługują. Miejsce, gdzie władze nigdy ich nie dopadną, a ci, którzy chcą, mogą uciec od swego dotychczas bezsensownego życia.

Oczywiście pod warunkiem, że są biali. Wojna rasowa prędzej czy później i tak nadejdzie, a Tom zamierza być na nią przygotowany.

Wstaje i wychodzi z warsztatu. Patrzy z dumą na wszystkich swoich ludzi. Twardych mężczyzn, którzy dzięki niemu mają cel w życiu i którzy będą mu za to dożgonnie wdzięczni. Niczego im nie brakuje. Ani jedzenia, ani dachu nad głową, ani celu.

To jego królestwo.

To jego góra.

Na zewnątrz grupa nowicjuszy ma trening. Tom się śmieje, gdy jeden grubas się potyka i upada. Oficer krzyczy na niego, a ten szybko wstaje i biegnie dalej. Za trzy miesiące ten facet będzie w imponującej kondycji fizycznej.

Tom spogląda na oficera, który się do niego uśmiecha, kręcąc głową. Nowi rekruci stanowią zagrożenie, a ci, którzy nie wytrzymają presji, zostaną zabici. Nie będzie miejsca dla mięczaków, kiedy rozpęta się tu piekło, choć, jak dotąd, nie musiał eliminować żadnego rekruta. Natomiast dwóch zdezerterowało, obaj po zaledwie jednej dobie. Trzeba spędzić tu kilka miesięcy, żeby poznać prawdziwe sekrety tego miejsca. Kiedy społeczeństwo upadnie, w nowym świecie przetrwają tylko prawdziwi mężczyźni, i dlatego Tom buduje bunkier w górach.

Wchodzi do biura, gdzie przy komputerach siedzi dwóch facetów. Jego własny, mały dział informatyczny.

– Udało wam się go odpalić? – pyta, stając przy biurku Stefana.

Ten dość szczupły, ale szalenie uparty i wytrwały mieszkaniec Smalandii szczerzy żółte zęby. Kiwa głową i podaje Tomowi komórkę. Tę, którą Tom ukradł Alemu.

Klika listę telefonów i przewija. Osiemset kontaktów spragnionych narkotyków. To było jak zabranie cukierka małemu dziecku.

– Kiedy możemy zrobić pierwszą wysyłkę?

– Za jakiś tydzień. Muszę tylko umieścić je w systemie i porządnie zaszyfrować. Ci, którzy wyślą SMS-y na ten telefon, trafią na serwer za granicą, który my kontrolujemy. Niczego nie będzie można powiązać ani z nami, ani z December.

– Doskonale, dobra robota. – Tom kilka razy klepie mężczyznę po ramieniu i oddaje mu komórkę. Słysząc klakson, więc wychodzi na zewnątrz.

„Cholera, ani chwili spokoju”.

Z tyłu w pick-upie siedzi mężczyzna z zakrytą głową. Kilku innych wyciąga go z samochodu i wciąga do rzeźni. Kiedy tam wchodzi, czują zapachy metalu i padliny. Obok nich wiszą dwie sarny i kruszeją. Sadzają mężczyznę na krześle, po czym drzwi się zamykają.

Antonio Alvarez mruga kilka razy, a gdy widzi Toma, kiwa głową w jego stronę.

– Albo mnie zabijecie, albo dostanę to, czego chcę – mówi z niezmałym spokojem mężczyzna i mimo że jest brudasem, robi na Tomie nie-małe wrażenie. Zapewne pracuje w hucie. Pracownicy huty to twardziele. Doskonale o tym wie, w końcu sam kiedyś był jednym z nich.

Tom bierze karabin AK4 i waży go w dłoni. Na ulicy broń automa-tyczna jest warta czterdzieści tysięcy, a on kupuje ją za trzy kafle. Broń palną z Bałkanów nabywa za tysiąc koron i sprzedaje za dziesięć do dwu-dziestu kafli, w zależności od tego, czy jest wojna gangów, czy nie. Lwy pójdą na wojnę z Bombazem, bo myślą, że to oni zabili Yusufa i jego małą grupę wyrzutków.

Wszystko idzie zgodnie z planem.

– Do czego ci to?

– Chcę się zemścić na pieprzonych Ackermannach – mówi Antonio, rozpalając w Tomie iskrę ciekawości.

– W jaki sposób?

– Chcę pokazać, jakimi są skurwielami. Potem mogę umrzeć.

Tom szeroko się uśmiecha.

– A co będzie, jak złapią cię gliny?

– Nic nie powiem, jeśli o to ci chodzi. Nigdy nie donoszę.

Tom drapie się pod daszkiem czapki, ale wystarczy mu chwila zastano-wienia. Kiwa głową.

– Dostaniesz go za darmo, pieprzyć Ackermannów.

– Tak, pieprzyć Ackermannów. Będzie jatka.

Tom kiwa głową na swoich ludzi i ci z powrotem zakrywają głowę An-tonia. Wkładają AK4, pistolet i magazynki do dużej torby. Wyrzuca go w pobliżu December, a potem zostanie im tylko czekać. Tom nienawidzi Ackermannów i liczy na dobrą zabawę.